

Philip K Dick

Teraz czekaj na zeszły rok

Przełożył Jacek Spoiny

Donowi Wollheimowi – który dla fantastyki naukowej uczynił więcej niż ktokolwiek inny.
Dziękujemy, Don, za twoją niezmienną wiarę w nas.
I niech cię Bóg błogosławi.

Budowla w kształcie nielota, tak dobrze mu znana, emanowała zwykłym przydymionym szarym światłem, gdy Eric Sweetscent obniżył koło i zaparkował je w wyznaczonym mu boksie. Ósma rano, pomyślał przygnębiony. A jego szef, pan Virgil L. Ackerman, już zdążył otworzyć biura Korporacji. Wyobraźcie sobie człowieka, którego umysł pracuje najsprawniej o godzinie ósmej rano. To jawne pogwałcenie wyraźnych boskich nakazów. Niezły świat raczyli nam dać: wojna usprawiedliwia każde ludzkie dziwactwo, nawet wybryki tego dziadygi.

Mimo wszystko ruszył w kierunku chodnika wejściowego, ale niemal natychmiast zatrzymało go wołanie:

– O, pan Sweetscent! Chwileczkę, proszę pana! – Brzęczący jak struna – i bardzo odpychający – głos robanta, Eric niechętnie przystanął, a maszyna podjechała do niego, energicznie wymachując wszystkimi rękami i nogami. – Pan Sweetscent z Tijańskiej Korporacji Futer i Barwników?

Przytyk nie umknął jego uwagi.

– Doktor Sweetscent, jeśli łaska.

– Mam dla pana rachunek, doktorze. – Robant błyskawicznym ruchem wyciągnął z metalowej kieszonki biały złożony świstek. – Pańska żona, pani Katherine Sweetscent, obciążyła nim trzy miesiące temu swoje konto w Wyśnionych Szczęśliwych Chwilach Dla Wszystkich. Sześćdziesiąt pięć dolarów plus szesnaście procent prowizji. Poza tym jest jeszcze aspekt, rozumie pan, prawny. Przykro mi, że pana zatrzymuję, ale to wszystko było, hm, nielegalne.

Robant czujnie obserwował, jak Eric z wielkim ociąganiem wyjmuje książeczkę czekową.

– Co kupiła? – zapytał Eric ponuro, wypisując czek.

– Paczkę lucky strike'ów, doktorze. W oryginalnej, starożytnej zieleni. Z 1940 roku, przed drugą wojną światową, kiedy zmieniono opakowanie. Wie pan: „Zielone lucky strike'i poszły na wojnę”. – Robant zachichotał.

Eric nie mógł w to uwierzyć: coś tu było nie tak.

– Ale z całą pewnością miało to pójść na konto firmy – zaprotestował.

– Nie, panie doktorze – oznajmił robant. – Z ręką na sercu. Pani Sweetscent wyraźnie zaznaczyła, że kupuje paczkę do prywatnego użytku. – Po czym dorzucił wyjaśnienie, którego fałsz Eric od razu przejrzał, choć trudno byłoby mu powiedzieć, przynajmniej w tej chwili, czy wyjaśnienie to pochodzi od maszyny czy od Kathy. – Pani Sweetscent – oznajmił z nabożną czcią robant – buduje Pitts-39.

– Akurat, cholera.

Cisnął w stronę robanta wypisany czek, automat gonił za papierkiem, a Eric ponownie

podążył w kierunku chodnika wejściowego.

Paczka lucky strike'ów. No tak, skonstatował ponuro, Kathy znowu szaleje. Ten jej twórczy popęd, który znajduje ujście tylko w wydawaniu pieniędzy A wydatki zawsze przewyższają jej zarobki – które, co trzeba z bólem serca przyznać, są nieco większe od jego pensji. Ale tak czy owak, czemu nic mu nie powiedziała? Taki poważny zakup...

Odpowiedź była oczywista. Sam rachunek doskonale uświadamiał całą przygnębiającą powagę problemu. Eric pomyślał: Piętnaście lat temu powiedziałbym – zresztą naprawdę to powiedziałem – że nasze połączone dochody wystarczyłyby i powinny były wystarczyć do zapewnienia dostatniego poziomu życia każdej parze w miarę rozsądnych dorosłych ludzi. Nawet po uwzględnieniu typowej dla wojny inflacji.

Sprawy potoczyły się jednak nieco innym torem. I Eric miał głębokie, nieustające przeczucie, że już się nigdy nie zmienią na lepsze.

Wewnątrz siedziby Korporacji wybrał numer korytarza prowadzącego do jego biura, stłumiwszy odruch, żeby wpaść na górę do Kathy i natychmiast wszystko jej wygarnąć. Zrobię to później, postanowił. Po pracy, może przy kolacji. Boże drogi, ile czeka go dziś roboty, nie starczało mu energii – jak zawsze – na tą nieustanną harówkę.

– Dzień dobry, doktorze.

– Cześć – odparł Eric, kiwając głową swojej sekretarce, kudłatej pannie Perth, tym razem spryskała się lśniącem błękitem, inkrustowanym skrzącymi się okruchami, w których odbijały się światła biura. – Gdzie jest Himmel? – Ani śladu głównego kontrolera jakości, a Eric widział już, że na parkingu lądują pracownicy filii.

– Bruce Himmel zadzwonił z wieścią, że biblioteka publiczna w San Diego wytoczyła mu sprawę, w związku z czym będzie się musiał stawić w sądzie i najprawdopodobniej spóźni się do pracy. – Panna Perth uśmiechnęła się do Erica służalczo, ukazując nieskazitelne zęby z syntetycznego hebanu, deprymujący nabytek, który przywiozła rok temu z Amarillo w Teksasie. – Wczoraj gliniarze z biblioteki włamali się do jego mieszkania i znaleźli dwadzieścia książek, które ukradł – zna pan Bruce'a, tę jego fobię, że musi sam wszystko sprawdzić... Jak to się nazywa po grecku?

Eric przeszedł do wewnętrznego biura, które należało tylko do niego, Virgil Ackerman nalegał na to, jako na odpowiednią oznakę prestiżu – substytut podwyżki.

A w biurze, przy oknie, paląc meksykańskiego papierosa o słodkim aromacie i patrząc na surowe, płowe wzgórza Baja California na południe od miasta, stała jego żona Kathy. Ujrzał ją po raz pierwszy tego ranka, wstała godzinę przed nim, ubrała się, zjadła sama śniadanie i pojechała do pracy własnym kołem.

– Co jest? – rzucił sucho Eric.

– Wejść do środka i zamknij drzwi.

Kathy odwróciła się, ale wciąż na niego nie patrzyła, jej cudownie wyrazista twarz przybrała wyraz zadumy. Zamknęła drzwi.

– Dzięki za powitanie mnie w moim biurze.

– Wiedziałam, że ten cholerny poborca rachunków cię dzisiaj przydybie – powiedziała obojętnie Kathy.

– Prawie osiemdziesiąt zielonych. Razem z grzywną.

– Zapłaciłeś? – Po raz pierwszy spojrzała na niego, sztucznie zaciemnione rzęsy zatrzepotały, zdradzając jej niepokój.

– Nie – odparł sardonicznie. – Dałem się zastrzelić robantowi na miejscu, tam na parkingu. – Powiesił płaszcz w szafie. – Oczywiście, że zapłaciłem. To obowiązkowe, odkąd Mol zlikwidował możliwość zakupów na kredyt. Wiem, że cię to nie obchodzi, ale gdy człowiek nie zapłaci w ciągu...

– Tylko bez wykładów, proszę. Co ci powiedział? Że buduję Pitts-39? Kłamał, kupiłam zielone lucky strike'i w prezencie. Bez porozumienia z tobą nie budowałabym żadnej krainy dzieciństwa, koniec końców należałaby przecież także do ciebie.

– Nie Pitts-39. Nie mieszkałem tam ani w trzydziestym dziewiątym, ani kiedy indziej. – Usiadł za biurkiem i wystukał numer na interkomie. – Już jestem, pani Sharp – powiadomił sekretarkę Virgila. – A jak się pani dziś miewa? Bez problemów wróciła pani wczoraj wieczorem z tego wiecu niewolników wojny? Żadne pikiety podżegaczy wojennych pani nie napadły? – Wyłączył interkom i zwrócił się do Kathy: – Lucile Sharp jest żarliwą zwolenniczką pokoju. Myślę, że to miłe ze strony Korporacji, że pozwala pracownikom na angażowanie się w agitację polityczną, prawda? Co więcej, to nie kosztuje ani centa, udział w mityngach politycznych jest darmowy.

– Ale trzeba się modlić i śpiewać – zauważyła Kathy. – I każą ci kupować te wszystkie zobowiązania.

– Dla kogo była ta paczka papierosów?

– Oczywiście dla Virgila Ackermana. – Wypuściła dwie bliźniacze spirale dymu. – A co, myślisz, że chciałabym zmienić pracę?

– Jasne, gdybyś znalazła coś lepszego...

– Nie trzyma mnie tutaj wysoka pensja, Eric, wbrew temu, co o tym myślisz – rzekła z naciskiem Kathy. – Wiecie, że pomagamy w walce z rigami.

– Tutaj? Jak?

Otworzyły się drzwi biura, pojawił się w nich zarys sylwetki panny Perth, jej świetliste, zamglone, sterczące piersi musnęły framugę, gdy sekretarka zwróciła się w jego stronę i powiedziała:

– Przepraszam, panie doktorze, ale pan Jonas Ackerman chce się z panem zobaczyć – wnuk

bratanka pana Virgila, z Kąpieli.

– Jak tam Kąpiele, Jonas? – odezwał się Eric, wyciągając rękę, wnuk bratanka właściciela firmy zbliżył się do niego i potrząsnął jego dłonią. – Wynurzyło się coś na nocnej zmianie?

– Nawet jeśli się wynurzyło – odparł Jonas – to przybrało postać robotnika i wyszło główną bramą. – W tym momencie spostrzegł Kathy. – O, dzień dobry, pani Sweetscent. Widziałem ten nowy obiekt, który nabyła pani dla naszego Wasz-35, ten garbaty samochód. Co to takiego, volkswagen? Tak je nazywano?

– Aerodynamiczny chrysler – wyjaśniła Kathy. – Dobry wóz, ale za dużo metalu w nim grzechotało. Przez to techniczne przeoczenie przepadł na rynku.

– O Boże – zawołał z przejęciem Jonas. – To musi być fantastyczne, tak gruntownie się na czymś znać. Do licha z powierzchowną wszechstronnością renesansu – lepiej wyspecjalizować się w jednej dziedzinie, aż... – Urwał, widząc ponurych, milczących jak posągi Sweetscentów – Przeszkodziłem wam?

– Sprawy firmy mają pierwszeństwo przed zwierzęcymi przyjemnościami – rzekł Eric. Cieszył się, że naszedł ich nawet ten tak niski rangą członek złożonej dynastii właścicieli firmy. – Zmykaj stąd, Kathy – zwrócił się do żony, nie siląc się nawet na jowialny ton. – Pogadamy przy kolacji. Mam za dużo roboty, żeby tracić czas na jałowe rozważania, czy robant poborca jest technicznie zdolny do kłamstwa, czy nie. – Odprowadził ją do drzwi, szła biernie, nie stawiając oporu. Eric dodał łagodnie: – Nabija się z ciebie, jak cała reszta świata, prawda? Wszyscy cię bez przerwy obgadują.

Zamknął za Kathy drzwi.

– Cóż, takie są obecnie małżeństwa. – Jonas Ackerman wzruszył ramionami. – Zalegalizowana nienawiść.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Och, ta wymiana zdań ujawniła zgrzyty, czuło się je w powietrzu jak chłód śmierci. Powinien wejść w życie jakiś dekret zakazujący człowiekowi pracy w tej samej firmie, co żona, cholera, nawet w tym samym mieście. – Uśmiechnął się, z jego pociągłej, młodzieńczej twarzy zniknęła od razu cała powaga. – Ale ona jest naprawdę dobra, wiesz, Virgil stopniowo zwolnił wszystkich pozostałych zbieraczy antyków po tym, jak Kathy podjęła tu pracę... ale z pewnością ci o tym wspominała.

– Wielokrotnie. – I codziennie, zauważył Eric z goryczą.

– Czemu się nie rozwiedziecie?

Eric wzruszył ramionami, co miało być oznaką głęboko filozoficznego podejścia do życia. Miał nadzieję, że mu to wyszło.

Chyba jednak nie bardzo, bo Jonas zapytał:

– To znaczy, że to małżeństwo ci się podoba?

– To znaczy – stwierdził Eric z rezygnacją – że byłem już kiedyś żonaty, i wcale nie wiodło mi się lepiej, a jeżeli rozwiodę się z Kathy, na pewno znowu sobie kogoś znajdę – bo, jak ujmuje to mój mózgowij, nie potrafię odnaleźć swojej tożsamości poza rolą małżonka, tatusia i wielkiego żywiciela rodziny – i następna żona będzie taka sama, bo takie właśnie kobiety wybieram. Tego nie da się usunąć z mojego charakteru. – Uniósł głowę i popatrzył na Jonasa z całą masochistyczną zawziętością, na jaką było go stać. – Czego chciałeś, Jonas?

– Wycieczka – oznajmił radośnie Jonas Ackerman. – Na Marsa, dla nas wszystkich, włącznie z tobą. Konferencja! Ty i ja możemy zająć miejsca z dala od starego Virgila, żeby nie musieć rozmawiać o firmie, wojnie i Ginie Molinarim. A ponieważ lecimy wielkim statkiem, cała podróż potrwa sześć godzin w jedną stronę. I na litość boską, nie wolno dopuścić do tego, żebyśmy stali przez całą drogę na Marsa i z powrotem – zajmijmy zaraz miejsca.

– Jak długo tam będziemy? – Perspektywa podróży wcale się Ericowi nie uśmiechała, na zbyt długo oderwie go to od pracy.

– Bez wątplenia wrócimy jutro lub pojutrze. Posłuchaj tylko, dzięki temu zejdziesz z drogi żonie, bo Kathy zostaje na miejscu. To taki paradoks, ale zauważyłem, że kiedy stary jest już w Wasz-35, to woli, żeby nie plątali się przy nim żadni eksperci od antyków... lubi poddać się, hm, magii miejsca... szczególnie teraz, na starość. Kiedy człowiek ma sto trzydzieści lat, zaczyna to i owo rozumieć – tak też może i będzie ze mną. A tymczasem musimy znosić jego kaprysy. – Jonas dodał ponuro: – Zapewne to wiesz, Eric, skoro jesteś jego lekarzem. On nie będzie chciał nigdy umrzeć, nigdy nie podejmie tej trudnej decyzji – jak to się mówi – cokolwiek mu w organizmie wysiadzie i cokolwiek trzeba będzie w nim wymienić. Czasami zazdroszczę mu tego optymizmu. Tego, że tak szalenie lubi życie, że przykładą do niego taką wagę, a my, mali śmiertelnicy, w naszym wieku... – Zmierzył Erica wzrokiem. – Tych żalonych trzydziestu czy trzydziestu trzech lat...

– Mam mnóstwo sił żywotnych – wtrącił Eric – i jestem gotów na długie życie. Nie dam mu się pokonać. – Z kieszeni płaszcza wyjął rachunek, który przedstawił mu robant. – Skup się i spróbuj sobie przypomnieć: czy jakieś trzy miesiące temu w Wasz-35 nie pojawiła się paczka zielonych lucky strike'ów? Zdobytych przez Kathy?

Po długiej chwili ciszy Jonas Ackerman powiedział:

– Ty biedny, podejrzliwy, głupi dziadzie. Tylko o tym potrafisz myśleć. Posłuchaj, doktorze: jeżeli nie skoncentrujesz się na pracy, to już po tobie, w kadrach leży ze dwadzieścia podań chirurgów sztucznych wszczepów, którzy tylko czekają, żeby podjąć pracę u człowieka pokroju Virgila, wielkiej szychy w dziedzinie gospodarki i wojny. Naprawdę nie jesteś znowu aż tak dobry. – Twarz Jonasa wyrażała jednocześnie współczucie i dezaprobatę, i ta osobliwa mieszanka raptownie obudziła czujność Erica Sweetscenta. – Gdyby na przykład mnie samemu wysiadło serce – a na pewno niedługo się tak stanie – raczej nie kwapiłbym się do pójścia do

ciebie. Jesteś zbyt zamotany w sprawy osobiste. Żyjesz dla siebie, a nie dla planety. Mój Boże, nie pamiętasz, że prowadzimy wojnę na śmierć i życie? I przegrywamy. Każdego cholernego dnia ścierają nas na proch!

Eric zdał sobie sprawę, że to prawda. I do tego mamy chorego, hipochondrycznego, przygnębionego przywódcę. Tijańska Korporacja Futer i Barwników to jeden z ogromnych kompleksów przemysłowych, które służą mu wsparciem, które z trudem utrzymują Mola u władzy. Bez serdecznych przyjaźni tak wysoko postawionych osób jak Virgil Ackerman Gino Molinari już by zleciał z urzędu, nie żył albo gnił gdzieś w domu starców. Wiem o tym. A jednak życie osobiste musi trwać dalej. Przecież, pomyślał, nie z własnego wyboru wplątałem się w sprawy domowe, wszedłem w boksinę z Kathy. A jeżeli sądzisz, że było lub jest inaczej, to wszystko przez to, że jesteś chorobliwie młody.

Nie udało ci się przeprawić z krainy młodzieńczej swobody a ląd, który zamieszkują: mając za żonę kobietę, która przewyższa mnie pod względem finansowym, intelektualnym, a nawet, tak, to też, nawet erotycznym.

Przed opuszczeniem budynku doktor Eric Sweetscent zajął się Kąpieli, zastanawiając się, czy Bruce Himmel zjawił się w pracy. Owszem, stał przy ogromnym koszu pełnym odrzuconych, niesprawnych Leniwych Rudych Piesków.

– Przerób to z powrotem na breję – powiedział Jonas do Himmela, który uśmiechnął się szeroko na swój pusty, niezborny sposób, gdy najmłodszy z Ackermanów rzucił mu jedną z wybrakowanych kul, schodzących z linii montażowych Korporacji razem z innymi kulami przeznaczonymi do włączenia w układy sterowania statków międzyplanetarnych. – Wiesz co – zwrócił się do Erica – gdyby wziąć z tuzin tych systemów kontrolnych – i to nie zepsutych, ale tych, które są wysyłane w kartonach dla armii – okazałoby się, że ich czas reakcji w ciągu ostatniego roku albo nawet ostatnich sześciu miesięcy wydłużył się o kilka mikrosekund.

– Czy to oznacza, że nasze standardy jakości się obniżyły? – zapytał Eric.

Wydawało się to niemożliwe. Produkty Korporacji były zbyt ważne. Cała sieć działań wojennych była uzależniona od tych kul wielkości kociej głowy.

– Zgadza się. – Jonas nie wydawał się tym przejęty. – Ponieważ zbyt wiele odrzucaliśmy. Nie wykazywaliśmy zysku.

– Cz-czasami marzy mi się powrót do przeróbki guana marsjańskich nietoperzy – wyjąkał Himmel.

Niegdyś Korporacja zajmowała się przetwórstwem odchodów marsjańskich nietoperzy trzepotków, co przyniosło pierwsze zyski. Dzięki nim mogła zainwestować w przynoszące większe korzyści gospodarcze, inne stworzenie spoza Ziemi, marsjańską amebę powielającą. Ten dostojny jednokomórkowiec przetrwał dzięki umiejętności naśladowania innych form życia –

szczególnie istot o identycznych wymiarach – i chociaż ta zdolność rozbawiła ziemskich astronautów i przedstawicieli ONZ, nikomu nie przyszło do głowy, żeby wykorzystać ją w celach przemysłowych, dopóki na scenie wydarzeń nie pojawił się Virgil Ackerman, sławny przetwórca guana nietoperzy. Pokazał amebie kosztowną etolę jednej ze swoich ówczesnych kochanek, ameba wiernie ją odtworzyła, toteż, niezależnie od intencji i celów, Virgil i dziewczyna znaleźli się w posiadaniu dwóch etol z norek. Jednak ameba znużyła się w końcu byciem futrem i powróciła do własnej postaci. Po tym finale pozostał pewien niedosyt.

Wiele miesięcy później wypracowano rozwiązanie: zabić amebę w fazie mimikry i zanurzyć trupa w kąpieli z utrwalaczy chemicznych, które utrzymywały ją w tej ostatniej postaci, ameba nie mogła ulec rozkładowi, więc później nie sposób jej było odróżnić od oryginału. Niedługo potem Virgil Ackerman założył w Tijuanie w Meksyku zakłady zbiorcze, do których spływały najróżniejsze odmiany pseudofuter, wysyłanych z instalacji przemysłowych na Marsie. I niemal natychmiast podbił ziemski rynek futer naturalnych.

Jednak wojna wszystko to zmieniła.

Zresztą czyż było coś, czego wojna nie zdołała zmienić? I któż, po podpisaniu Paktu Pokojowego z sojusznikiem, Lilistarem, przypuszczałby, że sprawy pójdą tak fatalnie? Bo Lilistar i jego premier Freneksy utrzymywali, że ten sojusz jest teraz dominującą potęgą wojskową w galaktyce, przeciwnicy, rigowie, ustępują mu pod każdym, nie tylko militarnym względem, zatem wojna bez wątpienia będzie krótka.

Starczyłyby już same okropności wojny, myślał Eric, ale dopiero najgorsza ewentualność, porażka, skłaniała do zastanowienia – daremnego – nad niektórymi dawnymi decyzjami. Na przykład co do Paktu Pokojowego, który to przykład mógł obecnie nasunąć się licznym Ziemianom, gdyby tylko o to ich zapytać. Ale w tych czasach z ich zdaniem nie liczył się ani Mol, ani tym bardziej rząd Lilistaru. W rzeczy samej powszechnie panowało przekonanie – któremu dawano otwarcie wyraz tak w barach, jak i w domowym zaciszu – że samego Mola także nikt nie pytał już o zdanie.

Tuż po rozpoczęciu walk z rigami Korporacja przerzuciła się z handlu luksusowymi atrapami futer na produkcję wojenną, dzieląc oczywiście los wszystkich innych zakładów przemysłowych. Niezmiernie wierna duplikacja układu sterowania statków kosmicznych, Leniwego Rudego Psa, była jakby naturalnym przeznaczeniem typu działań przeprowadzanych przez Korporację, przemiana zaszła bezboleśnie i błyskawicznie. Tak więc teraz Eric Sweetscent stał zamyślony przed tym koszem z odrzutami i zastanawiał się – tak jak w swoim czy innym czasie każdy pracownik Korporacji – czy te podrzędne, choć wciąż skomplikowane produkty można jakoś wykorzystać. Podniósł i oszacował jeden z nich, wagą przypominał piłeczkę baseballową, wymiarami grejpfruta. Najwyraźniej już nic nie dałoby się zrobić z egzemplarzami odrzuconymi przez Himmela, więc Eric odwrócił się, aby włożyć kulę do paszczy leja, który przywróciłby

utrwalonemu plastikowi wyjściową postać organiczną.

– Czekaj – zaskrzeczał Himmel. Eric i Jonas spojrzeli na niego.

– Nie top go – dodał Himmel. Jego szkaradne cielsko wiło się z zażenowania, ręce młóciły powietrze, długie, sękaty palce skręcały się. Rozdziawił usta jak idiota i bąknął: – Ja... już tego nie robię. Zresztą taki egzemplarz jako surowiec wart jest jedną czwartą centa. Cały ten kosz jest wart około dolara.

– No to co? – zdziwił się Jonas. – I tak muszą wracać do...

– Kupuję go – wybelkotał Himmel i sięgnął do kieszeni spodni po portfel, po długich, ciężkich wysiłkach udało mu się wreszcie go wydobyć.

– Po co go kupujesz? – zapytał Jonas.

– Tak to załatwiłem – zaczął Himmel po chwili męczącej ciszy. – Płacę za każdego odrzuconego Leniwego Rudego Psa pół centa, czyli dwukrotną jego wartość, dzięki czemu firma zyskuje. Kto mógłby mi to mieć za złe? – Jego głos wzniósł się do pisku.

– Nikt nie ma ci tego za złe – odparł Jonas, uważnie mu się przyglądając. – Ciekaw tylko jestem, do czego one są ci potrzebne. – Obejrzał się na Erica, jakby chciał spytać, co on na to.

– No, wykorzystuję je – odpowiedział Himmel, odwrócił się ponuro, i powłócząc nogami, skierował się do pobliskich drzwi. – Ale wszystkie są moje, bo zapłaciłem za nie z góry z mojej pensji – rzucił przez ramię, kiedy otworzył drzwi. Stał z boku w obronnej postawie, a jego twarz pociemniała od urazy i od śladów głęboko wżartego patologicznego niepokoju.

Po pomieszczeniu – czymś w rodzaju magazynu – jeździły na kółkach wielkości srebrnych dolarówek niewielkie wózek. Było ich co najmniej dwadzieścia, zmyślnie się omijały, nie zaprzestając szalonego ruchu.

Eric ujrzał, że na podstawie każdego wózka tkwi podłączony przewodami Leniwy Rudy Piesek, który steruje poczynaniami pojazdu.

Jonas potarł z boku nos, stęknął i zapytał:

– Co je zasila? – Schyliwszy się, zdołał pochwycić przejeżdżający obok jego stopy wózek, podniósł go, koła maszyny wciąż się niepotrzebnie obracały.

– Mała, tania, dziesięcioletnia bateria alkaliczna. Kosztuje kolejne pół centa.

– I to ty konstruujesz te wózki?

– Tak, panie Ackerman. – Himmel odebrał mu wózek i postawił z powrotem na podłodze, pojazd skwapliwie ruszył w swoją drogę. – Te tutaj są zbyt młode, przed wypuszczeniem muszą jeszcze poćwiczyć.

– A potem dasz im wolność – domyślił się Jonas.

– Tak jest. – Himmel pokiwał silnie sklepioną, prawie łysą czaszką, aż okulary w rogowych oprawkach zsunęły mu się na czubek nosa.

– Dlaczego? – zapytał Eric.

Dotarł do sedna sprawy, Himmel zaczerwienił się, twarz przebiegły mu bolesne skurcze, chociaż widać na niej było jakąś niejasną, obronną dumę.

– Bo – wykrztusił – na to zasługują.

– Ale ta protoplazma nie żyje – zauważył Jonas. – Zmarła po zastosowaniu chemicznego utrwalacza. Przecież wiesz. Od tamtej pory one wszystkie są zwykłymi obwodami elektronicznymi, tak martwymi jak... no cóż, jak na przykład robanty.

– Ale ja uważam je za żywe, panie Ackerman – odparł z godnością Himmel. – A to, że są gorsze i niezdolne do kierowania statkiem w kosmosie, nie oznacza, że nie mają prawa do przeżycia swojego skromnego żywota. Wypuszczam je i jeżdżą sobie, jak sądzę, sześć, może więcej lat, to wystarczy. Dostają to, do czego mają prawo.

– Gdyby stary się o tym dowiedział... – zaczął Jonas, odwracając się do Erica.

– Pan Virgil Ackerman o tym wie – oświadczył natychmiast Himmel. – Pochwala to. – I zaraz się poprawił: – Czy też mi na to pozwala, wie, że zwracam firmie koszty. A wózki buduję nocą, w czasie wolnym, w swoim mieszkadle mam linię montażową – naturalnie bardzo prostą, lecz wystarczającą. – Dorzucił: – Pracuję do około pierwszej w nocy.

– Co one robią po wypuszczeniu? – zapytał Eric. – Jeżdżą sobie po mieście?

– Bóg jeden wie. – Widać było, że ta część nie interesuje Himmela, robił swoje, konstruując wózki i podłączając Leniwe Rude Psy tak, że mogły funkcjonować. I chyba miał rację: nie mógł przecież towarzyszyć każdemu wózkowi, bronić go przed czyhającymi w mieście niebezpieczeństwami.

– Jesteś artystą – stwierdził Eric, sam nie wiedząc, czy go to śmieszy, czy budzi w nim odrazę, czy może jeszcze coś innego. Wiedział jedno: że nie zrobiło to na nim większego wrażenia, całe to przedsięwzięcie otaczała dziwaczna, głupkowata aura – czysty absurd. Himmel nieustannie pracuje, i tutaj, i w mieszkadle, pilnuje, żeby fabryczne odrzuty znalazły swoje miejsce pod słońcem... Co jeszcze się wydarzy? A wszystko to się dzieje, kiedy reszta ludzi zmaga się z innym szaleństwem, tym większym, zbiorowym absurdem, szaleństwem fatalnej wojny.

Na takim tle poczynania Himmela nie wypadają znowu aż tak idiotycznie. Takie były czasy. Szaleństwo wisiało w powietrzu, od Mola aż po tego kontrolera jakości, który wyraźnie cierpiał na jakieś kliniczne, psychiczne zaburzenia.

Idąc korytarzem z Jonasem Ackermanem, Eric oznajmił:

– To jakiś odwał. – Było to najmocniejsze powszechnie używane określenie wskazujące na aberrację.

– Jasne – odparł Jonas, machając lekceważąco ręką. – Ale to pozwala mi lepiej poznać starego Virgila, który toleruje coś takiego, i to na pewno nie ze względu na zyski – nie o to w tym chodzi. W sumie się cieszę. Myślałem, że Virgil jest bardziej bezwzględny. Spodziewałbym się

raczej, że wywali tego biednego kretyna na zbity pysk, do brygady pracy niewolniczej lecącej na Lilistar. Boże, to byłby dopiero los. Himmel ma szczęście.

– Jak twoim zdaniem się to skończy? – spytał Eric. – Myślisz, że Mol podpisze osobny traktat z rigami i wyciągnie nas z tej kabały, zostawiając Staryjczyków samych – na co sobie zresztą zasłużyli?

– Nie może tego zrobić – stwierdził kategorycznie Jonas. – Tajna policja Freneksy’ego dobrałaby się do nas tu na Ziemi i przerobiła go na leguminę. Wykopaliby go ze stanowiska i zastąpili z dnia na dzień kimś bardziej wojowniczym. Kimś, komu podoba się prowadzenie wojny.

– Ale przecież to niemożliwe – powiedział Eric. – On jest naszym, nie ich przywódcą. – Wiedział jednak, że niezależnie od względów natury prawnej, Jonas ma rację. On po prostu realistycznie oceniał sojusznika, stawiał czoła faktom.

– Największe szanse daje nam przegrana – oświadczył Jonas. – Powolna, nieunikniona, taka jak teraz. – Zniżył głos do chrapliwego szeptu. – Nie cierpię defetystycznego gadania, ale...

– Śmiało.

– Eric to jedyne wyjście z sytuacji, nawet jeżeli czeka nas stuletnia okupacja rigów jako kara za wybór niewłaściwego sojusznika w niewłaściwej wojnie prowadzonej w niewłaściwym czasie. Nasza pierwsza szlachetna próba militarizmu międzyplanetarnego, no i jak ją wybraliśmy – jak wybrał ją Mol. – Jonas skrzywił się.

– Lecz to my wybraliśmy Mola – przypomniał mu Eric. Zatem w ostatecznym rozrachunku odpowiedzialność spadała na nich.

Nagle zbliżyła się do nich drobna, wysuszona i nieważka, podobna do liścia postać, która zawołała ostrym, piskliwym głosem:

– Jonas! I ty też, Sweetscent – pora ruszać na wycieczkę do Wasz-35.

Ton Virgila Ackermana zdradzał lekką irytację, przypominał trel ptasiej matki czuwającej nad pisklętami, w swoim zaawansowanym wieku Virgil stał się niemal hermafrodytą, mężczyzną i kobietą złączonym w jedną, pozbawioną płci i soków, lecz ciągle żywą istotę.

Virgil Ackerman otworzył starożytną, pustą paczkę cameli i splaszczając ją, zapytał:

– Bach, trach, stuk czy trzask? Co wybierasz, Sweetscent?

– Stuk – odparł Eric.

Stary zerknął na ślad na wewnętrznej stronie sklejonego dna dwuwymiarowej teraz paczki.

– Trach. Muszę stuknąć cię w ramię – trzydzieści dwa razy. – Virgil rytualnie poklepał Erica po ramieniu, uśmiechając się wesoło. Jego naturalizowane zęby z kości słoniowej lśniły bladym, żywym blaskiem. – Nie mam najmniejszego zamiaru zrobić ci krzywdy, doktorze, przecież lada chwila mogę potrzebować nowej wątroby... Wczoraj wieczorem, po położeniu się do łóżka, cierpiałem parę godzin i zdaje mi się – choć musisz jeszcze to sprawdzić – że to skutek toksemii.

Byłem sztywny jak kloc.

– O której się położyłeś i co robiłeś? – zapytał siedzący obok niego doktor Eric Sweetscent.

– No cóż, doktorze, była tam taka jedna dziewczyna. – Virgil uśmiechnął się figlarnie do Harveya, Jonasa, Ralfa i Phyllis Ackermanów, tych członków rodziny, którzy usiedli wokół niego w smukłym, zwężającym się ku dziobowi statku międzyplanetarnym, który pędził z Terry do Wasz-35 na Marsie. – Czy muszę coś jeszcze dodawać?

– Chryste, jesteś przecież za stary – rzekła surowo Phyllis wnuczka jego bratanicy. – Znowu serce wysiądzie ci w trakcie. I co wtedy ona – kimkolwiek będzie – sobie pomyśli? To poniżej godności, umrzeć podczas... wiesz czego. – Spojrzała na Virgila z przyganą.

– W takiej chwili system kontrolny zmarłego, umieszczony w prawej pięści i noszony na takie właśnie wypadki, wezwałby doktora Sweetscenta – zaskrzeczał Virgil – który wpadłby do środka i od razu, na miejscu, nawet mnie nie wynosząc, usunąłby to stare, zepsute serce i wymienił na nowe, a wtedy... – Zachichotał i wyciągniętą z kieszeni na piersi lnianą chusteczką wytarł ślinę z dolnej wargi i brody. – Przystąpiłbym znowu do dzieła. – Jego cienka jak papier skóra promieniała, delikatne i wyraźnie pod nią dostrzegalne kości, zarys jego czaszki, trzęsły się z radości i uciechy, że może im dokuczyć, nie mieli wstępu do jego świata, do jego prywatnego życia, którym, dzięki swej uprzywilejowanej pozycji, rozkoszował się nawet teraz, mimo przyniesionej przez wojnę biedy.

– *Mille tre* – powiedział kwaśno Harvey, cytując libretto Da Pontego. – Ale w twoim przypadku, stary truchlaku, to będzie... nie wiem, jak się mówi „miliard trzy” po włosku. Mam nadzieję, że kiedy osiągnę twój wiek...

– Nigdy go nie osiągniesz – zarechotał Virgil, którego oczy pląsały i skrzyły się od intensywnej radości. – Zapomnij o tym, Harv. Zapomnij i wracaj do swoich ksiąg, ty chodzące, brzęczące liczydło. Nie znajdą cię martwego w łóżku z kobietą, znajdą cię martwego z... – Virgil poszukał właściwego słowa. – Z, hm, kałamarzem.

– Przestań – odezwała się sucho Phyllis, odwracając się w stronę gwiazd i czarnej przestrzeni kosmicznej.

– Chciałbym cię o coś zapytać – zwrócił się Eric do Virgila. – O paczkę zielonych lucky strike'ów. Około trzy miesiące temu...

– Twoja żona mnie uwielbia – powiedział Virgil. – Tak, doktorze, to był prezent dla mnie, prezent bez podtekstów. Uspokój więc rozgorączkowany umysł: Kathy się mną nie interesuje. Zresztą byłyby z tego same kłopoty. Kobiet mogę mieć wiele, chirurgów sztucznych wszczepów... cóż... – Zamyślił się. – Tak, jak się dobrze zastanowić, też mogę ich mieć wielu.

– Dokładnie to samo powiedziałem dzisiaj Ericowi – stwierdził Jonas. Mrugnął do doktora, który po stoicku nie zareagował.

– Ale ja lubię Erica – ciągnął Virgil. – Taki spokojny człowiek. Tylko spójrz na niego.

Szlachetnie rozumny, zawsze racjonalny, chłodny w każdej trudnej chwili. Wiele razy widziałem go przy robocie, Jonas, więc dobrze to wiem. Z chęcią zrywa się z łóżka o każdej porze... a to rzadko się teraz widuje.

– Płacisz mu za to – ucięła Phyllis, jak zwykle małowówna i pełna rezerwy, ponętna wnuczka bratanicy Virgila, członkini zarządu Korporacji, przypominała bystrego drapieżnika – zupełnie jak stary, chociaż była pozbawiona jego przewrotnego zamiłowania do osobliwości. W oczach Phyllis życie dzieliło się na interesy i bzdury. Ericowi przyszło do głowy, że gdyby natrafiła na Himmela, oznaczałoby to koniec małych wózekków, w świecie Phyllis nie było miejsca dla nieszkodliwych dziwaków. Przypominała mu trochę Kathy. Tak samo jak jego żona, była dość atrakcyjna, włosy miała splecione w jeden długi warkocz w kolorze modnej obecnie ultramaryny, podkreślony przez autonomiczne wirujące kolczyki i (to niezbyt przypadło mu do gustu) kółko w nosie, znak przynależności do wyższych kręgów burżuazji.

– Jaki jest cel tej konferencji? – spytał Eric Virgila Ackermana. – Możemy już teraz rozpocząć dyskusję, żeby nie tracić czasu? – Był podenerwowany.

– To wycieczka dla przyjemności – odparł Virgil. – Szansa ucieczki od ponurych spraw, w których tkwimy. W Wasz-35 będziemy mieli gości, być może już na nas czeka... Otrzymał Białą Kartę. Wpuściłem go do swojej krainy dzieciństwa, pierwszy raz pozwoliłem komuś innemu na swobodne jej zwiedzanie.

– Kto to taki? – zapytał Harv. – Przecież Wasz-35 jest formalnie własnością Korporacji, a my zasiadamy w jej zarządzie.

– Pewnie Virgil przegrał z tą osobą wszystkie swoje autentyczne karty z Okropnościami Wojny – zauważył cierpko Jonas. – Więc co mu zostało oprócz otwarcia przed tamtym podwojów swojego raję?

– Nigdy nie szastam moimi Okropnościami Wojny ani kartami FBI – zaproponował Virgil. – A tak przy okazji, to mam duplikat Zatonięcia *Panaya*. Eton Hambro – wiecie, ten bałwan, który jest prezesem zarządu Manfrefx Enterprises – podarował mi go na urodziny. Zdawało mi się, że już wszyscy wiedzą, że mam komplet kart, ale widać nie dotarło to jeszcze do Hambro. Nic dziwnego, że chłopcy Freneksy'ego wyręczają go obecnie w kierowaniu sześcioma fabrykami.

– Opowiedz nam o Shirley Tempie w *Małym buntowniku* – poprosiła znudzonym głosem Phyllis, ciągle wpatrując się w panoramę gwiazd za iluminatorem. – Opowiedz, jak ona...

– Już to oglądaliście – przerwał rozdrażniony Virgil.

– To prawda, ale nigdy mnie to nie nudzi – odparła Phyllis. – Choćbym nie wiem, jak się starała, zawsze mnie ten film fascynuje, aż do ostatniego smętnego kadru. – Phyllis zwróciła się do Harva: – Zapalniczka.

Eric wstał z fotela, skierował się do salonu niewielkiego statku, usiadł przy stoliku i wziął listę napojów. Zaschło mu w gardle. Wzajemne dogryzanie sobie Ackermanów zawsze

wywoływało u niego tępe pragnienie, jakby nagle potrzebował jakiegoś życiodajnego płynu... może, pomyślał, jakiegoś substytutu pierwotnego mleka: *Urmilch* życia. Ja też zasługuję na krainę dzieciństwa, pomyślał pół żartem. Ale tylko pół.

Waszyngton z 1935 roku nie był wart zachodu dla nikogo z wyjątkiem Virgila Ackermana, ponieważ tylko Virgil pamiętał autentyczne miasto, autentyczny czas i miejsce, tak dawno utracone środowisko. Dlatego Wasz-35, w każdym szczególe, był starannie wykonaną rekonstrukcją konkretnego, ograniczonego, znanego przez Virgila wszechświata dzieciństwa, cały czas ulepszanego i doskonalonego co do autentyczności przez zdobywcę antyków – Kathy Sweetscent – ale tak naprawdę niezmienionego: jakby stężał, przykleił się do zmarłej przeszłości... tak przynajmniej widziała to cała reszta klanu Ackermanów. Ale dla Virgila stanowił on oczywiście życiodajne źródło. Tam stary rozkwitał. Uzupełniał szczupłe zapasy energii biochemicznej i następnie wracał do teraźniejszości, do dzielonego przez wszystkich świata dnia dzisiejszego, który doskonale rozumiał i którym zręcznie manipulował, lecz gdzie jednak czuł się obco w sensie psychologicznym.

A jego ogromna kraina dzieciństwa chwyciła: stała się modną fanaberią. Inni czołowi przemysłowcy i finansjści – mówiąc szczerze i brutalnie, spekulanci wojenni – również sporządzili mniejsze, realistyczne modele światów swojego dzieciństwa, kraina Virgila przestała być jedyna w swoim rodzaju. Żadna nie mogła oczywiście dorównać jej złożonością i klasycznym autentyzmem, posługiwano się podróbkami antyków – nie naprawdę ocalałymi przedmiotami – które tworzyły prostackie przybliżenie tego, co niegdyś było oryginalną rzeczywistością. Z drugiej jednak strony trzeba było uczciwie przyznać, rozmyślał Eric, że nikt inny nie miał do dyspozycji tylu pieniędzy i takiej znajomości reguł gospodarki, by zabrać się za to bez wątplenia nieprawdopodobnie kosztowne i – poza wszystkim innym – imitacja jak imitacja – niepraktyczne przedsięwzięcie. Coś takiego w wirze okropnej wojny.

Ale niemniej było to w sumie nieszkodliwe, na swój osobliwy sposób. Nieco podobne, uświadomił sobie Eric, do szczególnych poczynań Bruce'a Himmela z masą rozklekotanych wózków. Ta działalność nie pozostawiała ofiar. A tego nie dałoby się powiedzieć o działaniach narodu... świętej wojnie przeciwko stworzeniom z Proximy.

Na myśl o tym owładnęło nim nieprzyjemne wspomnienie.

Na Ziemi, w stolicy ONZ, Cheyenne w stanie Wyoming, niezależnie od obozów jenieckich, przebywała grupa schwytanych, obezwładnionych rigów, którą władze wojskowe wystawiły na widok publiczny. Obywatele mogli sobie przechodzić rzędem obok nich, gapić się i do woli rozważać sens istnienia tych zewnętrznoszkieletowych istot o sześciu w sumie kończynach, zdolnych do błyskawicznego przemieszczania się na dwóch albo czterech odnóżach. Rigowie nie byli wyposażeni w żaden aparat głosowy, porozumiewali się ze sobą jak pszczoły, za pomocą wymyślnych, tanecznych ruchów zmysłowych czulek. W kontaktach z Ziemianami

i Staryjczykami używali mechanicznych translatorów, i to za ich pośrednictwem gapie mogli indagować upokorzonych jeńców.

Do niedawna jednakowe pytania powtarzały się z niezmienną, nęcącą monotonią. Jednak ostatnio wyłoniły się subtelnie nowe zainteresowania, które okazały się złowieszcze – przynajmniej z punktu widzenia władz. Wobec tych pytań pokaz niespodziewanie zamknięto, i to na czas nieokreślony. Jakie są możliwości powrotu do przyjacielskich stosunków? Co dziwniejsze, rigowie mieli na to odpowiedź. Sprowadzała się ona do stwierdzenia: życie i dajcie żyć innym. Ekspansja Terran do układu Proximy ustałaby, rigowie nie oblegaliby – zresztą w przeszłości też nie oblegali – układu słonecznego.

Jeżeli chodzi o Lilistar, to rigowie nie umieli wypowiedzieć się w tej kwestii, bo też sami jej jeszcze do końca nie przemyśleli, Staryjczycy byli ich wrogami od wieków i było już dla wszystkich za późno, aby coś sensownego poradzić lub skorzystać z czyjejś rady. W każdym razie staryjscy „doradcy” zdążyli już zająć pozycje na Ziemi, ze względów bezpieczeństwa... jak gdyby czteronogie, wysokie na sześć stóp, podobne do mrówki stworzenie mogło przemknąć niezauważone jakąś nowojorską ulicą.

Jednakże obecność doradców z Lilistaru nie zwracała niczyjej uwagi, pod względem umysłowym Staryjczycy przypominali glony, lecz pod względem morfologicznym nie sposób było odróżnić ich od Ziemian. I nie bez powodu. W czasach mousteriańskich flotylla ze staryjskiego Imperium Alfę Centauri przywędrowała do układu słonecznego, skolonizowała Ziemię i do pewnego stopnia Marsa. Między osadnikami z obydwu światów wybuchł spór na śmierć i życie, rozpętała się długa, wyniszczająca wojna, w której wyniku obydwie subkultury stoczyły się do stadium przygnębiającego barbarzyństwa. Za sprawą niesprzyjającego klimatu kolonia marsjańska w końcu całkowicie wymarła, natomiast ziemską przebrnęła przez długie wieki prymitywizmu i wreszcie odbudowała cywilizację. Odcięta od Alfę konfliktem Lilistaru z rigami, kolonia terrańska znowu rozprzestrzeniła się na całą planetę, wysubtelniała, wzbogaciła się rozwinęła, wystrzeliła pierwszego satelitę na orbitę, potem bezzałogowy statek na Lunę, wreszcie statek z załogą... Ukoronowaniem postępu było ponowne nawiązanie kontaktu z macierzystym systemem planetarnym. Oczywiście zaskoczenie po obu stronach było niezmiernie.

– Mowę ci odjęto? – zagadnęła Phyllis Ackerman, sadowiąc się obok Erica w zatłoczonym salonie. Uśmiechnęła się i ten wysiłek zmienił jej szczupłą twarz o delikatnych rysach, przez chwilę wyglądała naprawdę ładnie i pociągająco. – Mnie też zamów coś do picia, żebym mogła znieść świat kijów do polo, Jean Harlow, Barona von Richthofena, Joe Louisa i... jak to się, cholera, nazywa? – Z zaciśniętymi powiekami przetrząsnęła pamięć. – Wyrzuciłam to z umysłu. O, mam. Tom Mix. I Strzelcy Ralstona. Z Wranglerem. Tym nieszczęsnym Wranglerem. I te płatki śniadaniowe! I wszędzie te cholerne pokrywki pudełek. Wiesz chyba, co nas czeka,

prawda? Kolejne spotkanie z Sierotką Annie i jej maluszkimi numerkami kodowymi... będziemy musieli wysłuchać reklam owaltny, potem tych liczb, które trzeba będzie zanotować i rozszyfrować – żeby dowiedzieć się, co Annie porabia w poniedziałek. Dobry Boże! – Nachyliła się po kieliszek i Eric nie mógł odmówić sobie niemal zawodowej przyjemności zajrzenia jej za sukienkę, na niewielkie, sterczące, blade piersi.

Ten widok dobrze go nastroił, więc oświadczył żartobliwie, choć ostrożnie:

– Pewnego pięknego dnia zapiszemy liczby, które fałszywy spiker poda przez fałszywe radio, rozszyfrujemy je za pomocą numerków kodowych Sierotki Annie i... – Wiadomość będzie brzmiała, dokończył ponuro w myślach: Podpiszcie oddzielny pakt pokojowy z rigami. Natychmiast.

– Wiem – powiedziała Phyllis i dokończyła w jego imieniu: – „Opór nie ma sensu, Ziemianie. Poddajcie się. Tu mówi Monarcha rigów, słuchajta, ludziska, opanowałem radiostację WMAL w Waszyngtonie i teraz was zniszczę”. – Z posępnym wyrazem twarzy wypila łyk z kieliszka na długiej nóżce. – „W dodatku owaltna, którą żeśta pijali...”

– Wcale nie to chciałem powiedzieć. – Ale coś bardzo podobnego. Zirytowany Eric stwierdził: – Jak cała twoja rodzina, posiadasz gen, który każe ci przerywać każdemu obcokrewnemu...

– Komu?

– Tak was nazywamy – oznajmił Eric z ponurą satysfakcją. – Was, Ackermanów.

– No to śmiało, doktorze. – W jej szarych oczach pojawiła się iskierka rozbawienia. – Powiedz, co ci leży na duszyczce.

– Nieważne. Co to za gość? – zapytał Eric.

Duże, blade oczy kobiety jeszcze nigdy nie wydawały się tak szerokie, tak spokojne, rozkazywały i dowodziły ze swojego wewnętrznego świata niewzruszonej pewności. Spokoju wynikłego z pełnej, niezmiennej znajomości wszystkiego, co zasługiwało na poznanie.

– Poczekamy, zobaczymy. – I wtedy jej usta, nie wpływając na razie na niezmienną oczy, zaczęły płasnąć z przewrotną, kpiącą złośliwością, po chwili w jej oczach zapaliła się zupełnie nowa iskra i cała twarz uległa kompletnemu przeobrażeniu. – Drzwi – zaczęła Phyllis złośliwie, oczy lśniły jej intensywnie, a usta drżały od radosnego chichotu niemal jak u nastoletniej dziewczyny – otwierają się i stają w nich milczący wysłannik z Proximy. Ale widok. Opasły, oślizły, wrogi rig. Potajemnie, aż trudno w to uwierzyć, uwzględnivszy wścibską tajną policję Freneksy’ego, przybył tu, by oficjalnie negocjować... – Urwała, by wreszcie dokończyć cichym, monotonnym głosem: – ...oddzielny pakt pokojowy między Ziemianami a rigami. – Z pochmurnym, ponurym wyrazem twarzy, już bez żadnych iskier w oczach, dopiła apatycznie drinka. – Tak, to dopiero będzie dzień. Łatwo go sobie wyobrazić. Stary Virgil siada, jak zwykle promienny i roztrajkotany. I widzi, jak wszystkie jego wojenne kontrakty, do ostatniej cholerniej

kartki, idą na śmietnik. Wracamy do podrabianych nerek. Do gówna nietoperzy... kiedy fabryka cuchnęła pod niebiosami. – Zaśmiała się krótko i szyderczo. – Już za chwileczkę, doktorze. Ma pan to jak w banku.

– Gliny Freneksy'ego – podjął Eric w podobnym nastroju – jak sama zauważyłaś, zaatakowałyby Wasz-35 tak szybko, że...

– Wiem. To fantazja, marzenie ściętej głowy. Wytwór beznadziejnego pragnienia. W sumie nie ma więc znaczenia, czy Virgil postanowi wymyśleć – i spróbuje przeprowadzić – taki plan, prawda? Bo to nie uda się przez milion lat świetlnych. Można spróbować. Ale nic z tego nie wyjdzie.

– Fatalnie – na poły do siebie wymamrotał pogrążony w zadumie Eric.

– Zdrajco! Chcesz wyłądownąć w obozie dla niewolników? Po namyśle Eric odpowiedział ostrożnie:

– Chcę...

– Nie wiesz, czego chcesz, Sweetscent. Każdy mężczyzna pogrążony w nieudanym małżeństwie traci metaboliczną zdolność zrozumienia tego, czego chce – zostaje mu ona odebrana. Jesteś małą, śmierdzącą skorupą, która usiłuje postępować, jak należy, ale nigdy jej to nie wychodzi, bo nie angażuje w nic swojego żalnego, zboląłego serduszka. Spójrz tylko na siebie! Udało ci się ode mnie odsunąć.

– Wcale nie.

– Przez co już się nie dotykamy. Zwłaszcza udami. Och, niech szczeną we wszechświecie uda. Przecież nie jest łatwo, prawda, to zrobić, odsunąć się w tak ciasnym pomieszczeniu... w tym saloniku. A jednak udało ci się to, nieprawdaz?

Aby zmienić temat, Eric powiedział:

– Słyszałem wczoraj w telewizji, że ten kwatreolog z zabawną brodą, ten profesor Wald, wrócił z...

– Nie. To nie jest gość Virgila.

– To może Marm Hastings?

– Ten taoistyczny kuglarz, szajbus i głupek? Silisz się na dowcip, Sweetscent? Tak? Zdaje ci się, że Virgil zniósłby mało znaczącego oszusta, który... – Wykonała kciukiem obsceniczny, gwałtowny ruch w górę, jednocześnie wyszczerzając w uśmiechu czyste, białe i fantastyczne zęby. – Może to Ian Norse – rzuciła.

– Kto to taki? – Eric słyszał to nazwisko, brzmiało jakby znajomo i wiedział, że to pytanie jest błędem taktycznym, mimo wszystko je zadał, to właśnie był jego słaby punkt w stosunkach z kobietami. Dawał się im prowadzić – czasami. Już niejedną raz, zwłaszcza w najistotniejszych momentach swojego życia, szedł bez oporów tam, dokąd *go* wiodły.

Phyllis westchnęła.

– Firma Iana produkuje wszystkie te lśniące, sterylne i bardzo drogie sztuczne organy, które sprawnie wszczepiasz umierającym bogaczom, chcesz powiedzieć, doktorze, że nie orientujesz się, komu tyle zawdzięczasz?

– Wiem to – rzucił z irytacją zasmucony Eric. – Tylko przez ten natłok spraw chwilowo o tym zapomniałem. To wszystko.

– Zresztą może to jakiś kompozytor. Jak w czasach Kennedyego, może to Pablo Casals. Boże, ten to byłby dopiero stary. Może to Beethoven. Hmm. – Udała, że się namyśla. – Dobry Boże, wydaje mi się, że on faktycznie coś o tym wspominał. Ludwig van jakiś tam. Czy istnieje jakiś inny Ludwig van oprócz...

– Jezus Maria – przerwał jej gniewnie Eric, znużony kpinami. – Daj spokój.

– Nie zadzieraj nosa, żaden z ciebie geniusz. Tylko stulecie po stuleciu utrzymujesz przy życiu jednego paskudnego starucha. – Rozległ się jej cichy, czarujący, poufały, ciepły i przesycony radością chichot.

– Dbam również o całą siłę roboczą Korporacji, o osiemdziesiąt tysięcy kluczowych osób – oświadczył Eric z całą godnością, na jaką umiał się zdobyć. – I w rzeczy samej, tego nie da się robić z Marsa, dlatego cała ta przygoda wcale a wcale mi się nie podoba. Bardzo mi się nie podoba. – Włącznie z tobą, dodał gorzko w myślach.

– Co za proporcje – rzekła Phyllis. – Jeden chirurg sztucznych wszczepów i osiemdziesiąt tysięcy pacjentów – osiemdziesiąt tysięcy jeden. Ale masz do pomocy cały zespół robantów... może dadzą sobie radę pod twoją nieobecność.

– Robant to takie coś, co śmierdzi – oznajmił Eric, parafrazując T S. Eliota.

– A chirurg sztucznych wszczepów – odpowiedziała Phyllis – to takie coś, co się płaszczy.

Spojrzał na nią groźnie, sączyła trunek i nie okazywała najmniejszej skruchy. Nie był w stanie dobrać się jej do skóry, była po prostu zbyt silna psychicznie, jak na niego.

Pępek świata Wasz-35, czteropiętrowa czynszówka z cegły, w której mieszkał Virgil jako chłopiec, mieścił prawdziwie nowoczesne mieszkanie z 2055 roku, wyposażone we wszystkie luksusy, jakie gospodarzowi udało się zdobyć w tych trudnych latach wojny. Kilka przecznic dalej znajdowała się Connecticut Avenue, a przy niej sklepy, które pamiętał Virgil. Tu stał sklep U Gammage'a, gdzie Virgil kupował kolejne numery *Tip Top Comics* i cukierki za pensa. Obok Eric wypatrzył znajomy kształt drugstore'u publicznego, tutaj stary w dzieciństwie kupił raz zapalniczkę oraz odczynniki do Gilberta Numer Pięć, zestawu umożliwiającego wydmuchiwanie szkła i eksperymenty chemiczne.

– Co grają w tym tygodniu w Uptown Theater? – wymamrotał Harv, gdy statek przelatywał nad Connecticut Avenue, tak by Virgil mógł napawać się widokiem swych skarbów. Harv wytężył wzrok.

Aniołowie piekiel z Jean Harlow, które wszyscy oglądali co najmniej dwukrotnie. Harv jęknął.

– Ale nie zapomnij o tej cudownej scenie – przypomniała mu Phyllis – gdy Harlow mówi: „To ja chyba narzucę coś wygodniejszego”, a potem, kiedy wraca...

– Tak, tak – powiedział zirytowany Harv. – Zgoda, to mi się podoba.

Statek przeleciał nad Connecticut Avenue na McComb Street i wylądował przed domem z numerem 3039, otoczonym czarnym płotem z kutego żelaza, z niewielkim trawnikiem od frontu. Kiedy jednak odsuwał się luk, Eric poczuł nie miejskie powietrze dawnej terrańskiej stolicy, lecz rozrzedzoną i przejmująco zimną atmosferę Marsa, nie starczała do wypełnienia płuc, więc stał oszołomiony, łapiąc powietrze i czując mdłości.

– Będę musiał zmyć im głowę za pracę instalacji atmosferycznej – stwierdził Virgil, schodząc po rampie na chodnik w towarzystwie Jonasa i Harva. Ale ten niedostatek chyba niezbyt mu przeszkadzał, żwawo ruszył w kierunku drzwi do kamienicy.

Robanty w postaci małych chłopców zerwały się na równe nogi, jeden z nich zawołał realistycznie:

– Cześć, Virg! Gdzie byłeś, gdy cię nie było?

– Matka wysłała mnie po zakupy – zaświergotał Virgil, a twarz rozblęsnęła mu radością. – Sie masz, Earl? Hej, dostałem od taty parę fajnych chińskich znaczków, przyniósł je ze swojego biura. Mam tu kopie, wymieńmy się. – Zagłębił ręce w kieszeniach, przystając przed gankiem.

– Wiesz, co ja mam? – zapiszczał drugi mały robant. – Suchy lód, dostałem go od Boba Rougiego za to, że pożyczyłem mu hantle, jak chcesz, możesz sobie potrzymać.

– Wymienię się na książkę – odparł Virgil, wyjmując klucze i otwierając drzwi frontowe. – Co powiesz na *Bucka Rogersa i kometę zagłady*? Super sprawa.

Gdy reszta przybyłych wysiadła z pojazdu, Phyllis zwróciła się do Erica:

– Zaproponuj dzieciakom nowiutki kalendarz na 1952 rok z aktami Marilyn Monroe, to zobaczysz, co ci dadzą. Co najmniej pół lizaka.

Gdy otwały się drzwi, zjawił się spóźniony strażnik z Korporacji.

– A, to pan Ackerman, nie zauważyłem, że pan przyjechał. – Strażnik wprowadził ich do ciemnego, wykładanego dywanami holu.

– Czy on już tu jest? – zapytał Virgil z nagłym niepokojem.

– Tak, proszę pana. Odpoczywa w mieszkaniu. Prosił, żeby przez kilka godzin nie zakłócać mu spokoju. – Strażnik też wyglądał na zdenerwowanego.

– Ilu ma ze sobą ludzi? – spytał Virgil, zatrzymując się.

– Oprócz niego jest adiutant i dwóch mężczyzn z ochrony.

– Kto ma ochotę na szklaneczkę lodowatego koolaida? – rzucił odruchowo przez ramię Virgil, prowadząc towarzystwo.

– Ja, ja – zawołała Phyllis, naśladując entuzjastyczny ton Virgila. – Chcę imitację lemoniady malinowo-cytrynowej, a ty, Eric? Co powiesz na gin bourbon z limetą albo szkocką wiśniówkę? A może w 1935 roku nie sprzedawali jeszcze takich smaków?

– Ja osobiście chciałbym się gdzieś położyć i odpocząć – odezwał się Harv do Erica. – Od tego marsjańskiego powietrza robię się słaby jak kot. – Jego twarz zszarzała i pokryła się drobnymi plamkami. – Czemu on nie postawi tu kopuły z prawdziwym powietrzem?

– Może robi tak celowo – zauważył Eric. – Dzięki temu nie zostaje tu na stałe, po pewnym czasie musi odlecieć. Jonas zbliżył się do nich i powiedział:

– Mnie osobiście podoba się to anachroniczne miejsce, Harv. Czuję się jak w jakimś muzeum. – Zwrócił się do Erica: – Muszę uczciwie przyznać, że twoja żona wykonuje wspaniałą robotę, dostarczając przedmioty do tego okresu. Posłuchajcie tego... jak mu tam... radia w tamtym pokoju. – Posłusznie nadstawili uszu: *Betty i Bob*, starożytna opera mydlana dobiegająca z zamierzchłej przeszłości. Nawet Eric był pod wrażeniem: głosy wydawały się całkiem prawdziwe i tętniące życiem. Naprawdę były teraz obok nich, nie były jedynie echem samych siebie. Nie miał pojęcia, jak Kathy udało się tego dokonać.

W tym momencie pojawił się Steve, masywny i przystojny Murzyn – a raczej jego robantyczna podróbka – który pełnił w budynku funkcję portiera, paląc fajkę, skinął serdecznie głową im wszystkim.

– Dzień dobry, panie doktorze. Ochłodziło się coś ostatnio. Widzi mi się, że dzieciaki niedługo będą śmigać na sankach. Mój Georgie też oszczędza na sanki, sam mi to przed chwilą mówił.

– Dam mu dolara z 1934 roku – rzekł Ralf Ackerman sięgając po portfel. Jednocześnie rzucił półgłosem do Erica: – A może nasz papcio Virgil ubzdurał sobie, że kolorowe dzieciaki nie mają

prawa do sanek?

– Proszę się nie kłopotać, panie Ackerman – odezwał się Steve. – Georgie zarobi se na sanki, nie potrzeba mi napiwków, tylko prawdziwej zapłaty za robotę. – I pełen godności, ciemnoskóry robant oddalił się i zniknął.

– Diabelnie przekonujące – stwierdził Harv.

– Fakt – przytaknął Jonas i zadrżał. – Boże, pomyśleć, że ten człowiek nie żyje już od dobrych stu lat. Ciężko cały czas pamiętać, że jesteśmy na Marsie, a nie na Ziemi, nawet w naszych czasach... Nie podoba mi się to. Lubię, kiedy wszystko jest naprawdę takie, jakie się wydaje.

Do głowy Erica przyszła pewna myśl.

– A czy macie coś przeciwko puszczeniu taśm stereo z muzyką symfoniczną wieczorem w domu.

– Nie, ale to coś zupełnie innego – odparł Jonas.

– Nieprawda – zaoponował Eric. – Nie ma tam orkiestry ani pierwotnych dźwięków, sala, w której to nagrano, pogrążona jest teraz w ciszy. Macie tylko tysiąc dwieście stóp żelaznej, oksydowanej taśmy, którą namagnetyzowano w pewien szczególny sposób... To takie samo złudzenie. Tyle że to tutaj jest zupełne. – *Quod erat demonstrandum*, podsumował w myślach i ruszył ku schodom. Codziennie karmimy się złudzeniami. Iluzja wkroczyła w nasze życie, gdy pierwszy bard wytrajkotał pierwszą epopeję o pewnej pradawnej bitwie, *Iliada* jest taką samą imitacją, jak te małe robanty, które wymieniają się na ganku znaczkami. Ludzie od zawsze chcieli zatrzymać przeszłość w jakiejś przekonującej postaci, nie ma w tym nic złego. Bez tego nie istnieje ciągłość, pozostaje tylko bieżąca chwila. A pozbawiona przeszłości chwila, terażniejszość, nie ma praktycznie żadnego znaczenia.

Możliwe – myślał, wspinając się po schodach – że do tego sprowadzają się moje kłopoty z Kathy. Nie pamiętam naszej wspólnej przeszłości: nie mogę już sobie przypomnieć czasów, kiedy żyliśmy ze sobą dobrowolnie... Teraz nasze życie pozostało przymusowym układem, Bóg wie w jaki sposób oderwanym od przeszłości.

I żadne z nas tego nie rozumie. Nie jesteśmy w stanie dociec sensu ani mechanizmu działania tego wszystkiego.

Mając lepszą pamięć, moglibyśmy zmienić swój związek w coś, co potrafilibyśmy pojąć.

Może to pierwsze okropne oznaki starości, pomyślał Eric. A przecież mam dopiero trzydzieści cztery lata!

Phyllis, która stała na schodach i czekała na niego, powiedziała:

– Nawiaż ze mną romans, doktorze.

Zadrżał w duchu, zrobiło mu się gorąco, poczuł grozę, podniecenie, nadzieję, rozpacz, wyrzuty sumienia, ochotę.

– Masz najdoskonalsze zęby na świecie – szepnął.

– Odpowiedz.

– Ja... – Zastanawiał się nad odpowiedzią. Czy można na to odpowiedzieć za pomocą słów? Ale przecież ta propozycja została ujęta w słowa, prawda? – I daj się Kathy – która wszystko widzi – spalić na popiół. – Czuł, jak Phyllis wpatruje się w niego, wpatruje i wpatruje tymi swoimi ogromnymi, podobnymi do gwiazd oczami. – Hmm – mruknął, niezbyt mądrze, poczuł się mały i nieszczęśliwy, doskonale i co do joty wiedział, czego nie powinien robić.

– Przecież tego ci trzeba – nalegała Phyllis.

– Ehmm – bąknął, więdąc w obliczu tego niepożądanego, niezasłużonego żeńskiego psychiatrycznego badania jego nikczemnej duszy, Phyllis dopadła ją – jego duszę – i obracała nią językiem na wszystkie strony. Niech ją szlag! Wszystkiego się domyśliła, mówiła prawdę, nienawidził ją, chciał pójść z nią do łóżka. I oczywiście wiedziała – zobaczyła to w jego twarzy – o tym wszystkim, dostrzegła to tymi swoimi przekłętymi ogromnymi oczami, oczami, których nie powinna posiadać żadna śmiertelniczka.

– Bez tego zmarniejesz – ciągnęła Phyllis. – Bez prawdziwego, spontanicznego, radosnego, czysto fizycznego...

– Jedna szansa – wykrztusił – na miliard. Ze ujdzie mi to na sucho. – I nagle zdobył się jakimś cudem na śmiech. – Nawet to, że stoimy tu na tych cholernych schodach, jest szaleństwem. Ale czy cię to, k...a, obchodzi? – I ruszył w górę, naprawdę ją ominął, szedł dalej na pierwsze piętro. Co ty masz do stracenia? – pomyślał. To ja, ja na tym stracę. Ty dasz sobie radę z Kathy tak samo, jak z szarpaniem mną na końcu tej liny, którą na zmianę popuszczasz i zwijasz.

Drzwi do prywatnego, nowoczesnego mieszkania Virgila stały otworem, gospodarz wszedł już do środka. Reszta towarzystwa podążyła za nim, najpierw oczywiście klan Ackermanów, na końcu zwykli wyżsi urzędnicy i firmy.

Eric wszedł – i zobaczył gościa Virgila.

Gość, człowiek, na spotkanie z którym tu przylecieli. Pół leżał, z pustą i zdrętwiałą twarzą, ciemnosinymi obrzmiałymi ustami, oczami wpatrzonymi nieruchomo w nicość. Gino Molinari. Najwyższy obrany przywódca zjednoczonej cywilizacji Terry, najwyższy dowódca jej sił zbrojnych w wojnie z rigami.

Miał rozpięty rozporek.

Podczas przerwy na lunch Bruce Himmel, technik odpowiedzialny za ostatni etap kontroli jakości przy głównej linii produkcyjnej Korporacji Futer i Barwników, opuścił stanowisko pracy i powlókł się ulicami Tijuany do kafejki, w której się zazwyczaj stołował, gdyż była tania i nie wymagała od niego zbyt wielkiego zaangażowania towarzyskiego. Do Xanthusa, niewielkiego żółtego drewnianego budynku, wciśniętego pomiędzy dwa sklepy z tekstyliami, zbudowane z wypalanej na słońcu cegły, ściągali najróżniejszego pokroju pracownicy i dziwacy, z reguły pod trzydziestkę, po których trudno było poznać, jak zarabiają na życie. Ale przynajmniej zostawiali Himmela w spokoju, on niczego więcej nie potrzebował. W gruncie rzeczy tylko tego właściwie wymagał od życia w ogóle. I, o dziwo, życie gotowe było pójść na taki układ.

Gdy tak Himmel siedział w głębi sali, jedząc łyżką bezkształtne chili i odrywając kawałki kleistego, bladego chleba, który podano do lunchu, zobaczył jakąś zmierzającą w jego stronę postać, Anglosasa o zmierzwiionych włosach, w skórzanej kurtce, dżinsach, wysokich butach i rękawiczkach, dziwacznie odzianego osobnika, pochodzącego jakby z zupełnie innej epoki. Był to Christian Plout, który jeździł w Tijuanie starożytną taksówką zasilaną turbiną, ukrywał się w południowej Kalifornii od jakichś dziesięciu lat, od czasu pewnego sporu z władzami Los Angeles, dotyczącego sprzedaży kapstenu, narkotyku otrzymywanego z muchomorów. Himmel trochę go znał, bo Plout też miał świra na punkcie taoizmu.

– *Salve, amicus* – zaintonował Plout, sadowiąc się w boksie naprzeciw Himmela.

– Witam – mruknął Himmel z ustami pełnymi nieznośnie ostrego chili. – Co słyhać? – Plout zawsze miał w zanadrzu najświeższe wieści. Krążąc przez cały dzień taksówką po Tijuanie, napotykał wszelkich możliwych ludzi. Gdy zdarzało się coś ciekawego, Plout obowiązkowo był tego świadkiem i w miarę możliwości wyciągał z tej sytuacji zyski. Życie Plouta składało się przede wszystkim z szemranych interesów.

– Słuchaj. – Plout nachylił ku Himmelowi swoją szarą jak piasek, wysuszoną twarz, zmarszczoną w skupieniu. – Widzisz? – Z jego zaciśniętej pięści wysunęła się kapsułka, która potoczyła się po stole, błyskawicznie nakrył ją dłonią, tak że zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

– Widzę – stwierdził Himmel, nie przerywając jedzenia. Plout mrugnął i szepnął:

– Hej, iii-ooo. To JJ-180.

– Co to takiego? – Himmela ogarnęła ponura nieufność, wołałby, żeby Plout zabrał się z Xanthusa i zajął jakimiś innymi sprawami.

– JJ-180 – powtórzył ledwie słyszalnym głosem Plout, zgarbiony tak, że niemal stykali się głowami – to niemiecka nazwa środka, który w Ameryce Południowej wejdzie na rynek jako frohedadryna. Wyprodukowały go pewne niemieckie zakłady chemiczne, firma farmaceutyczna

w Argentynie to ich podpucha. Nie mogą przeniknąć z tym do Stanów, tak naprawdę, to nawet tutaj, w Meksyku, niełatwo go zdobyć, co jest bez mała niewiarygodne. – Uśmiechnął się, ukazując nieregularne, pożółkłe zęby. Himmel raz jeszcze spostrzegł z odrazą, że nawet język Plouta miał jakiś osobliwy odcień, jakby pod wpływem jakiejś nienaturalnej substancji. Odsunął się z obrzydzeniem.

– Zdawało mi się, że w Tijuanie można dostać wszystko – powiedział Himmel.

– Mnie też. Dlatego tak zainteresowałem się tym JJ-180. Zdobyłem go.

– Brałeś to już?

– Wezmę dzisiaj wieczorem. U mnie. Mam pięć kapsułek, jedna dla ciebie. Jeżeli masz ochotę.

– Jak to działa? – Ta informacja w jakiś sposób wydawała się Himmelowi istotna.

– Halucynogennie – odparł Plout, falując w jakimś wewnętrznym rytmie. – Ale na tym nie koniec. Iii, ooo, fik-fik. – Zaszklily mu się oczy i odpłynął w głąb siebie, uśmiechając się z rozkoszy. Himmel poczekał na jego powrót do rzeczywistości. – Działanie zależy od osoby. Wiąże się to jakoś z poczuciem tego, co Kant nazwał „formami zmysłowości”. Kapujesz?

– Czyli z poczuciem czasu i przestrzeni – stwierdził Himmel, który przeczytał *Krytykę czystego rozumu*, dzieło odpowiadające mu zarówno sposobem pisania, jak i myślenia. W swoim niewielkim mieszkadle miał wyświechtany egzemplarz w miękkiej oprawie.

– Dokładnie! Zmienia zwłaszcza percepcję czasu, czyli należałoby go nazwać narkotykiem tempogogicznym... dobrze mówię? – Plout zdawał się zachwycony swoją błyskotliwością. – Pierwszy narkotyk tempogogiczny... Czy też, ściślej mówiąc, raczej maltempogogiczny. Chyba że wierzysz w to, co przeżywasz.

– Muszę wracać do pracy – oznajmił Himmel, zaczynając wstawać.

Plout przytrzymał go na miejscu i powiedział:

– Pięćdziesiąt dolarów. Amerykańskich.

– Słucham?

– Za kapsułkę. To rzadka rzecz, stary. Pierwszy raz ją widzę. – Plout jeszcze raz puścił na krótko kapsułkę po stole. – Żał mi się z tym rozstawać, ale to dopiero będzie przeżycie, odnajdziemy tao, cała nasza piątka. Czy znalezienie tao w czasie tej chrzanionej wojny nie jest warte pięćdziesięciu dolców? Możliwe, że już nie będzie ci dane zobaczyć JJ-180, meksykańskie gliny szykują się do przechwycenia ładunków z Argentyny czy skąd to tam pochodzi. A oni są dobrzy.

– Czy to naprawdę aż tak się różni od...

– Pewnie! Słuchaj, Himmel. Wiesz, czego o mało przed chwilą nie przejechałem? Jednego z tych twoich wózków. Mogłem go spokojnie rozgnieść, ale się powstrzymałem. Widzę je bez przerwy, mogłem zniszczyć setki... Co kilka godzin mijam Korporację. Ale chodzi mi o coś

innego: władze Tijuany pytały mnie, czy wiem, skąd się te cholerne wózki biorą. Powiedziałem, że nie... ale Bóg mi świadkiem, że jak wieczorem nie zlejemy się z tao, to mogę...

– Dobra – jęknął Himmel. – Kupię od ciebie kapsułkę. – Sięgnął po portfel, uważając to wszystko za bzdurę, niczego naprawdę nie oczekując w zamian za swoje pieniądze. Wieczór będzie jedną wielką mistyfikacją.

Nie mógłby się bardziej mylić.

Gino Molinari, najwyższy dowódca Terry w wojnie z rigami, jak zwykle nosił mundur w kolorze khaki, z jedną jedyną wojskową ozdobą na piersi: Złotym Krzyżem Pierwszej Klasy, którym Zgromadzenie Ogólne ONZ odznaczyło go przed piętnastu laty. Doktor Eric Sweetscent spostrzegł, że Molinari jest nieogolony, dolną część twarzy pokrywał zarost, upstrzony jakimś brudem i sadzopodobną czernią, które wypełzły na powierzchnię z głębi organizmu. Oprócz rozpiętego rozporka miał też rozwiązane sznurówki.

Wygląda przerażająco, uznał Eric.

Molinari ani razu nie uniósł głowy, tępy i rozkojarzony wyraz nie opuszczał jego twarzy, gdy wszyscy wchodzili po kolei do pokoju, dostrzegali go i przetykali ślinę. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest chory i udręczony, opinia publiczna najwyraźniej nie myliła się pod tym względem.

Zdumiony Eric zorientował się, że w rzeczywistości Mol wygląda dokładnie tak, jak ostatnio w telewizji, nie jest potężniejszy, mocniejszy, ani bardziej władczy. Wydawało się to niemożliwe, ale tak było, mimo to był u władzy, w świetle prawa zachował swoją funkcję i nie ustępował nikomu – przynajmniej żadnemu Ziemianinowi. I w ogóle, jak nagle zrozumiał Eric, Molinari nie zamierzał rezygnować ze stanowiska, pomimo wyraźnie pogarszającego się stanu psychofizycznego. W jakiś sposób było to oczywiste, dzięki skrajnie niedbałemu zachowaniu się tego człowieka, gotowości pojawienia się w takim stanie przed dość wpływowymi przecież ludźmi. Mol pozostawał sobą, nie silił się na postawę i pozy wojskowego bohatera. Albo stoczył się tak nisko, że już mu na niczym nie zależy, zastanawiał się Eric, albo miał tyle naprawdę ważnych spraw na głowie, by nie zawracać jej sobie takimi bzdurami jak robienie wrażenia na ludziach, zwłaszcza pochodzących z jego własnej planety. Mola przestało to zupełnie obchodzić.

Na dobre i na złe.

– Jesteś lekarzem – wyszeptał Virgil Ackerman do Erica. – Musisz go zapytać, czy potrzebuje medycznej pomocy. – On też sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

To po to mnie tu przywiózł, pomyślał Eric, spoglądając na Virgila. Wszystko zostało w tym celu ukartowane. Cała reszta, wszyscy inni ludzie – to zmyłka. Żeby oszukać Staryjczyków. Teraz to rozumiem, wiem, o co chodzi i czego ode mnie chcą. Wiem, kogo mam wyleczyć, oto człowiek, dla którego muszą od tej chwili istnieć moje umiejętności i talenty. Muszą. To sytuacja

przymusowa: o to chodzi.

Nachylił się i wybąkał:

– Panie sekretarzu generalny... – Głos mu zdrzął. Powstrzymała go nie trwoga – bo półleżący tu człowiek z pewnością nie wzbudzał tego uczucia – lecz niewiedza, po prostu nie wiedział, co ma powiedzieć człowiekowi na takim stanowisku. – Jestem lekarzem – oświadczył w końcu i uzmysłowił sobie, że zabrzmiało to dość nijako. – Oraz specjalistą od sztucznych wszczepów. – Zamilkł, lecz nie doczekał się żadnej odpowiedzi, widzialnej ani słyszalnej. – Dopóki przebywa pan w Wasz...

Nagle Mol podniósł głowę, jego wzrok nabrał jasności. Skupił go na Ericu, potem niespodziewanie zagrzmiął tym dobrze znajomym, niskim głosem:

– Do diabła, doktorze, nic mi nie jest. – Uśmiechnął się, był to krótki, lecz prawdziwie ludzki uśmiech, wyraz zrozumienia wobec niezdarnych wysiłków Erica. – Proszę się bawić! Żyć w stylu 1935 roku! Czy wtedy była prohibicja? Nie, chyba wcześniej. Proszę się napić pepsi-coli.

– Właśnie chciałem spróbować malinowego koolaida – oświadczył Eric, odzyskując nieco śmiałość, serce zaczęło mu z powrotem normalnie bić.

– Niezłe miasteczko zbudował tu sobie stary Virgil – podjął jowialnie Molinari. – Skorzystałem z okazji i przyjrzałem się mu, powinienem cały ten cyrk upaństwowić, zbyt dużo poszło na to prywatnego kapitału, którym należało wspomóc wojnę. – Pod żartobliwą otoczką czaiła się śmiertelna powaga, najwyraźniej cała ta skomplikowana konstrukcja zbiła go z tropu. Jak wiadomo było wszystkim obywatelom Terry, Molinari prowadził ascetyczny tryb życia, choć osobliwie urozmaicony rzadkimi interludiami priapejskich, utrzymywanych raczej w tajemnicy wybuchów sybarytyzmu. Ostatnio mówiono jednak, że te hulanki są coraz rzadsze.

– Ten człowiek to doktor Eric Sweetscent – oznajmił Virgil Ackerman. – Chyba najlepszy cholerny chirurg od przeszczepów na Ziemi, jak pan doskonale wie z akt osobowych z kwatery głównej, w ciągu ostatnich dziesięciu lat umieścił we mnie dwadzieścia pięć – czy dwadzieścia sześć? – osobnych narządów. Ale słono za to płacę. On co miesiąc zgarnia tłustą pensyjkę. Chociaż nie tak tłustą jak jego kochająca żona. – Uśmiechnął się od ucha do ucha do Erica, jego pozbawiona mięśni, podłużna twarz promieniowała ojcowskim ciepłem.

Po chwili ciszy Eric odezwał się do Molinariego:

– Nie mogę się już doczekać, kiedy przeszczepię Virgilowi nowy mózg. – Zdumiała go pobrzmiwająca w jego własnym głosie irytacja, wynikająca najprawdopodobniej ze wzmianki o Kathy. – Kilka już czeka w pogotowiu, jeden to niezły gęgoł.

– Gęgoł – powtórzył Molinari. – Nie nadążam za najnowszym żargonem... jestem ostatnio zbyt zajęty. Za dużo oficjalnych dokumentów do podpisania, za dużo rozmów z establishmentem. Gęgolska jest ta nasza wojna, prawda, doktorze?

Jego wielkie, ciemne, przeniknięte bólem oczy wbiły się w Erica i Eric zobaczył w nich coś,

czego nigdy wcześniej nie napotkał, zobaczył moc, która nie była ani ludzka, ani normalna. Było to zjawisko fizjologiczne, szybkość refleksu, możliwa zapewne dzięki wyjątkowemu i nieprzeciętnemu ułożeniu ścieżek nerwowych w dzieciństwie. Spojrzenie Mola przewyższało władczością i przenikliwością, samą siłą, wszystko, na co stać było zwykłych ludzi, i w tym Eric dostrzegł całą różnicę między Molem a resztą. Główny kanał łączący umysł ze światem zewnętrznym, zmysł wzroku, był u Mola tak nieoczekiwanie wysoko rozwinięty, że za jego pomocą człowiek ten wychwytywał i przytrzymywał wszystko, co weszło mu w drogę. Ale poza tym ta wszechpotężna siła wzroku cechowała się przede wszystkim ostrożnością. Świadomością bliskości nieszczęścia.

Ta świadomość podtrzymywała Mola przy życiu.

W tym momencie Eric zdał sobie sprawę z czegoś, czego nie uświadamiał sobie przez wszystkie męczące, straszne lata wojny.

Mol byłby ich przywódcą w każdym czasie, na każdym etapie ludzkiej ewolucji. Zawsze i wszędzie.

– Każda wojna – zaczął Eric z najwyższą rozwagą i taktem – jest ciężka dla jej uczestników, panie sekretarzu. – Umilkł, zastanowił się i dodał: – Wszyscy to rozumieliśmy, kiedy zdecydowaliśmy się wziąć w niej udział. To ryzyko, jakie ludzie albo planeta podejmują, gdy dobrowolnie wdają się w gwałtowny i prastary konflikt, który od dawna trwa pomiędzy dwoma innymi ludami.

Nastała cisza, Molinari przyglądał mu się badawczo bez słowa.

– A Staryjczycy należą do naszej rasy – ciągnął Eric. – Jesteśmy z nimi spokrewnieni genetycznie, nieprawdaż?

I znowu zapadła cisza, bezsłowna próżnia, której nikomu nie chciało się zappełnić. W końcu Mol pierdnął w zamyśleniu.

– Opowiedz Ericowi o bólach żołądka – poradził mu Virgil.

– Moje bóle – powiedział Mol i skrzywił się.

– Przyjechaliście tu tylko po to... – zaczął Virgil.

– Tak – warknął obcesowo Molinari, kiwając ogromną głową. – Wiem. I wy wszyscy też wiecie. Dokładnie po to.

– Jestem pewien, tak jak jestem pewien podatków i związków zawodowych, że doktor Sweetscent panu pomoże – podjął Virgil. – My przejdziemy do mieszkania po drugiej stronie korytarza, żebyście mogli porozmawiać na osobności. – Odszedł z nadzwyczajnym u niego taktem, jego śladem poszli po kolei członkowie klanu Ackermanów i urzędnicy firmy, zostawiając Erica Sweetscenta samego z Ginem Molinarem.

Po chwili milczenia Eric powiedział:

– W porządku, proszę opisać mi swoje dolegliwości żołądkowe, panie sekretarzu. – Jakby nie

było, chory człowiek to chory człowiek, doktor Sweetscent usadowił się w przystosowującym się do kształtów ciała fotelu naprzeciw sekretarza generalnego ONZ i czekał w odruchowo przyjętej zawodowej pozycji.

Gdy wieczorem Bruce Himmel gramolił się po chwiejących się, drewnianych schodach do mieszkadła Chrisa Plouta w ponurej meksykańskiej części Tijuany, w ciemności za jego plecami rozległ się kobiecy głos:

– Cześć, Brucie. Wygląda na to, że mamy wieczorek pracowników Korporacji, jest tu też Simon lid.

Kobieta dogoniła go przed drzwiami. To była ponętna Katherine Sweetscent o ostrym jak brzytwa języku, spotykał ją już kilkakrotnie u Plouta, więc niezbyt się zdziwił na jej widok. Pani Sweetscent miała na sobie nieco inny strój niż w pracy, to go też nie zdziwiło. Na dzisiejszą tajemniczą imprezę Kathy przybyła naga od pasa w górę, oczywiście z wyjątkiem sutek. Te były nie tyle pozłoczone w ścisłym sensie tego słowa, co raczej pokryte jakąś powłoką z żywej, czującej materii, jakąś marsjańską formą życia, tak że obie posiadały odrębną świadomość. Dlatego żwawo reagowały na wszystko, co się dzieje.

Na Himmelu wywarło to piorunujące wrażenie.

Za Kathy Sweetscent wspinał się Simon lid, w przyćmionym świetle jego głupekowata, pryszczata, prostacka twarz pozostawała bez wyrazu. Ten akurat gość nie był potrzebny Himmelowi do szczęścia, najbardziej, niestety, przypominał mu niezbyt udaną kopię jego samego. A nie mógł wyobrazić sobie czegoś równie nieznośnego.

Czwartą osobę, która czekała w nie ogrzewanym, nisko sklepionym pokoju w zaśmieconym, śmierdzącym zleżałym jedzeniem mieszkadle Chrisa Plouta, Himmel poznał natychmiast – poznał i nie mógł oderwać od niej wzroku, ponieważ miał przed sobą człowieka, którego znał ze zdjęć na tylnych okładkach książek. Stał przed nim pochodzący z San Francisco autorytet w sprawach taoizmu, Marm Hastings, blady, w okularach, ze starannie uczesаныmi, długimi włosami, w drogich, gustownych ubraniach z Io, najwyraźniej nieco zmieszany. Himmel wiedział, że liczne książki na temat mistycyzmu orientalnego przyniosły temu drobnemu, lecz niezwykle przystojnemu mężczyźnie po czterdziestce pokaźny majątek. Po co on się tu zjawił? Oczywiście żeby spróbować JJ-180, Hastings znany był z tego, że musiał doświadczyć na sobie każdego halucynogennego narkotyku, jaki stworzono, legalnego czy nie. Dla niego była to kwestia religijna.

Ale o ile było wiadomo Himmelowi, Marm Hastings nigdy do tej pory nie pokazał się w mieszkadle Chrisa Plouta w Tijuanie. Co to mówiło o JJ-180? Zastanawiał się nad tym, stojąc w kącie i obserwując przebieg wypadków. Hastings skupił się na książkowych zbiorach Plouta na temat narkotyków i religii, jak gdyby nie interesowali go inni obecni tu ludzie, jakby nawet nimi

pogardzał. Simon lid jak zwykle skulił się na podłodze, na poduszce, i zapalił brązowego skręta z marihuaną, leniwie się nim zaciągał, czekając na Chrisa. A Kathy Sweetscent – ta przykucnęła i gładziła się odruchowo po pęcinach niczym oporządzająca się mucha, jak gdyby doprowadzała swoje szczupłe, muskularne ciało do stanu gotowości. Pobudza je, uznał w końcu Himmel, celowymi zabiegami, przypominającymi ćwiczenia jogi.

Takie eksponowanie cielesności wprawiało go w zakłopotanie, odwrócił wzrok. To odstawało od duchowego charakteru spotkania. Ale do pani Sweetscent żadne słowa nigdy nie docierały, ta kobieta zachowywała się niemal jak autystka.

Z kuchni wszedł Chris Plout, w czerwonym szlafroku, z bosymi stopami, rozejrzał się bacznie przez ciemne okulary, aby się zorientować, czy już można zaczynać.

– Marm, Kathy, Bruce, Simon i ja, Christian, pięć osób. Wypuszczamy się w niezbadane obszary za pomocą nowej substancji, która właśnie dotarła do nas z Tampico na pokładzie łodzi z bananami... Mam ją tutaj. – Wyciągnął rękę, w otwartej dłoni leżało pięć kapsułek. – Jedna dla każdego z nas, dla Kathy, Bruce'a, Simona, Marma i dla mnie, Christiana. Nasza pierwsza wspólna wyprawa duchowa. Czy wrócimy? I czy zostaniemy przenicowani, jak mówi Podszewka?

Jak mówi Piotr Kloc do Podszewki, poprawił go w myślach Himmel. Na głos natomiast powiedział:

– „Podszewko! Aleś ty przenicowany”.*[* William Shakespeare, *Sen nocy letniej*]

– Że co proszę? – spytał Chris Plout, marszcząc czoło.

– To tylko cytat – wyjaśnił Himmel.

– Daj spokój, Chris – odezwała się gniewnie Kathy Sweetscent. – Dawaj towar i zaczynamy.

– Udało jej się chwycić jedną z kapsułek na dłoni Chrisa. – Ja pierwsza. I te bez wody.

– Ciekawe czy bez wody efekt będzie taki sam? – zapytał łagodnie Marm ze swoim nibybrytyjskim akcentem. Nie poruszając oczyma, zdołał dokładnie przyjrzeć się kobiecie zdradziło to nagłe stężenie jego ciała. Himmel był oburzony, czy całe przedsięwzięcie nie miało unieść ich ponad cielesne żądze?

– Taki sam – oznajmiła Kathy. – Wszystko jest takie same, kiedy przedzieras się do absolutnej rzeczywistości wszystko jest jedną wielką rozmazaną plamą. – Przełknęła, po czym odkaslnęła. Po kapsułce nie pozostało ani śladu.

Himmel sięgnął po swoją, inni również.

– Gdyby złapała nas policja Mola – odezwał się Simon do nikogo konkretnego – wszyscy zostalibyśmy wcieleni do armii i wysłani na front.

– Albo do roboty w ochotniczych obozach pracy na Lilistarze – dorzucił Himmel. Wszyscy czekali w napięciu na skutki działania narkotyku, jak zawsze w tych krótkich sekundach przed uderzeniem towaru do głowy. – Zostalibyśmy przenicowani na modłę starego dobrego

Freneksy'ego, mówiąc po naszymu. Podszewko, aleś ty przenicowany przez Freneksy'ego. – Zachichotał nerwowo.

Katherine Sweetscent obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

– Proszę pani – zagadnął ją niewzruszonym głosem Marm Hastings. – Zastanawiam się właśnie, czy my się kiedyś nie spotkaliśmy, wydaje mi się, że skądś panią znam. Czy często przebywa pani w okolicach San Francisco Bay? Mam pracownię i zaprojektowany przez architekta dom na wzgórzach West Marin, w pobliżu oceanu... Bardzo często przeprowadzamy tam seminaria, bywa tam mnóstwo ludzi. Ale panią bym zapamiętał. O tak.

– Mój cholerny mężulek nigdy by mi na coś takiego nie pozwolił – odparła Katherine Sweetscent. – Sama się utrzymuję – jestem więcej niż niezależna finansowo – a jednak muszę znosić jego narzekania i kwękania, kiedykolwiek tylko staram się zrobić coś na własną rękę. – Dodała: – Zajmuję się skupem antyków, ale starocie już mnie nudzą, miałabym ochotę...

Marm Hastings wpadł jej w słowo, zwracając się do Chrisa Plouta:

– Skąd pochodzi ten JJ-180? Wspominałeś chyba o Niemczech. Ale widzisz, mam swoje kontakty w państwowych i prywatnych zakładach farmaceutycznych w Niemczech i nikt ani słowem się nie zająknął o czymś, co nazywałoby się JJ-180. – Uśmiechnął się, lecz był to uśmiech złośliwy i przebiegły, oczekujący odpowiedzi.

– Moim zdaniem to odwał, Hastings. – Chris wzruszył ramionami. – Co to za różnica? – Nie przejął się, wiedział, równie dobrze jak oni, że w tych okolicznościach nie ma obowiązku niczego zagwarantować.

– Czyli to wcale nie pochodzi z Niemiec. – Hastings kiwnął nieznacznie głową. – Rozumiem. Czy rzeczony JJ-180, albo, jak kto woli, frohedadryna... mogło powstać poza Terrą?

Po chwili ciszy Chris dodał:

– Nie wiem, Hastings. Nie mam pojęcia.

Hastings zwrócił się do wszystkich tym swoim mentorskim, surowym głosem:

– Historia zna przykłady pozaziemskich, zakazanych przez prawo narkotyków. Żaden z nich nie odegrał większej roli. Zazwyczaj produkowano je z flory marsjańskiej, czasami z ganimedzkich porostów. Myślę, że o nich słyszeliście. Wszyscy sprawiacie wrażenie dobrze poinformowanych w tej kwestii, tak jak być powinno. Czy też przynajmniej... – Usta rozszerzyły mu się w uśmiechu, ale oczy za pozbawionymi oprawek okularami pozostawały zimne jak u ryby. – Przynajmniej wystarczają wam informacje dotyczące pochodzenia tego JJ-180, za który zapłaciliście temu człowiekowi pięćdziesiąt dolarów amerykańskich.

– Mnie wystarczają – oświadczył z głupia frant Simon lid. – Zresztą jest już za późno, zapłaciliśmy Chrisowi i zażyliśmy kapsułki.

– Fakt – przytaknął rozsądnie Hastings. Usiadł w jednym z chwiejących się foteli klubowych Chrisa. – Czujecie już jakieś zmiany? Mówcie, proszę, gdy tylko coś zacznie się dziać. – Spojrzał

na Katherine Sweetscent. – Czy twoje sutki mi się przyglądają, czy też tylko tak sobie wyobrażam? Tak czy owak, to zdecydowanie niezręczna sytuacja.

– Szczerze mówiąc – odezwał się pełnym napięcia głosem Chris Plout – ja już coś czuję, Hastings. – Oblizwał wargi. – Przepraszam, ale... tak naprawdę, to jestem tu sam. Nie ma ze mną nikogo z was.

Marm Hastings uważnie mu się przyjrzał.

– Tak – ciągnął Chris. – Jestem w mieszkadłe całkiem sam. Nikogo z was tu nie ma. Za to są książki, fotele i cała reszta. To do kogo ja mówię? Daliście mi jakąś odpowiedź? – Rozejrzał się, ale było jasne, że nikogo z nich nie widzi, przejeżdżał wzrokiem po nich wszystkich.

– Moje sutki nie patrzą ani na ciebie, ani na nikogo innego – zwróciła się Kathy do Hastingsa.

– Nic nie słyszę – powiedział spanikowany Chris. – Odpowiedzcie mi!

– Tutaj jesteście – rzekł Simon lid i zachichotał.

– Proszę – pisnął Chris, dla odmiany błagalnym tonem. – Powiedzcie coś. Widzę tylko cienie. Bez życia. Same martwe przedmioty. A to dopiero początek – aż boję się pomyśleć, co będzie dalej. To ciągle trwa.

Marm Hastings położył rękę na ramieniu Chrisa Plouta. Ręka przeszła przez ciało.

– No, to zwróciło nam się pięćdziesiąt dolarów – stwierdziła cichym, beznamytnym głosem Kathy Sweetscent. Zbliżyła się do Chrisa.

– Lepiej tego nie próbuj – poradził jej łagodnie Hastings.

– Spróbuję – odparła. I przeszła przez Chrisa Plouta. Ale nie pojawiła się po drugiej stronie. Zniknęła. Pozostał tylko Plout, ciągle skamlający, żeby mu odpowiedzieli, ciągle wymachujący rękami w poszukiwaniu towarzyszy, których nie mógł już dojrzeć.

Izolacja, pomyślał Bruce Himmel. Każdy z nas jest odcięty od innych. Okropność. Ale... to minie. Prawda?

Póki co nie miał pewności. A przecież dla niego wszystko miało się dopiero rozpocząć.

– Te bóle – stęknął sekretarz generalny ONZ Gino Molinari, ponownie leżąc na ogromnej, czerwonej, ręcznie wykonanej kanapie w salonie apartamentu Virgila Ackermana w Wasz-35 – zazwyczaj stają się najdokuczliwsze nocą. – Zamknął oczy, duża, mięsista twarz smutno obwisła, zarośnięte policzki trzęsły się. – Już mnie badali. Moim oficjalnym lekarzem jest doktor Teagarden. Przeprowadzali nie kończące się testy, zwracając szczególnie uwagę na raka złośliwego.

Eric pomyślał: Ten człowiek recytuje z pamięci, on tak normalnie nie mówi. Do tego stopnia jest tym zaabsorbowany. Odbywał ten rytuał tysiące razy, z tysiącami lekarzy. I mimo to wciąż cierpi.

– Raka złośliwego nie stwierdzono – dodał Molinari. – To najwyraźniej miarodajna opinia. – Jego słowa były jakby satyrą na pompatyczny lekarski żargon. Mol szczerze nienawidził lekarzy, skoro nie zdołali oni w niczym mu pomóc. – Najczęstsza diagnoza to ostry nieżyt żołądka. Albo skurcze zastawki odźwiernikowej. Albo nawet historyczne odtworzenie bólów porodowych mojej żony, których zaznała ona przed trzema laty. – Dokończył, na poły do siebie: – Krótko przed swoją śmiercią.

– Jak wygląda pańska dieta? – zapytał Eric. Mol otworzył ze znużeniem oczy.

– Dieta? Ja nie jem, doktorze. Nic nie jem. Żyję powietrzem, nie czytał pan o tym w homeogazetach? W odróżnieniu od was, zwykłych śmiertelników, nie potrzebuję pożywienia. Jestem inny. – Mówił z dojmującą, przytłaczającą goryczą.

– I ten pana stan przeszkadza panu w pełnieniu obowiązków? – spytał Eric.

Mol przyjrzał mu się badawczo.

– Uważa pan, że to jest psychosomatyczne, w myśl tej niemodnej pseudonauki, która próbowała zrzucić na ludzi moralną odpowiedzialność za ich choroby? – Splunął ze złością, twarz mu się wykrzywiła i przestała już być obwisła i rozdygotana – napięła się, jak gdyby coś wydymało ją od wewnątrz. – Że niby chciałbym uciec od obowiązków? Niech pan posłucha, doktorze, wciąż mam swoje obowiązki oraz ból. Czy można to nazwać dodatkowym zyskiem neurotyczno-psychologicznym?

– Nie – przyznał Eric. – Zresztą tak czy owak, nie mam kwalifikacji w dziedzinie medycyny psychosomatycznej, musiałby udać się pan do...

– Już się do nich udawałem – odparł Mol. Nagle podniósł się niezgrabnie na nogi i chwiejąc się, stanął przed doktorem Sweetscentem. – Proszę zawołać tu Virgila. Nie ma sensu, aby tracił pan czas na przesłuchiwanie mnie. Zresztą nie mam ochoty być przesłuchiwany. Nie zależy mi na tym. – Ruszył niepewnie ku drzwiom, po drodze podciągając obwisłe spodnie.

– Zdaje pan sobie chyba sprawę, panie sekretarzu, że istnieje możliwość usunięcia żołądka – odezwał się Eric. – W każdej chwili. A na jego miejsce można by wszczepić sztuczny. Operacja jest prosta i prawie zawsze się udaje. Nie znam historii pańskiego przypadku i nie powinienem tego wypowiadać, ale możliwe, że niedługo będzie się pan wręcz musiał poddać zabiegowi wymiany żołądka. Bez względu na ryzyko. – Eric był pewien, że ten człowiek przeżyje, jego lęki miały wyraźny charakter fobii.

– Nic z tego – powiedział spokojnie Molinari. – Nic nie muszę, to mój wybór. Mogę zamiast tego umrzeć.

Eric wytrzeszczył oczy.

– Jasne – ciągnął Molinari. – Mimo mojej funkcji sekretarza generalnego ONZ. Czy nie przyszło panu do głowy, że chcę umrzeć, że te bóle, te postępujące fizyczne – lub psychosomatyczne – schorzenia, mogą być dla mnie wyjściem. Nie chcę dłużej żyć. Być może.

Kto wie? Co to za różnica, dla kogokolwiek? Ale do diabła z tym. – Otworzył na oścież drzwi na korytarz. – Virgil – zagrział zdumiewająco silnym głosem. – Na litość boską, polewajmy i zaczynajmy przyjęcie. – Przez ramię rzucił do Erica: – Wiedział pan, że to przyjęcie? Założę się, że stary wcisnął panu, że odbędzie się tu poważna konferencja w sprawie rozwiązania politycznych, wojskowych i gospodarczych problemów Terry. W pół godziny. – Uśmiechnął się szeroko, ukazując wielkie, białe zęby.

– Szczerze mówiąc – odparł Eric – cieszę się, że to przyjęcie. – Rozmowa z Molinarim była dla niego równie trudna, jak dla Molinariego. A jednak przeczucie podpowiadało mu, że Virgil Ackerman nie zostawi tej sprawy w spokoju. Virgil chciał coś zrobić dla Mola, pragnął mu ulżyć w cierpieniu i miał po temu całkiem dobry, praktyczny powód.

Upadek Gina Molinariego oznaczałby koniec władzy Virgila w Korporacji. Zarządzanie kompleksami gospodarczymi Terry miało dla przedstawicieli Freneksy’ego kluczowe znaczenie, ich plany polityczne zostały prawdopodobnie szczegółowo opracowane.

Virgil Ackerman był sprytnym biznesmenem.

– Ile – odezwał się raptem Molinari – płaci panu ten stary przyk?

– B-bardzo dużo – odparł zaskoczony Eric. Molinari, mierząc go wzrokiem, powiedział:

– Rozmawiał ze mną o panu. Przed tym spotkaniem. Zdradził mi, że jest pan świetny. Że dzięki panu żyje o wiele dłużej niż powinien, takie tam głodne kawałki. – Obydwaj się uśmiechnęli. – Czego się pan napije, doktorze? Ja wciągam wszystko. Lubię też smażone kotlety, kuchnię meksykańską, żeberka i smażone krewetki w sosie chrzanowo-musztardowym... Dogadzam swojemu żołądkowi.

– Bourbon – zdecydował Eric.

Jakiś mężczyzna wszedł do pomieszczenia i rzucił okiem na Erica. Miał szarą, zaciętą twarz i Eric zdał sobie sprawę, że to jeden z agentów ochrony Mola.

– To Tom Johannson – wyjaśnił Mol. – On trzyma mnie przy życiu, jest moim doktorem Erikiem Sweetscentem. Ale służy mu do tego pistolet. Pokaż doktorowi swój pistolet, Tom. Pokaż, że możesz kropnąć każdego, w dowolnej chwili i z dowolnej odległości. Rozwał Virgila, kiedy pojawi się w korytarzu, strzel mu prosto w serce. Potem doktorek będzie mógł wkleić na to miejsce nowe serduszko. Ile czasu to zajmuje, doktorze? Dziesięć, piętnaście minut? – Mol głośno się roześmiał. Następnie skinął na Johannsona. – Tom, zamknij drzwi.

Agent spełnił polecenie. Mol stanął naprzeciw Erica.

– Proszę posłuchać, doktorze. Chcę pana o coś zapytać. Założmy, że zacząłby pan mnie operować, usunąłby pan stary żołądek, wstawił nowy i coś by nie wyszło. To by nie bolało, prawda? Bo byłbym nieprzytomny. Czy mógłby pan to zrobić? – Przypatrywał się twarzy Erica.

– Wie pan, o co mi chodzi? Widzę, że tak. – Za nimi stał przy zamkniętych drzwiach niewzruszony ochroniarz, nie wpuszczając nikogo, uniemożliwiając innym usłyszenie tej rozmowy. Brał w niej udział tylko Eric. Sprawa w najwyższym stopniu poufna.

– Dlaczego tak? – zapytał po chwili Eric. – Nie lepiej skorzystać po prostu z lugera-magnum Johannsona? Skoro tego pan chce...

– Naprawdę nie wiem dlaczego – odparł Mol. – Chyba bez żadnego konkretnego powodu. Może z powodu śmierci żony. Powiedzmy, że z powodu obowiązków, które na mnie ciążyą... i z których nie wywiązuję się prawidłowo, przynajmniej zdaniem wielu ludzi. Ja się z tym nie zgadzam, sądzę, że dobrze sobie radzę. Ale oni nie rozumieją wszystkich aspektów sytuacji. – Następnie przyznał: – I jestem zmęczony.

– To... dałoby się zrobić – stwierdził zgodnie z prawdą Eric.

– I pan mógłby to zrobić? – Oczy mężczyzny, bystre i skupione na Ericu, zapłonęły. Szacowały go z każdą upływającą sekundą.

– Tak, mógłbym.

Eric miał, prywatnie, dość osobliwe poglądy na temat samobójstwa. Pomimo lekarskiego kodeksu, etycznej postawy medycyny, był przekonany – w oparciu o pewne własne doświadczenia – że jeśli ktoś chce umrzeć, to ma do tego pełne prawo. Nie potrafił racjonalnie uzasadnić tego przekonania, nawet nie silił się na to. Teza wydawała mu się sama przez się oczywista. Nie znał żadnych dowodów przemawiających za tym, że życie jest dobrodziejstwem. Może takie było dla niektórych, dla innych najwyraźniej nie. Dla Gina Molinariego było koszmarem. Ten człowiek był chory, trapiły go wyrzuty sumienia, przygniatało olbrzymie, naprawdę beznadziejne zadanie: jego własni ludzie, Ziemianie, nie darzyli go zaufaniem, nie cieszył się też szacunkiem, ani zaufaniem, ani podziwem mieszkańców Lilstaru. Do tego dochodziły jeszcze rozterki osobiste, zdarzenia z życia prywatnego, poczynając od nagłej, niespodziewanej śmierci żony, a kończąc na bólach żołądka. A to nie było chyba wszystko, uświadomił sobie z całą dobitnością Eric. Pozostawały jeszcze czynniki znane tylko Molowi. Decydujące czynniki, o których nie zamierzał nikomu mówić.

– I zrobiłby pan coś takiego? – zapytał Molinari.

Po długiej, bardzo długiej chwili Eric odpowiedział:

– Tak, zrobiłbym. Musiałaby to być umowa między nami dwoma. Pan by o to poprosił, ja

spełniłbym prośbę i na tym by się skończyło. Byłaby to wyłącznie nasza sprawa.

– Tak. – Mol skinął głową i na jego twarzy odmalowała się ulga, jakby się odrobinę odprężył, jakby zyskał chwilę spokoju. – Teraz rozumiem, dlaczego Virgil pana polecał.

– Raz sam chciałem to ze sobą zrobić – wyznał Eric. – Całkiem niedawno.

Mol gwałtownie odwrócił głowę. Wpił się w Erica Sweetscenta wzrokiem tak ostrym, że przeszył on jego fizyczne ciało i wbił się w jego najgłębszą, najbardziej milczącą część.

– Naprawdę? – spytał Mol.

– Tak. – Eric skinął głową. Dlatego mogę cię zrozumieć, pomyślał, mogę wczuć się w twoje położenie, nawet nie znając dokładnych powodów.

– Ale ja – oznajmił Mol – chcę znać powody. – Tak bardzo przypominało to telepatyczne odczytywanie myśli, że Eric osłupiał, nie był w stanie odwrócić wzroku od przenikliwych oczu rozmówcy i nagle zdał sobie sprawę, że Mol wcale nie dysponuje żadnymi parapsychologicznymi zdolnościami, było to coś szybszego i potężniejszego.

Mol wyciągnął rękę, Eric odruchowo ją ujął. I od tej chwili nie mógł uwolnić się z uchwytu. Mol nie puścił jego ręki, ale ścisnął ją, aż ból przeniknął do barku Erica. Mol próbował lepiej mu się przyjrzeć, próbował – jak jeszcze niedawno Phyllis Ackerman – odkryć wszystko, co się da. Ale Mol nie zmyślał żadnych gładkich, łatwych teorii, jemu zależało na prawdzie, i to wyrażonej przez samego Erica Sweetscenta. Eric musiał opowiedzieć Molowi, co się stało, nie miał innego wyjścia.

Tak naprawdę w jego przypadku chodziło właściwie o drobiazg. O coś, co, gdyby o tym opowiedział – a nigdy nie wygłupił się na tyle, żeby zwierzyć się z tego nawet swojemu mózgowijowi – okazałoby się niedorzeczne, co całkiem słusznie sprawiłoby wrażenie, że jest idiotą. Albo, co gorsza, że jest umysłowo chory.

– Chodzi o pewien incydent z...

– Żoną – dokończył Mol, patrząc na Erica, nie odrywając od niego wzroku. I wciąż nie zwalniając uchwytu.

– Tak. – Eric skinął głową. – I z moimi taśmami wideo ze wspnianym komikiem z połowy dwudziestego wieku, Jonathanem Wintersem.

Ten bajeczny zbiór posłużył za pretekst do pierwszego zaproszenia Kathy Lingrom do siebie. Wyraziła chęć ich zobaczenia, pójścia do jego mieszkania i rzucenia okiem na kilka wybranych scen.

– I z faktu posiadania tych taśm wyciągnęła jakieś psychologiczne wnioski – podjął Mol. – Coś „znaczącego” na temat twojej osoby.

– Tak. – Eric skinął ponuro głową.

Po tym, jak zwinięta w kłębek spędziła wieczór w jego salonie, długonoga i gładka jak kot, z nagimi piersiami, pomalowanymi modnym akurat zielonym lakierem, nie spuszczać wzroku

z ekranu i oczywiście się śmiejąc – bo jak można było się oprzeć? – stwierdziła z zadumą:

– Wiesz co, ten Winters miał wielki talent do odgrywania ról. I kiedy już wszedł w rolę, pogrążał się w niej. Jak gdyby naprawdę wierzył, że staje się kim innym.

– Czy to źle? – zapytał Eric.

– Nie. Ale to mi wyjaśnia, dlaczego ciągnie cię do Wintersa. – Kathy obejmowała wilgotne, zimne szkło kieliszka, jej długie rzęsy opadły w zamyśleniu. – Z powodu tej jego szczątkowej osobowości, która nigdy nie pogrąża się w żadnej roli. Oznacza to, że opierasz się życiu, roli, którą odgrywasz – chirurga przeszczepów. Jakaś dziecięca, nieświadoma część ciebie nie chce przyłączyć się do społeczeństwa.

– Cóż, czy to źle? – Silił się na żartobliwość, usiłując – nawet wtedy – skierować tę pseudopsychiatryczną, nudną rozmowę na bardziej wesołe tory... tory, które wyraźnie rysowały się w jego wyobraźni, gdy obserwował jej czyste, nagie, bladozielone piersi, lśniące własnym blaskiem.

– To oszustwo – orzekła Kathy.

Na te słowa coś w nim wtedy jęknęło, w tej chwili zresztą również. Mol jakby to usłyszał, zauważył.

– Oszukujesz innych ludzi – ciągnęła Kathy. – Na przykład mnie. – Na szczęście wówczas – litościwie – zmieniła temat. Za to był jej wdzięczny. Mimo to czemu aż tak się tym przejął?

Później po ślubie, Kathy stanowczo zażądała, żeby trzymał kolekcję taśm w swojej pracowni, a nie we wspólnej części mieszkała. Mówiła, że taśmy w jakiś sposób ją drażnią. Ale nie wiedziała – czy też przynajmniej nie mówiła – dlaczego. I gdy wieczorami Eric odczuwał dawne pragnienie, by obejrzeć kawałek występu Wintersa, Kathy narzekała.

– Dlaczego? – zapytał Mol.

Eric nie wiedział. Nie rozumiał tego ani wtedy, ani teraz. Był to jednak złowróźbny znak, dostrzegał odrazę Kathy, lecz nie pojmował jej sensu, i ta niemożliwość zrozumienia tego, co dzieje się w jego własnym życiu małżeńskim, głęboko go niepokoiła.

Tymczasem dzięki wstawiennictwu Kathy został zatrudniony u Virgila Ackermana. Żona umożliwiła mu wielki skok w hierarchii życia ekonomicznego i społecznego. I oczywiście był jej wdzięczny, jak mogło być inaczej? Spełniła się jego główna ambicja.

Sposób jej urzeczywistnienia nie wydawał mu się przesadnie ważny: wiele żon pomagało mężom w kolejnych trudnych etapach kariery. I odwrotnie. A jednak...

Kathy nie dawało to spokoju. Mimo że ona była tego inicjatorką.

– To ona załatwiła ci tę pracę? – zapytał Mol z nachmurzoną miną. – I później ci to wypominała? Chyba już to rozumiem, bardzo dobrze rozumiem. – Zaczął dłubać w przednim zębie, ciągle nachmurzony i posępny.

– Pewnej nocy w łóżku... – Eric urwał, nie mógł dalej mówić. Było to zbyt osobiste.

I strasznie nieprzyjemne.

– Chcę poznać całą resztę – oznajmił Mol. Eric wzruszył ramionami.

– Cóż... powiedziała coś o tym, że ma już dość „tego cyrku, w którym tkwimy”. Przez „cyrk” rozumiała oczywiście moją pracę.

Leżąc nago w łóżku, z włosami opadającymi na ramiona – wtedy miała włosy znacznie dłuższe – Kathy stwierdziła:

– Ożeniłeś się ze mną po to, by zdobyć pracę. Sam nie dajesz sobie rady, a mężczyzna powinien być samodzielny. – Łzy wypełniły jej oczy, położyła twarz na poduszkę i rozplakała się – czy też przynajmniej udawała, że płacze.

– Nie daję sobie rady? – powtórzył zdezorientowany Eric.

– Nie pnieś się w górę – przerwał mu Mol. – Nie masz lepszej pracy. To mają na myśli, kiedy mówią coś w tym guście.

– Ale ja lubię swoją pracę – odparł Eric.

– Czyli wystarcza ci – stwierdziła Kathy zduszonym, rozgoryczonym głosem – że stwarzasz pozory człowieka sukcesu. Którym naprawdę nie jesteś. – Po czym, pociągając nosem, dorzuciła: – I jesteś kiepski w łóżku.

Wstał, poszedł do salonu, posiedział tam trochę samotnie, po czym odruchowo skierował się do pracowni, gdzie umieścił w projektorze jedną ze swoich cennych taśm z Johnnym Wintersem. Przez pewien czas siedział nieszczęśliwy i patrzył, jak Johnny zmienia kolejne kapelusze i z każdą zmianą staje się coraz to inną osobą. I wtedy...

W drzwiach pojawiła się Kathy, zgrabna, naga i szczupła, z wykrzywioną twarzą.

– Znalazłeś ją?

– Co znalazłem? – Wyłączył projektor.

Taśmę, którą zniszczyłam – oznajmiła. Wpatrywał się w nią, niezdolny do zrozumienia tego, co usłyszał.

– Kilka dni temu. – Mówiła wyzywającym, przeszywającym go tonem. – Byłam w mieszkadle sama, zrobiło mi się smutno – ty zajmowałeś się jakimiś głupiznami u Virgila – i założyłam jakąś taśmę, założyłam ją jak trzeba, ściśle według instrukcji. Ale coś poszło nie tak. I skasowała się.

Mol jęknął ponuro i powiedział:

– W takich sytuacjach mówi się: „Nie szkodzi”.

Eric wiedział o tym, zarówno wtedy, jak i teraz, ale mimo to spytał zduszonym, ochryplym głosem:

– Która to taśma?

– Nie pamiętam.

– Która, do jasnej cholery? – Uniósł głos, było to silniejsze od niego. Pognał do półki

i wyciągnął pierwsze pudełko, otworzył je i zaniósł od razu do projektora.

– Wiedziałaś – oznajmiła Kathy szorstkim, przybitym głosem, obrzucając go pełnym pogardy wzrokiem – że twoje... taśmy znaczą dla ciebie więcej niż ja... Zawsze tak było.

– Powiedz mi, która to taśma! – błagał. – Proszę!

– Oczywiście nie powiedziała ci tego – mruknął zamyślony Mol. – Dokładnie o to chodziło. Musiałbyś odtworzyć każdą taśmę, żeby to odkryć. Kilka dni z projektorem. Sprytna damulka, cholernie sprytna.

– Nie – odparła Kathy cichym, zgorzkniałym, niemal słabym głosem. Twarz wykrzywiła jej teraz nienawiść do Erica. – Cieszę się, że to zrobiłam. I wiesz, co zamierzam zrobić? Zniszczyć je wszystkie.

Gapił się na nią. Bez słowa.

– Zaslugujesz na to – ciągnęła Kathy – bo ukryłeś prawdę i nie ofiarowałeś mi całej swojej miłości. Tutaj jest twoje miejsce, tu, gdzie się wijesz jak zwierzę, jak spanikowane zwierzę. Spójrz tylko na siebie! Żałosne – trzęsiesz się i zaraz wybuchniesz płaczem. Bo ktoś zniszczył ci jedną z twoich NIEZMIERNIE ważnych taśm.

– Ale – zaoponował – to przecież moje hobby. Pasja całego życia.

– Jak kaszka manna dla niemowlaka.

– Nie można ich odzyskać. Posiadam jedyne egzemplarze części z nich. Na przykład tej z programem Jacka Pa-ara...

– No i co z tego? Wiesz co, Eric? Czy ty wiesz, czy ty naprawdę wiesz, dlaczego lubisz oglądać facetów na wideo?

Mol stęknął, jego mięsista, ociężała, wiekowa twarz drgnęła.

– Bo – oświadczyła Kathy – jesteś pedziem.

– Auć – wymamrotał Mol i mrugnął.

– Jesteś tak naprawdę homoseksualistą. Szczerze wątpię, czy sobie to uświadamiasz, ale nie da się temu zaprzeczyć. Tylko spójrz na mnie, spójrz. Oto ja. Jestem bardzo atrakcyjną kobietą, którą masz do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy.

– I za darmo – skomentował z wykrzywioną twarzą Mol.

– A mimo to siedzisz tu z tymi taśmami, zamiast mnie przelecieć w sypialni. Mam nadzieję, najszczęśliwszą nadzieję, że zniszczyłam ci akurat tę kasetę... – Urwała i odwróciła się do niego tyłem. – Dobranoc. I miłej zabawy z samym sobą. – Trudno w to uwierzyć, ale zapanowała nad głosem, który stał się zupełnie spokojny.

Eric podniósł się z kucków i skoczył w jej stronę. Wyciągnął do niej rękę, gdy odchodziła korytarzem, zgrabna, blada, naga, odwrócona do niego plecami. Chwytał ją, chwycił mocno, zatopił palce w jej miękkich ramionach. Obrócił ją. Mrugając w zaskoczeniu, spojrzała mu w twarz.

– Ja cię... – zaczął, lecz urwał. Chciał powiedzieć: Ja cię zabiję. Ale gdzieś w nieporuszonych głębiach jego umysłu, uśpiona pod szaleństwem jego histerycznych wyczynów, chłodna i racjonalna część jego osobowości wyszeptala mu swoje lodowate przykazanie: Nie mów tego. Bo jak powiesz, to będzie cię miała w garści. Nigdy ci tego nie zapomni. Będzie cię gnębiła do końca życia. Tej kobiety nie wolno krzywdzić, bo ona się zna na krzywdzeniu, wie, jak oddać. Z tysiąckrotną nawiązką. Tak, na tym polega jej mądrość, że wie, jak to się robi. Niezależnie od innych rzeczy.

– Puść mnie. – Jej oczy płonęły przyćmionym blaskiem.

Puścił.

Po chwili Kathy odezwała się, pocierając ramię:

– Ta kolekcja taśm ma zniknąć z tego mieszkania do jutra wieczór. W przeciwnym wypadku między nami wszystko skończone, Eric.

– Dobrze – odparł, kiwając głową.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnęła Kathy. – Masz rozejrzeć się za lepiej płatną pracą. W jakiejś innej firmie. Żeby nie potykała się o ciebie na każdym kroku. A potem... zobaczymy. Może uda nam się ze sobą wytrzymać. Na nowych warunkach, bardziej sprawiedliwych dla mnie. Tak, żebyś mógł zwracać więcej uwagi na moje potrzeby, a nie tylko na swoje. – Niesamowite, że sprawiała wrażenie całkowicie trzeźwej i opanowanej. Godne podziwu.

– Pozbyłeś się taśm? – zapytał Mol.

Eric skinął głową.

– I przez kilka następnych lat dokładałeś wszelkich starań, by opanować swoją nienawiść do żony.

Eric raz jeszcze pokiwał głową.

– I nienawiść do niej – mówił dalej Mol – zmieniła się w nienawiść do siebie samego. Bo nie mogłeś znieść myśli, że boisz się jednej małej kobiety. Ale bardzo potężnej osoby – zwróć uwagę, że mówię „osoby”, a nie „kobiety”.

– Te ciosy poniżej pasa – zaczął Eric – jak skasowanie taśmy...

– Ciosem poniżej pasa – przerwał mu Mol – nie było to, że skasowała taśmę, tylko to, że nie chciała ci powiedzieć którą. I to, że wyraźnie dała ci do zrozumienia, że cała sytuacja sprawia jej radość. Gdyby przepraszała... Ale tacy ludzie, takie kobiety, nigdy nie przepraszają. Nigdy. – Umilkł na chwilę. – I nie możesz jej porzucić.

– Jesteśmy złączeni – rzekł Eric. – Szkody zostały wyrządzone. – Wzajemne zadawanie sobie bólu w nocy, kiedy nikt nie mógł zainterweniować, podsłuchać i przyjść z pomocą. Pomoc, pomyślał Eric. Obojgu nam potrzebna jest pomoc. Bo to się nie skończy, sytuacja będzie się tylko pogarszała, nadzierała nas bezustannie, aż w końcu litościwy los...

Ale to może potrwać wiele długich lat.

Dlatego Eric rozumiał pragnienie śmierci Gina Molinariego. Podobnie jak Mol, potrafił wyobrazić ją sobie jako oswobodzenie – jedyne skuteczne oswobodzenie, jakie istniało... albo na pozór istniało, wzięwszy pod uwagę ignorancję, zwyczaje i głupotę zainteresowanych. Wzięwszy pod uwagę ponadczasową istotę człowieczeństwa.

W gruncie rzeczy Eric poczuł, że łączy go z Molinarem mocna więź.

– Jeden z nas – wyczuł tę myśl Mol – cierpi nieznośne męki w sferze osobistej, ukryty przed szeroką publicznością, mały i nieważny. Drugi cierpi publicznie w wielkim rzymskim stylu, niczym trafiony włócznią i konający bóg.

Zadziwiająco. Dokładne przeciwieństwa. Mikro – i makrokosmos.

Eric przytaknął.

– W każdym razie – rzekł Mol, puszczając rękę Erica i klepiąc go po ramieniu – ja jeszcze pogarszam twój stan. Przepraszam, doktorze Sweetscent, zmieńmy temat. – Odezwał się do ochroniarza: – Otwieraj drzwi. Skończyliśmy.

– Chwileczkę – wtrącił się Eric. Ale nie wiedział, co mówić dalej, jak to powiedzieć.

Mol go wyręczył.

– Co powiedziałbyś na posadę w mojej ekipie? – zaproponował zniechęca, przerywając ciszę. – To się da załatwić, formalnie rzecz biorąc, równałoby się to powołaniu cię do służby wojskowej. – I dodał: – Możesz być pewien, że zostaniesz moim osobistym lekarzem.

– Propozycja jest ciekawa – odparł Eric, udając obojętność.

– Nie będziesz się o nią potykał na każdym kroku. To może być początek. Początek oddzielania was od siebie.

– To prawda. – Eric skinął głową. Szczera prawda. I bardzo nęcąca perspektywa, jeśli się nad tym zastanowić. Co za ironia losu – wszystko dokładnie zgadzało się z żądaniami, którymi Kathy nękała go od lat. – Będę musiał omówić to z żoną – zaczął i zarumienił się. – A przynajmniej z Virgilem – wymamrotał. – W każdym razie, jego zgoda jest tu konieczna.

Przyglądając mu się srogo, Mol wycedził ponurym tonem:

– Jest jedno ale. To prawda, że pracując u mnie, nie będziesz zbyt często widywał żony. Ale za to będziesz spotykał wielu naszych... – Skrzywił się. – Sojuszników. Wydaje ci się, że będzie cię bawić towarzystwo Staryjczyków? Może się okazać, że sam masz pewne nocne kłopoty z żołądkiem... albo nawet, co gorsza, jakieś zaburzenia psychosomatyczne, których możesz nie przewidzieć, mimo swojej profesji.

– I tak już męczę się nocami. Teraz będę miał przynajmniej jakieś towarzystwo – odparł Eric.

– Mnie? – zdziwił się Molinari. – Nie, Sweetscent, ani ty, ani nikt inny nie uznałby mnie za żadnego towarzysza. Jestem człowiekiem, który nocą jest żywcem obdzierany ze skóry. Kładę się o dziesiątej, a o jedenastej jestem zazwyczaj z powrotem na nogach. Ja... – Przerwał, popadając w zadumę. – Tak, noc nie jest dla mnie dobrą porą, ani trochę.

Widać to było wyraźnie na jego twarzy.

Wieczorem po powrocie z Wasz-35 Eric Sweetscent spotkał się z Kathy w mieszkadle po drugiej stronie granicy, w San Diego. Żona przybyła do domu przed nim. Spotkanie było oczywiście nieuniknione.

– Wracamy z malutkiego, czerwonego Marsika – zauważyła Kathy, gdy Eric zamykał za sobą drzwi salonu. – Co porabiałeś przez te dwa dni? Rzucałeś kamyczkiem do celu i pobiłeś wszystkich chłopców i wszystkie dziewczęta na głowę? A może oglądałeś słoneczne zdjęcia Toma Mixa? – Siedziała na środku kanapy z drinkiem, włosy miała związane z tyłu głowy, co upodabniało ją do nastolatki, założyła czarną sukienkę, która ukazywała długie i gładkie nogi przepięknie zwięzające się u kostek. Stopy miała bose, na każdym paznokciu znajdowała się błyszcząca kalkomania ukazująca – nachylił się, żeby się przyjrzeć – jakąś barwną scenę z podboju normńskiego. Na najmniejszych paznokciach lśniły obrazki zbyt obsceniczne jak na jego gust, po szedł powiesić płaszcz w garderobie.

– Oderwaliśmy się od wojny – oznajmił.

– Jacy my? Ty i Phyllis Ackerman? Czy ty i jeszcze jakaś inna?

– Wszyscy tam byli. Nie tylko Phyllis. – Eric zastana wiał się, co sobie przygotować na kolację: pusty żołądek domagał się jedzenia. Póki co, jeszcze nie bolał. Ale może i na to przyjdzie czas.

– Czy nie zostałam zaproszona na tę wycieczkę z jakiegoś konkretnego powodu? – Jej głos uderzał jak śmiertelny bicz, sprawiał, że jego ciało kuliło się w sobie, tkwiące w nim biochemiczne zwierzę lękało się wymiany zdań, która go czekała. Kathy też czuła to samo. Widać było, że także ją siła wyższa zmusza do konfrontacji, była równie zagubiona i bezradna jak on.

– Bez żadnego powodu. – Eric wszedł do kuchni, nieco ogłuszony, jak gdyby pierwsze natarcie żony stępiło mu zmysły. Tego typu utarczki nauczyły go, że trzeba bronić się na poziomie somatycznym, jeżeli tylko jest to możliwe. Tę konieczność uświadamiali sobie tylko starzy, zmęczeni i doświadczeni przez los mężowie. Nowicjusze... prą przed siebie, kierowani reakcjami międzymózgowia. Im jest ciężiej.

– Nie usłyszałam odpowiedzi – oznajmiła Kathy, stając w kuchennych drzwiach. – Chcę wiedzieć, dlaczego z premedytacją wyłączono mnie z całej imprezy.

O Boże, jaka ona była atrakcyjna, pod czarną sukienką była oczywiście naga i Eric miał przed sobą każdą krzywiznę jej ciała, całą jego dobrze znaną smakowitość. Ale gdzie się podziała łagodna, uległa, bliska Ericowi dusza, która towarzyszyła niegdyś tej namacalnej postaci? Furie zadbały o to, żeby kłątwa – kłątwa domu Sweetscentów, jak ją czasami nazywał na własny użytek – spadła na niego z całą mocą, stał przed istotą, która pod względem fizycznym

była wręcz wcieleniem doskonałości, natomiast pod względem umysłowym...

Pewnego dnia ta twardość, nieelastyczność, przeżre ją na wylot, anatomiczne błogosławieństwa zwapnieją. I co wtedy? Zapowiadała to już jej głos, który zauważalnie zmienił się w ciągu kilku ostatnich lat, nawet kilku ostatnich miesięcy. Biedna Kathy, pomyślał Eric. Bo kiedy śmiertelne moce lodu i zimna ogarną twoje lędźwie, piersi, biodra i pośladki tak, jak z całą pewnością opanowały już serce, skończy się twoja kobiecość. A tego nie przeżyjesz. Niezależnie od poczynąń moich czy jakiegokolwiek innego mężczyzny.

– Wyłączono cię – powiedział ostrożnie – bo jesteś potworem.

Wytrzeszczyła oczy, które natychmiast wypełniły się paniką i niezwyklejszym zdumieniem. Nie rozumiała. Na ułamek sekundy została sprowadzona na ziemię, do ludzkiego poziomu, zelżał pobudzający ją, atawistyczny ucisk.

– Choćby w tej chwili – dodał. – Więc zostaw mnie w spokoju. Chcę zrobić sobie kolację.

– Niech Phyllis Ackerman ci ją zrobi – zaproponowała Kathy. Powróciła nadludzka władczość, szyderstwo wyczarowane ze zniekształconej kryptomądrości wielu stuleci. Niemal telepatycznie, z kobiecą intuicją, odkryła jego drobny romansik z Phyllis w drodze na Marsa. A na samym Marsie, podczas noclegu...

Ze spokojem założył, że jej nadzwyczajne władze umysłowe nie będą w stanie tego przeniknąć. Nie zwracając na żonę uwagi, odwrócony do niej plecami, zaczął odgrzewać w kuchence na podczerwień mrożonego kurczaka.

– Zgadnij, co zrobiłam – zaczęła Kathy – gdy cię nie było.

– Znalazłaś sobie kochanka.

– Wypróbowałam nowy halucynogeny narkotyk. Dostałam go od Chrisa Plouta. Zebraliśmy się u niego na ćpanko, a był tam nie kto inny jak słynny na cały świat Marm Hastings. Próbował mnie poderwać, kiedy byliśmy pod wpływem stafu i... no, to była czysta poezja.

– Coś ty? – mruknął Eric, przygotowując dla siebie na stole nakrycie.

– Jak bajecznie byłoby urodzić jego dziecko.

– „Bajecznie”. Chryste, co za dekadenska angielszczyzna. – Zapędzony w matnię, odwrócił się do niej: – Czy ty i on...

– Niewykluczone, że to była halucynacja. – Kathy uśmiechnęła się. – Choć nie sądzę. Wiesz dlaczego? Bo kiedy wróciłam do domu...

– Oszczędź mi szczegółów! – Nagle Eric zaczął się cały trząść.

W salonie rozległ się dzwonek wideofonu.

Eric ruszył tam, podniósł słuchawkę i na niewielkim, szarym ekranie zobaczył twarz mężczyzny znanego mu jako kapitan Otto Dorf, wojskowy doradca Gina Molinariego. Dorf przebywał z nimi w Wasz-35, czuwając nad bezpieczeństwem. Miał pociągłą twarz z wąskimi, melancholijnymi oczami, był człowiekiem całkowicie oddanym sprawie ochrony sekretarza.

– Doktor Sweetscent?

– Tak – potwierdził Eric. – Ale jeszcze nie...

– Czy godzina wystarczy? Wyślemy helikopter, który odbierze pana o ósmej waszego czasu.

– Wystarczy – powiedział Eric. – Spakuję się i będę czekał w holu w moim budynku.

Odłożył słuchawkę i wrócił do kuchni. Kathy wykrztusiła:

– O Boże, Eric, moglibyśmy porozmawiać? O rety. – Opadła na krzesło przy stole i ukryła twarz w dłoniach. – Między mną a Hastingsem do niczego nie doszło. Jest przystojny, a ja rzeczywiście wzięłam narkotyk, ale...

– Słuchaj – przerwał jej, cały czas przygotowując sobie kolację. – Wszystko to zostało ustalone dzisiaj w Wasz-35. Taka jest wola Virgila. Długo i spokojnie o tym rozmawialiśmy. Molinari potrzebuje mnie w tej chwili bardziej niż Virgil. W rzeczy samej mogę wciąż pomagać Virgilowi przy wszczepach, ale na stałe będę przebywał w Cheyenne. – Dodał: – Zostałem powołany do wojska: od jutra zostaję lekarzem w siłach zbrojnych ONZ, przydzielonym do personelu sekretarza Molinariego. Nie mogę już tego zmienić, Wczoraj wieczorem Molinari podpisał stosowne zarządzenie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Patrzyła na niego przerażona.

– Żeby się z tego wydobyć. Zanim któreś z nas...

– Nie będę już przepuszczać pieniędzy.

– Jest wojna. Giną ludzie. Molinari jest chory i potrzebuje pomocy medycznej. Niezależnie od tego, czy przepuszczasz pieniądze, czy nie...

– Ale sam prosiłeś o tę posadę.

– Wręcz błagałem – stwierdził. – Wcisnąłem Virgilowi najlepszy kit w historii ludzkości.

Kathy opanowała się i zaczęła intensywnie myśleć.

– Ile będziesz zarabiał?

– Bardzo dużo. Jednocześnie wciąż będę otrzymywał wynagrodzenie z Korporacji.

– Czy istnieje jakiś sposób na to, żebyś ci towarzyszyła?

– Nie. – Zadbał o to.

– Wiedziałaś, że zostawisz mnie na lodzie, kiedy ci się wreszcie powiedzie – próbowałeś uciec ode mnie od chwili, gdy się poznaliśmy. – W oczach Kathy pojawiły się łzy. – Słuchaj, Eric, obawiam się, że od tego narkotyku, który zażyłam, można się uzależnić. Strasznie się boję. Nie masz pojęcia, co on wyprawia z człowiekiem, sądzę, że stworzono go gdzieś poza Ziemią, może na Lilistarze. A jeżeli będę musiała ciągle go brać? Jeżeli przez twoje odejście...

Pochylił się i wziął ją w ramiona.

– Powinnaś trzymać się z daleka od tych ludzi, tyle razy ci to mówiłem... – Rozmowa z nią nie miała sensu, wiedział co ich oboje czeka. Kathy miała w zanadrzu broń, za pomocą której mogła go z powrotem do siebie przyciągnąć. Bez niego zniszczy ją związek z Ploutem,

Hastingsem i kompanią, porzucenie jej tylko pogorszy jej sytuację. Choroby, która zżerała ich od lat, nie da się wyleczyć czynem, który sobie wymyślił, tylko w marsjańskiej krainie dzieciństwa mógł sobie coś takiego ubzdurać.

Zaniósł ją do sypialni i posadził łagodnie na łóżku.

– Ach – szepnęła i zamknęła oczy. – Och, Eric... – Westchnęła zmysłowo.

Ale nie mógł się przemóc. Także co do tego. Odsunął się od niej haniebnie i usiadł na brzegu łóżka.

– Muszę odejść z Korporacji – oznajmił – a ty musisz się z tym pogodzić. – Pogładził ją po włosach. – Molinari rozłazi się w szwach, być może będę w stanie mu pomóc, przynajmniej muszę spróbować. Rozumiesz? Oto prawdziwy pow...

– Kłamiesz – przerwała mu Kathy.

– Jak to? Dlaczego? – Ciągłe gładził jej włosy, ale był to już gest mechaniczny, pozbawiony woli i przyjemności.

– Kochałbyś się ze mną teraz, gdyby powód był taki, jak mówisz. – Zapięła guziki sukienki. – Nie zależy ci na mnie. – W jej głosie zabrzmiała pewność, rozpoznał ten obojętny, wysoki ton. Ciągłe natyka się na tę barierę, nie może się przez nią przedrzeć. Tym razem nawet nie marnował czasu na próby, tylko dalej głaskał ją po głowie, myśląc: Jeśli coś jej się stanie, obciąży to moje sumienie, i ona o tym doskonale wie. Zatem jest uwolniona od ciężaru odpowiedzialności, a dla niej to rzecz najgorsza z możliwych.

Jaka szkoda, pomyślał, że nie mogłem się z nią kochać. – Kolacja gotowa – stwierdził, wstając. Kathy usiadła.

– Eric, zapłacisz za to, że mnie zostawiasz. – Wygładziła sukienkę. – Rozumiesz?

– Tak – odparł i poszedł do kuchni.

– Poświęcę temu życie – zawołała Kathy z sypialni. – Mam teraz powód, żeby żyć. To cudowne uczucie, mieć wreszcie jakiś cel. Coś niesamowitego. Po tylu bezsensownych, okropnych latach przy tobie. Dobry Boże, jakbym się narodziła na nowo.

– Powodzenia życzę – rzucił.

– Powodzenia? Nie potrzebuję powodzenia, potrzebuję umiejętności, a tych, jak sądzę, mi nie brakuje. Sporo się nauczyłam, gdy byłam pod wpływem tego narkotyku. Szkoda, że nie potrafię ci tego opisać. To niezwykły narkotyki, Eric – zmienia postrzeganie całego świata, zwłaszcza innych ludzi. Po tym wszystkim już nigdy nie patrzy się na nich tymi samymi oczyma. Też powinieneś tego spróbować. Bardzo by ci to pomogło.

– Mnie – odparł – już nic nie pomoże. Słowa te zabrzmiały jak epitafium.

Prawie skończył się pakować – długo po zjedzeniu kolacji – gdy rozległ się dzwonek do drzwi mieszkać. Był to Otto Dorf, który przyleciał już wojskowych helikopterem, więc Eric spokojnie poszedł mu otworzyć.

Rozglądając się po mieszkadle, Dorf zapytał:

– Udało się panu pożegnać z żoną, doktorze?

– Tak. – odparł Eric i dodał: – Już wyszła, jestem sam. – Zamknął walizkę i zaniósł ją razem z drugą walizką do drzwi. – Jestem gotowy. – Dorf wziął jedną z walizek i skierowali się obaj do windy. – Niezbyt dobrze to przyjęła – rzucił Eric, gdy zjeżdżali.

– Ja nie jestem żonaty, doktorze – oświadczył Dorf. – Nie zorientowałbym się. – Zachowywał się oficjalnie i uprzejmie.

W helikopterze czekał jeszcze jeden mężczyzna. Gdy Eric wspiął się po drabince, wyciągnął do niego rękę.

– Miło mi pana poznać, doktorze. – Mężczyzna, ukryty w mroku, wyjaśnił: – Jestem Harry Teagarden, szef personelu medycznego sekretarza. Cieszę się, że będzie pan z nami pracował, sekretarz nie poinformował mnie o tym zawczasu, ale to drobiazg – on zawsze działa pod wpływem odruchu.

– Sweetscent. – Eric uściśnął mu dłoń, wciąż rozmyślając o Kathy.

– Co pan pomyślał o stanie Molinariego podczas waszego pierwszego spotkania?

– Sekretarz wygląda na zmęczonego.

– On umiera – powiedział Teagarden. Eric zerknął na niego i zapytał:

– Na co? W tych czasach, kiedy wszczepy są dostępne bez...

– Współczesne techniki chirurgiczne są mi znane, proszę mi wierzyć – rzekł oschle Teagarden. – Sam pan widział, jak fatalistycznie jest nastawiony. Najwyraźniej chce ponieść karę za to, że wciągnął nas w wojnę. – Teagarden na chwilę umilkł, podczas gdy helikopter wznosił się ku nocnemu niebu. Po chwili podjął: – Czy przyszło panu kiedyś do głowy, że Molinari sprokurował naszą przegraną? Że chce przegrać? Nie sądzę, żeby taka możliwość nasunęła się nawet najbardziej zaciekłym spośród jego politycznych wrogów. Mówię to panu, bo nie zostało nam już za dużo czasu. W tej właśnie chwili Molinari znajduje się w Cheyenne, gdzie przechodzi potężny atak ostrego nieżytu żołądka – czy jak pan to nazwie. Wrócił z urlopu w Wasz-35 i nie może ruszyć ani ręką, ani nogą.

– Wewnętrzny krwotok?

– Jeszcze nie. Chyba że już go miał, ale nam nie powiedział. To u niego możliwe, Molinari jest z natury małomówny. W gruncie rzeczy nikomu nie ufa.

– I ma pan absolutną pewność, że to nie jest rak złośliwy?

– Nic nie wykryliśmy. Ale Molinari nie pozwala nam przeprowadzać tylu badań, ile byśmy chcieli. Wykręca się. Jest zbyt zajęty. Musi podpisać dokumenty, przygotować mowy, przedstawić Zgromadzeniu Ogólnemu projekty ustaw. Usiłuje sam nad wszystkim panować. Nie dzieli się władzą, a kiedy już do tego dochodzi, tworzy organizacje o pokrywających się kompetencjach, które natychmiast zaczynają ze sobą rywalizować. W ten sposób chroni siebie. –

Teagarden spojrział z ciekawością na Erica. – Co panu powiedział w Wasz-35?

– Niewiele. – Eric nie miał zamiaru ujawniać treści tamtej rozmowy. Molinari bez wątpienia chciał, aby była ona ściśle poufna. Tak naprawdę, uświadomił sobie Eric, to był główny powód sprowadzenia go do Cheyenne. Eric miał do zaoferowania Molowi coś, czego nie mieli inni lekarze, osobliwą rzecz, jak na medyka... Ciekawe, jak zareagowałby Teagarden, gdyby Eric mu o tym powiedział. Zapewne – i słusznie – kazałby go aresztować. Oraz rozstrzelać.

– Wiem, dlaczego pana do nas przyłączył.

– Naprawdę? – mruknął Eric. Wątpił w to.

– Molinari idzie po prostu za głosem swoich instynktownych uprzedzeń, chce mieć nas pod podwójną kontrolą, wprowadzając do zespołu świeżą krew. Ale nikt nie ma nic przeciwko temu, w gruncie rzeczy jesteśmy mu wdzięczni – pracy mamy aż za dużo. Wie pan oczywiście, że sekretarz ma ogromną rodzinę, większą nawet niż Virgil Ackerman, pana dawny pracodawca typu pater familias.

– Zdaje się, że czytałem, że ma trzech wujów, sześciu kuzynów, ciotkę, siostrę, starszego brata, który...

– I wszyscy mieszkają w Cheyenne – powiedział Teagarden. – Bez przerwy. Plątają mu się pod nogami, wyłudniają drobne przysługi, lepsze jedzenie, kwatery, służących – rozumie pan. I... – Urwał. – Powinienem dodać, że jest jeszcze kochanka.

Tego Eric nie wiedział. Nikt o tym nigdy nie wspominał, nawet wroga sekretarzowi prasa.

– Nazywa się Mary Reineke. Poznał ją przed śmiercią żony. Formalnie, według dokumentów, jest jego osobistą sekretarką. Lubię ją. Wiele dla niego zrobiła, i przed, i po śmierci żony. Bez niej prawdopodobnie w ogóle by nie utrzymał się przy życiu. Staryjczycy jej nie cierpią... nie bardzo wiem dlaczego. Możliwe, że przeoczyłem coś istotnego.

– Ile ona ma lat? – Bo sekretarz, jak sądził Eric, miał około pięćdziesiątki.

– Jest tak młoda, jak to tylko leży w ludzkiej mocy. Proszę nie spaść z fotela, doktorze. – Teagarden zachichotał. – Gdy się poznali, chodziła do liceum. Dorabiała popołudniami, pisząc na maszynie. Może wręczyła mu jakiś dokument... nikt nie wie nic na pewno, ale rzeczywiście poznali się przy okazji załatwiania jakichś rutynowych spraw.

– Czy można z nią rozmawiać o jego chorobie?

– Jak najbardziej. To właśnie ona – i tylko ona – była w stanie namówić go do zażywania fenobarbitalu i patabamatu, kiedy chcieliśmy wypróbować te leki. Mówił, że od fenobarbitalu chce mu się spać, a od patabamatu zasycha mu w ustach. Dlatego oczywiście wyrzucał je do zsyphu, przestał brać. Mary przekonała go, żeby wrócił do leków. Pochodzi z Włoch. Tak jak on. Potrafi na niego nawrzeszczyć w sposób, jaki Molinari pamięta z dzieciństwa, być może robiła to jego mama... albo siostra czy ciotka, wszyscy na niego wrzeszczą, a on to znosi, choć nikogo nie słucha, z wyjątkiem Mary. Ona mieszka w ukrytym mieszkadle w Cheyenne, strzeżonym przez

kordon służby bezpieczeństwa – ze względu na Staryjczyków. Molinari boi się, że pewnego dnia oni... – Teagarden urwał.

– Oni co?

– Zabiją ją lub okaleczą. Albo zlikwidują połowę jej procesów umysłowych, zmieniają w bezmózgie warzywo, mają do dyspozycji różnorodne techniki. Pewnie nie wiedział pan, że nasze stosunki z sojusznikiem są na najwyższym szczeblu takie brutalne, co? – Teagarden uśmiechnął się. – Ta wojna jest brutalna. Tak postępuje w stosunku do nas Lilitar, nasz potężny sprzymierzeniec, przy którym wyglądamy jak pchełka. Proszę więc sobie wyobrazić, jak traktowałby nas wróg, rigowie, gdyby przerwał nasze linie obronne.

Przez pewien czas lecieli w milczeniu. Nikt nie miał ochoty mówić.

– Jak pan sądzi, co by się stało – zaczął wreszcie Eric – gdyby Molinari zniknął ze sceny?

– Cóż, są dwie możliwości. Albo będziemy mieli kogoś bardziej proilistarskiego, albo nie. Jakie są inne alternatywy, i dlaczego pan pyta? Sądzi pan, że stracimy naszego pacjenta? W takim wypadku, doktorze, stracimy też pracę, może nawet życie. Pańskie – i moje – istnienie zależy wyłącznie od utrzymania przy życiu pewnego otyłego Włocha w średnim wieku, który mieszka w Cheyenne w stanie Wyoming z ogromną rodziną i osiemnastoletnią kochanką, który dostaje bólów żołądka i lubi jeść późnym wieczorem gigantyczne panierowane krewetki w sosie musztardowo-chrzanowym. Nie obchodzi mnie, co panu powiedziano ani co pan podpisał, przez dłuższy czas nie będzie pan wszczepiał Virgilowi Ackermanowi żadnych sztucznych narządów, nie nadarzy się panu okazja, ponieważ utrzymywanie Molinariego przy życiu to robota na pełny etat. – Teagarden sprawiał teraz wrażenie rozdrażnionego i wyprowadzonego z równowagi, w ciemnościach kabiny helikoptera rozlegał się jego urywany głos. – Ja już nie daję sobie rady, Sweetscent. Molinari zajmie panu całe życie, zagada pana na śmierć, będzie wygłaszał próbne mowy na każdy możliwy temat – będzie pytał o pana zdanie o wszystkim, od antykoncepcji po grzyby – jak je przyrządzać – i po Boga, i co by było gdyby, i tak dalej. Jak na dyktatora – a zdaje pan sobie sprawę, że on nim właśnie jest, tyle że nie lubimy używać tego określenia – jest nietypowy. Po pierwsze, jest prawdopodobnie największym żyjącym strategiem politycznym, bo w jaki inny sposób, pana zdaniem, dochrapałby się stanowiska sekretarza generalnego ONZ? Zajęło mu to dwadzieścia lat, wypełnionych nieustanną walką, usuwał każdego napotkanego przeciwnika politycznego, ze wszystkich krajów na Ziemi. Potem skumał się z Lilitarem. Tak zwana polityka zagraniczna. W tej dziedzinie arcystrateg poniósł klęskę, gdyż w tym momencie przytrafiło mu się osobliwe zaćmienie umysłu. Wie pan, jak to się nazywa? Ignorancja. Molinari przez całe życie uczył się, jak kopać ludzi w krocze, a w przypadku Freneksy’ego taka taktyka jest bezużyteczna. Z Freneksym Molinari nie potrafiłby się bardziej dogadać niż pan czy ja – może nawet gorzej.

– Rozumiem – rzekł Eric.

– Ale Molinari się nie zawahał. Blefował. Podpisał Pakt Pokojowy, który wpędził nas w wojnę. I oto czym Molinari różni się od wszystkich innych tłustych, nadętych i napuszonych dawnych dyktatorów. Wziął całą winę na siebie, nie zwolnił jakiegoś ministra spraw zagranicznych, nie rozstrzelał żadnego państwowego doradcy politycznego. To on to zrobił i doskonale o tym wie. I ta świadomość go wykańcza, dzień po dniu, po kawałku. Poczynając od flaków. Kocha Terre. Kocha ludzi, wszystkich ludzi, umytych i brudnych, kocha tę ohydną hałastrę pasożytniczych krewniaków. Zabija ludzi, aresztuje ludzi, ale z wyraźną niechęcią. Molinari jest człowiekiem skomplikowanym, doktorze. Tak skomplikowanym, że...

– Skrzyżowaniem Lincolna z Mussolinim – wtrącił oschle Dorf.

– Jest inną osobą dla każdego napotkanego człowieka – ciągnął Teagarden. – Jezu Chryste, robił rzeczy tak podle, tak nikczemne, że na samą myśl włos jeży się człowiekowi na głowie. Musiał to zrobić. Niektóre rzeczy nigdy nie zostaną podane do wiadomości publicznej, nawet przez jego politycznych wrogów. I cierpiał z powodu tych rzeczy. Słyszał pan kiedyś o kimś, kto naprawdę wziął na siebie całą odpowiedzialność, całą winę? Czy pan tak postępuje? Pana żona?

– Prawdopodobnie nie – przyznał Eric.

– Gdybyśmy, pan czy ja, rzeczywiście wzięli na siebie całą moralną odpowiedzialność za wszystko, co zrobiliśmy w życiu – padlibyśmy trupem albo oszaleli. Żywe istoty z samej swojej natury nie rozumieją tego, co wyczyniają. Weźmy na przykład zwierzęta, które przejeżdżamy na drogach, albo zwierzęta, które jemy. W dzieciństwie raz na miesiąc miałem obowiązek rozrzucić trutkę na szczury. Widział pan kiedyś, jak zdycha otrute zwierzę? I to nie jedno, ale całe ich dziesiątki, miesiąc po miesiącu. Ja nic nie czuję. Winy. Brzemienia. Na szczęście to do mnie nie dociera – bo gdyby dotarło, w żaden sposób nie mógłbym dalej żyć. I tak właśnie radzi sobie cała rasa ludzka. Wszyscy z wyjątkiem Mola. Jak go nazywają. – Teagarden dodał: – Lincoln i Mussolini. Mnie kojarzy się on raczej z Tym Innym, który żył ponad dwa tysiące lat temu.

– Po raz pierwszy słyszę – stwierdził Eric – żeby ktoś porównał Gina Molinariego do Chrystusa. Nie zdarza się to nawet wiernopoddańczej prasie.

– Być może stało się tak dlatego – odparł Teagarden – że jestem jedyną znaną panu osobą, która przebywa przy Molinarim dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Proszę nie mówić Mary Reineke o tym porównaniu – powiedział Dorf. – Ona powie panu, że Molinari jest zwykłym sukinsynem. Świnia w łóżku i przy stole, lubieżnym zbereźnikiem w średnim wieku i z gwałtem w oczach, który powinien trafić za kratki. Ona go znosi... bo jest miłosierna. – Dorf parsknął śmiechem.

– Nie – zaoponował Teagarden – Mary by tak nie powiedziała... chyba że byłaby rozdrażniona, a taka bywa przez jedną czwartą dnia. Nie wiem, co powiedziała Mary Reineke, może nawet nie zadawałaby sobie tego trudu. Akceptuje go takiego, jaki jest, stara się zrobić z niego lepszego człowieka, ale nawet gdy jej się to nie udaje – bo on się nie zmienia – to Mary

i tak go kocha. Czy poznał pan już ten szczególny typ kobiety? Która dostrzega w mężczyźnie możliwości? Przy jej właściwej pomocy...

– Tak – uciął Eric. Wolał zmienić temat, bo przypomniła mu się Kathy. A o niej nie miał ochoty myśleć.

Helikopter posuwał się z szumem w kierunku Cheyenne.

Kathy leżała sama w łóżku, na poły śpiąc, gdy blask wschodzącego słońca rozpałał po kolei barwne faktury tkanin i mebli w sypialni. Wszystkie kolory, które doskonale poznała w ciągu małżeńskiego życia z Erikiem, wyodrębniły się teraz w miarę postępu promieni słonecznych. W swoim mieszkaniu Kathy umieściła potężne duchy przeszłości, uwięzione w artefaktach z innych czasów: lampę z wczesnej Nowej Anglii, komodę z autentycznego klonu o falistym układzie słoików, szafkę Hepplewhite'a... Leżała z na wpół przymkniętymi oczyma, świadoma każdego przedmiotu i wszystkich nici, które doprowadziły ją do jego nabycia. Każdy przedmiot oznaczał zwycięstwo nad rywalem, jakiś konkurencyjny kolekcjoner przegrał, i bez zbytej przesady można było uznać tę kolekcję za swego rodzaju cmentarzysko, wokół którego unosiły się duchy pokonanych. Nie przeszkadzała jej ich obecność w domu, w końcu okazała się od nich silniejsza.

– Eric – odezwała się sennym głosem – na miłość boską, wstań i nastaw kawę. I pomóż mi wyjść z łóżka. Zepchnij mnie albo coś powiedz. – Odwróciła się w jego stronę, ale nikogo tam nie było. Natychmiast usiadła. Potem wstała z łóżka i drżąc z zimna, poszła boso do garderoby po ubranie.

Wkładała właśnie jasnoszary sweter, z trudem wciągając go przez głowę, kiedy uświadomiła sobie, że przygląda się jej jakiś mężczyzna. Gdy się ubierała, on stanął w nonszalanckiej pozie w progu, nie poruszając się, aby nie oznajmić swojego przybycia, radował oczy widokiem jej negligu, ale teraz zrobił krok do przodu, wyprężył się i zapytał:

– Pani Sweetscent?

Miał może trzydzieści lat, śniady, prostacki ryj i oczy, które nie poprawiły jej samopoczucia. Na dodatek nosił brudnoszary mundur i Kathy zrozumiała, kim on jest: funkcjonariuszem działającej na Ziemi tajnej lalistaryjskiej policji. Po raz pierwszy w życiu zetknęła się z jednym z nich.

– Tak – odparła, niemal bezgłośnie. Dalej się ubierała, siedząc na łóżku, aby włożyć buty, nie odrywając wzroku od mężczyzny. – Kathy Sweetscent, żona doktora Erica Sweetscenta, i jeżeli pan nie...

– Pani mąż jest w Cheyenne.

– Czyżby? – Stanęła na nogi. – Muszę zrobić śniadanie, proszę mnie przepuścić. I proszę mi pokazać nakaz, który upoważnił pana do wejścia tutaj. – Wyciągnęła rękę w oczekiwaniu.

– Mój nakaz – oświadczył lilstaryjski szarak – poleca mi zrewidować to mieszkanie w poszukiwaniu nielegalnego narkotyku o nazwie JJ-180. Frohedadryna. Jeśli ją pani posiada, proszę mi ją oddać i pojedziemy prosto do koszar policyjnych w Santa Monica. – Zerknął do notatnika. – Przedwczoraj wieczorem w Tijuanie, na Avila Street 45, wzięła pani narkotyk doustnie w towarzystwie...

– Mogę zadzwonić do swojego adwokata?

– Nie.

– To znaczy, że nie mam absolutnie żadnych praw?

– Jest wojna.

Poczuła strach. Mimo to udało jej się powiedzieć względnie spokojnie:

– A czy mogę zadzwonić do szefa i powiedzieć, że nie będzie mnie dzisiaj w pracy?

Szary funkcjonariusz skinął głową. Podeszła więc do wideofonu i zadzwoniła do domu Virgila Ackermana w San Fernando. Po chwili zobaczyła jego ptasią, zniszczoną przez czas twarz, po sówiemu zdezorientowaną przebudzeniem.

– A, Kathy. Która godzina? – Virgil zaczął się rozglądać.

– Proszę mi pomóc, panie Ackerman – powiedziała Kathy. – Lilstaryjska... – Zamilkła, bo szarak szybkim ruchem ręki przerwał połączenie. Wzruszyła ramionami i odłożyła słuchawkę.

– Pani Sweetscent – odezwał się funkcjonariusz – chciałbym pani przedstawić pana Rogera Corninga. – Wykonał nieokreślony gest i do pokoju wszedł z holu Staryjczyk w zwyczajnym urzędniczym garniturze, z zatkniętą pod pachę aktówką. – Panie Corning, to Kathy Sweetscent, żona doktora Sweetscenta.

– Kim pan jest? – spytała Kathy.

– Kimś, kto może zdjąć cię z widelca, skarbie – oznajmił serdecznie Corning. – Może byśmy usiedli w salonie i po gadali o tym?

Kathy poszła do kuchni i nastawiła programator na jajka na miękko, tosty i kawę bez śmietanki.

– W tym mieszkadłe nie ma żadnego JJ-180. Chyba że sami podrzuciliście go w nocy. – Posiłek był gotowy, zaniósła wszystko na jednorazowej tacy. Aromat kawy stłumił w niej resztki strachu i dezorientacji, poczuła się mniej onieśmielona i znowu zdolna stawić czoło sytuacji.

– Mamy pełną dokumentację fotograficzną twojego spotkania na Avila Street 45. Od chwili, gdy szłaś za Bruce'em Himmelem po schodach. Pierwsze twoje słowa brzmiały: „Cześć, Bruce. Wygląda na to, że mamy wieczorek...”

– Nie do końca – odparła Kathy. – Nazwałam go Brucie. Zawsze tak na niego mówię, bo to taki dureń i hebefrenik. – Wypiła łyk kawy, pewną ręką trzymając jednorazowy kubek. – Czy pana dokumentacja fotograficzna dowodzi, co było w kapsułkach, które połknęliśmy, panie Corning?

– Corning – poprawił ją dobrodusznie. – Nie, Katherine, nie dowodzi. Ale dowodzą tego zeznania dwóch innych uczestników spotkania. Czy też dowiodą, gdy zostaną złożone pod przysięgą przed trybunałem wojskowym. – Wyjaśnił: – Ta sprawa wykracza poza jurysdykcję waszych sądów cywilnych. Sami zajmiemy się wszystkimi szczegółami postępowania.

– A to dlaczego? – zainteresowała się.

– JJ-180 można zdobyć jedynie od nieprzyjaciela. Dlatego zażywanie go przez ciebie – a ten fakt możemy dowieść przed trybunałem – oznacza utrzymywanie stosunków z nieprzyjacielem. Podczas wojny trybunał zażąda za to oczywiście kary śmierci. – Corning zwrócił się do funkcjonariusza w szarym mundurze: – Masz przy sobie zeznanie pana Plouta?

– Jest w helikopterze. – Szarak ruszył w stronę drzwi.

– Zawsze uważałam, że w Chrisie Ploucie jest coś podludzkiego – stwierdziła Kathy. – Teraz zastanawiam się nad innymi... kto jeszcze z nich okazał się podczłowiekiem? Hastings? Nie. Simon lid? Nie, on...

– Tego wszystkiego można uniknąć – powiedział Corning.

– Ale ja nie chcę tego uniknąć – oznajmiła Kathy. – Pan Ackerman słyszał mnie przez wideofon, Korporacja przyśle adwokata. Pan Ackerman przyjaźni się z sekretarzem Molinarim, nie sądzę...

– Możemy cię zabić, Kathy – rzekł Corning. – Jeszcze przed wieczorem. Trybunał może odbyć posiedzenie tego ranka, wszystko jest już przygotowane.

Po chwili Kathy – która przerwała jedzenie – zapytała:

– Dlaczego? Czy jestem aż taka ważna? Co jest w tym JJ-180? Ja... – Zawahała się. – To, czego przedwczoraj próbowałam, nie działało zbyt mocno. – Nagle zaczęła straszliwie żałować, że Eric wyjechał. Zdała sobie sprawę, że gdyby tu był, nie doszłoby do tego incydentu. Baliby się tu przyjść.

Zaczęła bezgłośnie płakać, siedziała zgarbiona nad talerzem, łzy ciekły jej po policzkach i spadały na stół. Nawet nie starała się zakryć twarzy, przystawiła rękę do czoła, oparła się na łokciu, nic nie mówiła. O k...a, pomyślała.

– Twoja sytuacja – odezwał się Corning – jest poważna, lecz nie beznadziejna. A to nie to samo. Możemy dojść do porozumienia... właśnie dlatego tu jestem. Przestań płakać, wyprostuj się i posłuchaj, a spróbuję ci wszystko wyjaśnić. – Odsunął suwak aktówki.

– Wiem – powiedziała Kathy. – Chcecie, żebym szpiegowała Marma Hastingsa. Chcicie go dorwać, bo niedawno w telewizji opowiedział się za zawarciem osobnego pokoju z rigami. Boże święty, macie wtyczki na całej planecie. Nikt nie jest bezpieczny. – Wstała zrozpaczona i poszła do sypialni po chusteczkę, wciąż pociągając nosem.

– Szpiegowałabyś dla nas Hastingsa? – zapytał Corning, kiedy Kathy wróciła.

– Nie. – Potrząsnęła głową. Po moim trupie, dodała w myślach.

– Nie chodzi o Hastingsa – oznajmił lilistaryjski funkcjonariusz w mundurze.

– Chodzi o twojego męża – stwierdził Corning. – Chcemy, żebyś poleciała do Cheyenne i na nowo z nim zamieszkała. Dzieliła stół i łóżko, jak, zdaje się, mówicie na Ziemi. I to najszybciej jak się da. Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie możesz?

– Bo rozstaliśmy się. Porzucił mnie. – Nie rozumiała, jak mogą o tym nie wiedzieć, skoro wiedzą o wszystkim innym.

– Tego typu rozłąki w związku małżeńskim – oświadczył Corning, jak gdyby przemawiał ze znużoną, starą jak świat mądrością – można zawsze sprowadzić do rangi chwilowego nieporozumienia. Zabierzemy cię do jednego z naszych psychologów – na tej planecie przebywa kilku naszych doskonałych specjalistów – a on zapozna cię z praktycznymi technikami załagodzenia tego sporu z Erikiem. Nie przejmuj się, Kathy, wiemy, co tu wczoraj zaszło. W gruncie rzeczy korzystamy na tym, możemy dzięki temu porozmawiać z tobą w cztery oczy.

– Nie. – Kathy potrząsnęła głową. – Już nigdy nie będziemy razem. Nie chcę żyć z Erikiem. Żaden psycholog, nawet wasz, nie może tego zmienić. Nienawidzę Erica i nienawidzę całego tego gnoju, w którym ugrzęźliście. Nienawidzę was, Staryjczyków, tak jak wszyscy inni mieszkańcy Terry – wołałabym, żebyście wynieśli się z naszej planety, wołałabym, żebyśmy nigdy nie dali się wplątać w tę wojnę. – Patrzyła na niego w bezsilnej złości.

– Spokojnie, Kathy. – Corning pozostał niewzruszony.

– Boże, jaka szkoda, że nie ma tu Virgila, on się was nie boi... To jeden z nielicznych ludzi na Ziemi...

– Nikt na Ziemi – oznajmił nonszalancko Corning – nie jest aż tak potężny. Czas przestać chodzić z głową w chmurach, Kathy. Wiesz, możemy zabrać cię na Lilistar, zamiast cię zabijać. Brałaś pod uwagę taką ewentualność?

– O Boże. – Zadrzała. Nie zabierajcie mnie na Lilistar, pomyślała, błagalnie. Pozwólcie przynajmniej pozostać mi na Ziemi, wśród ludzi, których znam. Wrócę do Erica, będę go błagać, żeby przyjął mnie z powrotem. – Słuchajcie – odezwała się na głos. – Nie zależy mi na Ericu. Nie przeraża mnie to, co możecie mu zrobić. – Boję się tylko o siebie, dodała w myślach.

– Wiemy, Kathy – odparł Corning, kiwając głową. – Dlatego nasza propozycja powinna cię w sumie ucieszyć, kiedy rozważysz ją na chłodno. Nawiasem mówiąc... – Wyciągnął z aktówki garść kapsułek, położył jedną na stole, potoczyła się i spadła na podłogę. – Bez urazy, Kathy, ale... – Wzruszył ramionami. – To wywołuje uzależnienie. Nawet po jednym zażyciu, takim, na jakie pozwoliłaś sobie przedwczoraj na Avila Street 45. A Chris Plout nie będzie już mógł ci tego dostarczać. – Podniósł z podłogi kapsułkę JJ-180 i zaoferował ją Kathy.

– To niemożliwe – powiedziała słabym głosem, nie odbierając kapsułki. – Po zaledwie jednej

próbie. Brałam już w życiu dziesiątki drągów i nigdy... – Popatrzyła na mężczyznę uważnie. – Sukinsyny, nie wierzę wam, a zresztą nawet jeśli mówicie prawdę, to mogę wyleczyć się z nałogu – istnieją odpowiednie kliniki.

– Nie w przypadku JJ-180. – Corning włożył kapsułkę do teczki i dorzucił obojętnym tonem: – Tylko my moglibyśmy cię wyleczyć, nie tu, ale w jednej z klinik w naszym układzie... może później będziemy mogli to załatwić. Albo będziesz mogła brać go dalej, a my będziemy cię zaopatrywać przez resztę twojego życia. Czyli niezbyt długo.

– Nie polecałabym na Lilistar – oświadczyła Kathy – nawet żeby wyjść z nałogu. Pójdę do rigów, to ich narkotyki – tak mi powiedzieliście. Na pewno wiedzą o nim więcej niż wy, skoro sami go stworzyli. – Odwróciła się plecami do Corninga, podeszła do szafy w salonie i wyjęła płaszcz. – Idę do pracy. Żegnam. – Otworzyła drzwi na korytarz. Żaden ze Staryjczyków nie kiwnął palcem, żeby ją zatrzymać.

Zatem to pewnie prawda, pomyślała. JJ-180 musi tak działać, jak oni mówią. Nie mam cienia szansy, oni to wiedzą i ja to wiem. Muszę pójść na współpracę z nimi albo spróbować przedrzeć się przez wszystkie linie frontu do rigów, skąd narkotyki pochodzą, co i tak nie zmieni faktu, że będę uzależniona. Nic bym przez to nie zyskała. A rigowie prawdopodobnie by mnie zabili.

– Weź moją wizytówkę, Kathy – odezwał się Corning. Podeszedł do niej, wyciągając w ręce mały, biały, prostokątny kartonik. – Gdy zaczniesz potrzebować narkotyku, będziesz musiała dostać go za wszelką cenę... – Wrzucił wizytówkę do kieszonki na piersi jej płaszcza. – Przyjdź do mnie. Będziemy na ciebie czekać, skarbie, regularne dostawy będziesz miała jak w banku. – Po chwili namysłu dodał: – Oczywiście, że ten narkotyk uzależnia, Kathy, dokładnie z tego powodu ci go podaliśmy. – Uśmiechnął się do niej.

Kathy zamknęła drzwi i na oślep skierowała się do windy, oszołomiona tak, że nic do niej nie docierało, nawet strach. Czuła tylko nieokreśloną pustkę w środku, próżnię pozostawioną przez wygasłą nadzieję, przez wygasłą zdolność choćby wyobrażenia sobie szansy ucieczki.

Ale Virgil Ackerman może mi pomóc, pomyślała, wchodząc do windy i naciskając guzik. Pójdę do niego, będzie doskonale wiedział, co mam zrobić. Uzależniona czy nie, nigdy nie będę pracowała dla Staryjczyków, nie będę spiskowała z nimi przeciwko Ericowi.

Ale już niedługo miała się przekonać, że będzie.

Kathy Sweetscent poczuła pierwsze symptomy głodu wczesnym popołudniem, gdy siedziała w swym biurze w Korporacji, załatwiając zakup pewnego przedmiotu z 1935 roku, stosunkowo niezdarnej płyty wytwórni Decca z *Bel Mir Bist Du Schön* w wykonaniu Andrews Sisters.

Ręce Kathy stały się dziwnie ciężkie.

Odłożyła delikatną płytę z niezmierną ostrożnością. Otaczające ją przedmioty zaczynały zmieniać wygląd. Na Avila Street 45, pod wpływem JJ-180, zdawało się jej, że świat składa się z lekkich, delikatnych, łatwych do przeniknięcia, podobnych do baniek mydlanych tworów, Kathy mogła – przynajmniej podczas halucynacji – dowolnie przez nie przechodzić. Jednak teraz, w znajomym otoczeniu gabinetu, była świadkiem transformacji, która miała charakter złowieszczy: zwykle przedmioty, jakkolwiek na nie by nie patrzyła, zdawały się tężeć i gęstnieć. Miała wrażenie, że nie potrafiłaby już ich poruszyć czy zmienić, czegoś z nimi zrobić.

Z drugiej strony wydawało się jej równocześnie, że ta nieprzyjemna przemiana zachodzi w zasadzie tylko w jej ciele. W obu punktach widzenia proporcje między jaźnią, siłami fizycznymi i światem zewnętrznym zostały radykalnie zakłócone, Kathy czuła się stopniowo coraz bardziej i bardziej bezradna, w dosłownym, fizycznym sensie tego słowa – z upływem każdej kolejnej chwili stać ją było na coraz mniej. Na przykład ta dziesięciocalowa płyta. Leży na wyciągnięcie ręki, ale co by się stało, gdyby po nią sięgnęła? Zniszczyłaby ją. Ręka, niezgrabna z powodu nadmiernego ciężaru, chroma z powodu wewnętrznego zgęstnienia materii, zmiażdżyłaby lub połamała płytę, dokonywanie zawitych, wprawnych manipulacji jakimkolwiek przedmiotem zdawało się nie wchodzić w grę. Wszelkimi subtelnościami ruchu Kathy przestała już dysponować, pozostała jej tylko ogromna, przytłaczająca masa.

Mądrze uświadomiła sobie, że to mówi jej coś o JJ-180, ten narkotyk należał do środków pobudzających wzgórze wzrokowe. Dlatego teraz, w okresie narkotycznego głodu, cierpiała na zanik energii wzgórzowej, te przemiany, które jej zmysły umiejscowiły równocześnie w świecie zewnętrznym i w jej ciele, były tak naprawdę drobnymi metabolicznymi zmianami w jej mózgu. Ale...

Ta świadomość w niczym jej nie pomagała. Bo te zmiany w niej i jej świecie nie były wierzeniami, były to rzeczywiste przeżycia, relacjonowane przez zwyczajne kanały zmysłowe, narzucane jej świadomości wbrew jej woli. Tych bodźców nie sposób było uniknąć. A transformacja świata wciąż trwała, nie widać było jej końca. Kathy myślała w popłochu: Czym się to skończy? O ile gorzej może być? Z pewnością niewiele gorzej... Nawet najmniejsze przedmioty wokół niej wydawały się teraz absolutnie niedostępne, siedziała sztywno, nie mogąc się poruszyć, niezdolna do wprowadzenia własnego ogromnego ciała w jakikolwiek nowy związek z przerażająco ciężkimi przedmiotami, które ją otaczały i które zdawały się coraz

bardziej ją przygniatać.

Lecz nawet wtedy, gdy przedmioty w gabinecie napierały na nią całą swoją masą, to równocześnie, na innym poziomie, stawały się odległe, oddalały się w jakiś ceremonialny, napawający strachem sposób. Tracą, uświadomiła sobie, swoją żywotność, swoją – określmy to tak – aktywną duszę. Zamieszkujące w nich animy opuszczały je w miarę wygasania zdolności Kathy do psychologicznej projekcji.

Rzeczy zatracaly swojskość, stopniowo stawały się zimne, odległe – i wrogie. W próżni powstałej po zerwaniu związków Kathy z nimi otaczające ją rzeczy przeszły w stan pierwotnej izolacji od ujarzmiających je sił, którymi normalnie posługiwał się ludzki umysł, stawały się surowe, ostre, przyoblekały w postrzępione krawędzie, które mogły ciąć, ranić, zadawać śmiertelne rany. Nie śmiała się poruszyć. W każdej rzeczy czaiła się potencjalna śmierć, nawet ręcznie kuta, mosiężna popielniczka na biurku przybrała nieregularne kształty, asymetryczna, wypuściła sterczące płaszczyzny, wystrzeliła płaskie powierzchnie, które niczym kolce mogłyby rozdrzeć jej ciało, gdyby była na tyle głupia, że by się do nich zbliżyła.

Zabrzącał interkom. Odezwała się Lucile Sharp, sekretarka Virgila Ackermana:

– Pani Sweetscent, pan Ackerman prosi panią do swojego gabinetu. Radzę przynieść ze sobą nową płytę z *Bel Mir Bist Du Schon*, którą pani dziś kupiła, pan Ackerman jest nią zainteresowany.

– Dobrze – odparła Kathy, i ten wysiłek o mało co jej nie zabił, przestała oddychać i siedziała z nieporuszoną klatką piersiową, podstawowe procesy fizjologiczne ustawały pod naporem, stopniowo zamierały. Lecz nagle w jakiś sposób udało się jej zaczerpnąć tchu, wypełniła płuca powietrzem, po czym wypuściła je głośno i chrapliwie. Na razie się udało. Ale było coraz gorzej. Co będzie dalej? Podniosła się i stanęła na nogach. Zatem tak czują się ludzie uzależnieni od JJ-180, pomyślała. Zdołała wziąć płytę. Gdy niosła ją przez gabinet do drzwi, ciemne krawędzie wrzynały się w jej dłonie niczym ostrza noży. Wrogość przedmiotu w stosunku do niej, jego nie wyrażone, lecz gwałtowne pragnienie zadania jej bólu, były przytłaczające, Kathy wzdrygnęła się.

I płyta wypadła jej z rąk.

Leżała na gęstym dywanie, najwyraźniej nieuszkodzona. Jak tu ją teraz jeszcze raz podnieść? Jak wyrwać z otaczającego ją włosia, tła? Bo płyta przestała być oddzielnym przedmiotem. Stopiła się z dywanem, podłogą, ścianami, całym pomieszczeniem, rzeczy miały teraz jedną, niepodzielną, nienaruszalną powierzchnię. Nikt nie mógłby przejść przez tę nabitą masą przestrzeń, wszystkie miejsca były już wypełnione, kompletne – nic nie mogło się zmienić, bo wszystko zostało już na wieczność utrwalone.

O Boże, pomyślała Kathy, przyglądając się leżącej u jej stóp płycie. Nie mogę się ruszyć. Będę stała tutaj, znajdą mnie w takim stanie i zorientują się, że zdarzyło się coś złego. To

katalepsja!

Wciąż tkwiła w tym samym miejscu, gdy otworzyły się drzwi i do środka dziarsko wkroczył Jonas Ackerman, z radosną miną malującą się na gładkiej, młodzieńczej twarzy, ruszył do Kathy, zauważył płytę, bez trudu nachylił się, po czym delikatnie podniósł przedmiot i umieścił w wyciągniętych rękach stojącej kobiety.

– Jonas – przemówiła Kathy, wolno i chrapliwie. – Ja... potrzebuję pomocy lekarskiej. Żle się czuję.

– Słucham? – Jonas spojrzał na nią niespokojnie, Kathy miała wrażenie, że jego twarz skręca się i wije jak gniazdo węży. Jego niepokój – ohydna, obrzydliwa siła – przytłoczył ją. – O Boże – jęknął Jonas – ale wybrałaś sobie porę – Erica dziś nie ma, jest w Cheyenne, a nie mamy jeszcze jego następcy. Ale mogę cię zawieźć do miejskiej kliniki rządowej. Co ci jest? – Chwycił ją za ramię, szczypiąc jej ciało. – Coś mi się zdaje, że wpadłaś w depresję, bo Eric wyjechał.

– Zaprowadź mnie na górę – zdołała wykrztusić. – Do Virgila.

– Rany, naprawdę nie jest z tobą najlepiej – stwierdził Jonas. – Tak, chętnie zaprowadzę cię do starego, może on będzie wiedział, co zrobić. – Podprowadził ją do drzwi. – Może jednak wezmę tę płytę, bo wyglądasz, jakbyś miała znowu ją upuścić.

Do gabinetu Virgila Ackermana można było dojść w dwie minuty, lecz jej zajęło to znacznie więcej czasu. Gdy znalazła się wreszcie przed Virgilem, była wyczerpana, ciężko dyszała, nie mogła się odezwać. Wszystko to przekraczało jej siły.

Virgil przyjrzał jej się najpierw z ciekawością, a potem z trwogą, po czym powiedział tym swoim cienkim, przenikliwym głosem:

– Kathy, lepiej idź już dzisiaj do domu, przygotuj sobie stos pism dla kobiet i drinka, wskocz do łóżka...

– Zostaw mnie w spokoju – usłyszała własny głos. – Chryste – dodała zrozpaczona. – Panie Ackerman, proszę mnie nie zostawiać!

– No cóż, spróbuj może się zdecydować – odparł Virgil, uważnie ją obserwując. – Widzę, że wyjazd Erica do Cheyenne...

– Nie, nic mi nie jest – przerwała mu. Jej stan jakby się trochę poprawił, Kathy miała wrażenie, że nabrała od szefa nieco siły, może dlatego, że Virgil tyle jej miał. – Mam tu niezły dodatek do Wasz-35. – Odwróciła się do Jonasa, aby odebrać płytę. – Jedna z najpopularniejszych melodii tamtych czasów. Obok *The Music Goes Round and Round*. – Wzięła płytę i położyła ją na wielkim biurku szefa. Nie umrę, pomyślała, jakoś przez to przejdę i wrócę do zdrowia. – Powiem panu, na co jeszcze mam namiary, panie Ackerman. – Usiadła na krześle przy biurku, chcąc oszczędzić pozostałą jej energię. – Na prywatne nagranie, dokonane przez kogoś w tamtych czasach, programu Alexandra Woolcotta *Herold miejski*. Zatem podczas następnego pobytu w Wasz-35 będziemy mogli posłuchać prawdziwego głosu Alexandra

Woollcotta. A nie imitacji, jak do tej pory.

– *Herold miejski*. – zawołał z dziecinną radością Virgil Ackerman. – Mój ulubiony program!

– Mam podstawy sądzić, że mogę go zdobyć – ciągnęła Kathy. – Oczywiście, dopóki nie zapłacę, mogą pojawić się jakieś przeszkody. Dla załatwienia ostatnich formalności muszę lecieć do Bostonu, nagranie znajduje się tam, w posiadaniu dość wrednej starej panny o nazwisku Edith B. Scruggs. Ta dama poinformowała mnie w liście, że nagrania dokonano na PhonoCordzie firmy Packard-Bell.

– Kathy – oświadczył Virgil – Bóg mi świadkiem, że jeśli rzeczywiście zdobędziesz autentyczne nagranie głosu Alexandra Woollcotta, dostaniesz podwyżkę. Pani Sweetscent, moja droga, kocham panią za to, co pani dla mnie robi. Czy program radiowy Woollcotta nadawała stacja WMAL czy WJSV? Ustal to dla mnie, dobrze? Przejrzyj egzemplarze „Washington Post” z 1935 roku. Przy okazji, to mi o czymś przypomina. Ten „American Weekly” z artykułem o Morzu Sargassowym. Chyba ostatecznie nie umieścimy tego w Wasz-35, bo kiedy byłem chłopcem, moi rodzice nie kupowali gazet Hearsta, zobaczyłem to pismo dopiero wtedy, gdy...

– Chwileczkę, panie Ackerman – przerwała mu Kathy, podnosząc rękę.

– Tak, Kathy? – Virgil przechylił głowę w oczekiwaniu.

– Czy mogłabym pojechać do Cheyenne i zamieszkać z Erikiem?

– Ale... – zabecztał Virgil, wymachując rękami. – Przecież ja cię potrzebuję!

– Na jakiś czas – dodała. Może to wystarczy, pomyślała. Możliwe, że niczego więcej od niej nie zażądam. – Pozwolił pan odejść Ericowi, choć utrzymuje pana przy życiu. On jest o wiele ważniejszy ode mnie.

– Ale potrzebuje go Molinari. A ciebie nie potrzebuje. Nie buduje sobie żadnej krainy dzieciństwa, przeszłość w ogóle go nie interesuje – jest zaabsorbowany przyszłością, jak jakiś młodzieniaszek. – Virgil wyglądał na przerażonego. – Nie mogę się bez ciebie obejść, Kathy, fatalnie było stracić Erica, ale w jego przypadku mam taki układ, że w razie kłopotów mogę w każdej chwili po niego posłać. Musiałem pozwolić mu odejść, to był patriotyczny obowiązek w czasie wojny... Choć nie chciałem tego, szczerze mówiąc, boję się bez Erica jak diabli. Ale ty nie rób mi tego. – Jego głos stał się płaczliwy. – Nie, tego bym nie zniósł. Kiedy byliśmy w Wasz-35, Eric przysięgał, że nie będziesz chciała z nim jechać. – Spojrzał błagalnie na Jonasa. – Jonas, przekonaj ją, żeby została.

Jonas przemówił do niej, pocierając w zamyśleniu brodę:

– Kathy, przecież nie kochasz Erica. Rozmawiałem z tobą i z nim, oboje opowiadacie o waszych domowych kłopotach. Jesteście tak oddaleni od siebie, jak to tylko możliwe, żeby nie popełnić jakiejś jawnej zbrodni... Nic z tego nie rozumiem.

– Ja też tak myślałam – powiedziała Kathy – kiedy Eric był przy mnie. Ale łudziłam się. Teraz wiem lepiej i jestem pewna, że on czuje to samo.

– Jesteś pewna? – warknął Jonas. – To zadzwoń do niego. – Wskazał na wideofon na biurku Virgila. – Zobacz, co powie. Osobiście sędzę, że separacja wyjdzie wam tylko na dobre, i nie mam wątpliwości, że Eric także o tym wie.

– Czy mogłabym już wyjść? – zapytała Kathy. – Chcę wrócić do swojego gabinetu. – Poczowała falę mdłości i dojmującego lęku. Jej udęczone, uzależnione od narkotyku ciało miotło się w poszukiwaniu ulgi i kierowało jej poczynaniami, zmuszało ją do podążania za Erikiem do Cheyenne. Niezależnie od słów Ackermanów. Nie mogła się powstrzymać, i nawet w swoim aktualnym stanie jasno widziała przyszłość, nie zdoła uciec przed JJ-180 – Staryjczycy mieli rację. Będzie musiała do nich wrócić, pójść pod adres na wizytówce, którą dał jej Corning. Boże, pomyślała, gdybym tylko mogła powiedzieć o wszystkim Virgilowi. Muszę komuś powiedzieć.

Wtedy przyszło jej do głowy: Powiem Ericowi. Jest lekarzem, będzie mi w stanie pomóc. Pojadę do Cheyenne po to, nie dla nich.

– Mogę cię prosić o jedną rzecz? – mówił do niej Jonas Ackerman. – Kathy, na miłość boską, słuchaj. – Znowu ścisnął ją za ramię.

– Słucham – odparła zirytowana. – Ale puść mnie. – Wyszarpnęła ramię, odsunęła się od niego z wściekłością. – Nie znoszę takiego traktowania. – Spojrzała na niego gniewnie.

Ważąc słowa, Jonas powiedział:

– Pozwolimy ci pojechać do męża w Cheyenne, Kathy, jeżeli obiecasz, że odczekasz jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

– Dlaczego? – Nic z tego nie rozumiała.

– Żeby mógł minąć pierwszy wstrząs po rozstaniu – wyjaśnił Jonas. – Mam nadzieję, że po dwudziestu czterech godzinach rozjaśni ci się w głowie na tyle, że zmienisz zamiar. A póki co... – Zerknął na Virgila, który skinął głową na znak zgody. – Będę przy tobie. Cały dzień i całą noc, jeżeli okaże się to konieczne.

– Wybij to sobie z głowy – odparła przerażona. – Nie będę...

– Wiem, że dzieje się z tobą coś niedobrego – rzekł łagodnie Jonas. – To widać na pierwszy rzut oka. Nie sędzę, aby można było zostawić cię samą. Podejmuję się dopilnować, żeby nic ci się nie stało. – Dorzucił cicho: – Zbyt cię cenimy, żeby pozwolić ci zrobić coś nieodwracalnego. – Znowu ujął ją za ramię, tym razem boleśnie i stanowczo. – Chodźmy, zejdźmy do twojego gabinetu. Praca dobrze ci robi, a ja usiądę jak mysz pod miotłą i nie będę się do niczego wtrącał. Wieczorem polecimy do Los Angeles, na kolację do Spinglera. Wiem, że lubisz owoce morza. – Prowadził ją w kierunku drzwi gabinetu.

Ucieknę ci, pomyślała Kathy. Nie jesteś aż tak bystry, Jonas, jeszcze dzisiaj, może wieczorem, zgubię cię i pojadę do Cheyenne. Albo raczej, myślała, znowu czując mdłości i przypływ przerażenia sprzed chwili, zgubię cię, porzucę, wymknę ci się w labiryncie nocnego życia Tijuany, gdzie zdarzają się wszystkie możliwe rzeczy, straszne, cudowne i piękne.

Z Tijuana sobie nie poradzisz. Ja sama ledwo daję sobie z nią radę. A całkiem nieźle ją znam, spędziłam w nocnej Tijuanie tyle czasu, taką część życia.

I oto, czym się to skończyło, pomyślała gorzko. Chciałam znaleźć w życiu coś czystego i mistycznego, a zamiast tego wdałam się w kłótnie z ludźmi, którzy nas nienawidzą, którzy panują nad naszą rasą. Nasi sojusznicy, myślała. Teraz jest dla mnie jasne, że powinniśmy z nimi walczyć. Jeżeli w Cheyenne uda mi się spotkać z Molinarim sam na sam – a nie jest to wykluczone – powiem mu to, powiem, że wybraliśmy sobie niewłaściwego sprzymierzeńca i niewłaściwego wroga.

– Panie Ackerman – powiedziała, błyskawicznie odwracając się do Virgila. – Muszę jechać do Cheyenne, aby powiedzieć coś sekretarzowi. To sprawa, która dotyczy nas wszystkich, wiąże się z wojną.

– Powiedz to mi, a ja mu przekażę – odparł sucho Virgil. – W ten sposób masz większe szanse, bo sama nigdy nie będziesz mogła z nim się spotkać... chyba że jesteś jedną z jego bambini lub kuzynek.

– Zgadza się – odparła Kathy. – Jestem jego dzieckiem. – Wydawało jej się to najzupełniej sensowne: wszyscy mieszkańcy Terry byli dziećmi sekretarza generalnego ONZ. Które oczekiwały, że ich ojciec zapewni im bezpieczeństwo. Ale jakoś mu się to nie udało.

Kathy poszła za Jonaszem Ackermanem, już mu się nie opierając.

– Wiem, czego chcesz – odezwała się do niego. – Korzystasz z okazji, że nie ma Erica, a ja jestem w tym okropnym stanie, chcesz mnie wykorzystać seksualnie.

– Cóż, zobaczymy. – Jonas roześmiał się. W jego śmiechu nie usłyszała poczucia winy, tylko arogancką pewność siebie.

– Właśnie – podchwyciła, przypominając sobie staryjskiego policjanta Corninga. – Zobaczymy, czy ci się to uda. Osobiście nie byłabym tego zbyt pewna. – Nie chciało się już jej zdejmować z ramienia jego wielkiej, stanowczej ręki, która i tak pojawiłaby się tam za chwilę z powrotem.

– Wiesz co – zaczął Jonas – gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, to – sądząc po twoim zachowaniu – powiedziałbym, że jesteś pod wpływem substancji, którą nazywamy JJ-180. – Dodał: – Ale to wykluczone, bo w żaden sposób nie mogłabyś jej zdobyć.

– Co... – wykrztusiła Kathy, wbijając w niego spojrzenie. Nie mogła powiedzieć nic więcej.

– To taki narkotyk – wyjaśnił Jonas. – Stworzony przez jedną z naszych filii.

– A nie przez rigów?

– Frohedadryna, albo JJ-180, powstała w ubiegłym roku w Detroit, w kontrolowanej przez Korporację firmie o nazwie Hazeltine. To będzie potężna wojenna broń – po tym, jak wprowadzimy ją do produkcji, co stanie się jeszcze w tym roku.

– Ponieważ – powiedziała bezbarwnie – silnie uzależnia?

– Gdzie tam. Wiele narkotyków uzależnia, zaczynając od pochodnych opium. Ze względu na rodzaj wywoływanych halucynacji – wyjaśnił. – To halucynogeny narkotyki, jak LSD.

– Opowiedz mi o tych halucynacjach – poprosiła Kathy.

– Nie mogę, to tajemnica wojskowa. Kathy parsknęła śmiechem i powiedziała:

– O Jezu – czyli mogłabym się dowiedzieć tylko po zażyciu.

– Jak mogłabyś to zażyć? Frohedadryny nie można zdobyć, a nawet gdy znajdzie się w masowej produkcji, absolutnie i w żadnej sytuacji nie pozwolimy naszej ludności z niej korzystać. Ten narkotyk jest toksyczny! – Spojrzał na nią groźnie. – Nawet nie waż się mówić o zażywaniu, każde doświadczalne zwierzę, któremu go zaaplikowano, zdychało. Zapomnij, że o nim wspominałem, myślałem, że Eric już ci o nim powiedział... Nie powinienem o tym w ogóle mówić, ale zachowywałaś się naprawdę dziwnie, skojarzyło mi się to z JJ-180, bo bardzo się boję – wszyscy się boimy – że ktoś, w jakiś sposób, wprowadzi go na ziemski rynek, ktoś z naszych ludzi.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – dorzuciła Kathy. Chciało jej się śmiać, jeden wielki obłęd. Staryjczycy zdobyli narkotyk na Ziemi, lecz udawali, że dostali go od rigów. Biedna Ziemia, pomyślała. Nie możemy sobie nawet przypisać zasługi za wytworzenie tego okropnego, szkodliwego narkotyku, który niszczy umysł – tej potencjalnej broni, wedle słów Jonasa. I kto posługuje się tym narkotykiem? Nasz sojusznik. W stosunku do kogo? Do nas. Ironia się dopełnia, koło się zamyka. Pierwszy powinien uzależnić się od niego ktoś z Terry, na pewno byłaby w tym jakaś kosmiczna sprawiedliwość.

Jonas rzekł ze zmarszczonym czołem:

– Pytałaś, czy JJ-180 nie został stworzony przez nieprzyjaciela, co oznacza, że o nim słyszałaś. Czyli Eric ci o nim wspominał. Nie ma w tym nic złego, tajne są tylko informacje o jego właściwościach, nie o jego istnieniu. Rigowie wiedzą, że z bronią chemiczną eksperymentujemy już od dziesiątków lat, od dwudziestego wieku. To jedna z terrańskich specjalności. – Zachichotał.

– Może w końcu jednak wygramy – podsunęła Kathy. – To powinno nieco rozchmurzyć Moliniego. Może dzięki kilku nowym cudownym broniom zdoła utrzymać się na stanowisku. Czy na to liczy? Czy w ogóle wie o wszystkim?

– Oczywiście, że wie, Hazeltine informował go o wszystkich postępach prac. Tylko, na miłość boską, nie próbuj...

– Nie sprawię ci kłopotu – powiedziała Kathy i pomyślała: Chyba uzależnię cię od JJ-180. Zasługujesz na to, tak jak wszyscy, którzy o nim wiedzą, wszyscy, którzy pomagali przy jego wyprodukowaniu. Bądź przy mnie bez przerwy przez następne dwadzieścia cztery godziny. Zjedz ze mną, idź ze mną do łóżka, a na koniec będziesz skazany na śmierć tak jak ja. A potem, pomyślała, może uzależnię Erica. Jego przede wszystkim.

Wezmę JJ-180 ze sobą do Cheyenne, postanowiła Kathy.

Zarażę wszystkich, Mola i jego otoczenie. I nie bez powodu.

Będą zmuszeni odkryć sposób wyzwolenia się z nałogu. Bo od tego będzie zależało ich życie, nie tylko moje. Dla mnie samej nie warto byłoby się trudzić, nawet Ericowi zupełnie by na tym nie zależało, a co dopiero Corningowi i Staryjczykom – bo jak się nad tym dobrze zastanowić, to nikomu na mnie nie zależy.

Prawdopodobnie wcale nie o to chodziło Corningowi i jego zwierzchnikom, kiedy postanowili wysłać ją do Cheyenne. Ale tym gorzej dla nich, ona miała inne plany.

– Wrzucimy im go do wodociągów – wyjaśniał Jonas. – Rigowie mają ogromne, centralne zbiorniki wodne, takie, jakie miał niegdyś Mars. JJ-180 zostanie tam wprowadzony i rozniesie się po całej planecie. Przyznaję, że wygląda to na desperacki akt z naszej strony, taki... No wiesz, pokaz mocy. Ale tak naprawdę to zupełnie racjonalne i rozsądne.

– Wcale tego nie krytykuję – powiedziała Kathy. – Myślę wręcz, że pomysł jest genialny.

Przyjechała winda. Wsiedli i ruszyli w dół.

– Pomyśleć tylko, czego nie wie przeciętny obywatel Terry – zauważyła Kathy. – Radośnie wiesz codzienne życie... Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że jego rząd stworzył narkotyk, który za pierwszym razem zmienia cię w... Jak byś to określił, Jonas? Coś gorszego od robanta? Na pewno gorszego od człowieka. Ciekawe, gdzie umieściłbyś kogoś takiego na drabinie ewolucyjnej.

– Wcale nie mówiłem, że jeden kontakt z JJ-180 wywołuje uzależnienie – zaproponował Jonas. – Pewnie Eric ci to powiedział.

– Poziom jaszczurów z okresu jurajskiego – zdecydowała Kathy. – Istoty o małych mózdkach i olbrzymich ogonach. Stworzenia praktycznie pozbawione umysłów, kierowane odruchami maszyny, okazujące zewnętrzne przejawy życia, wykonujące ruchy, lecz tak naprawdę wyzute ze świadomości. Prawda?

– No cóż – odparł Jonas – narkotyki dostaną rigowie. A nad nimi bym nie płakał.

– Ja płakałabym nad każdym – oznajmiła Kathy – kto uzależniłby się od JJ-180. To obrzydliwe. Żałuję, że... – Urwała. – Nie zwracaj na mnie uwagi. Po prostu zdenerwował mnie odjazd Erica, nic mi nie będzie. – W głębi duszy zastanawiała się, kiedy będzie mogła odszukać Corninga. I otrzymać trochę kapsułek. Nie było już żadnych wątpliwości, że wpadła w nałóg. Teraz musiała to przyznać.

Nie czuła nic prócz rezygnacji.

W południe, w schludnym, lecz niezwykle małym mieszkadle, które dostał za sprawą okrytych tajemnicą działań wyższych kręgów rządowych w Cheyenne, doktor Eric Sweetscent zakończył lekturę kart chorobowych swojego nowego pacjenta – określanego we wszystkich tych

licznych materiałach jako pan Brown. Pan Brown, doszedł do wniosku Eric, umieszczając akta z powrotem w niezniszczalnym pudełku z tworzywa sztucznego, jest człowiekiem chorym, lecz jego choroby najzwyczajniej w świecie nie daje się rozpoznać, przynajmniej na znane lekarzom sposoby. Ponieważ – i to było coś osobliwego, na co nie przygotował go Teagarden – w ciągu wielu lat pacjent przejawiał symptomy poważnych schorzeń organicznych, symptomy nie mające związku z zaburzeniami psychosomatycznymi. Raz był to złośliwy rak wątroby, który się rozprzestrzenił – mimo to pan Brown nie zmarł. Arak złośliwy zniknął. W każdym razie już go tam nie było, dowiodły tego badania z dwóch ostatnich lat. W końcu przeprowadzono nawet próbną operację, lecz w wątrobie pana Browna nie wykryto nawet zwyrodnienia typowego dla ludzi w jego wieku.

Była to wątroba dziewiętnasto – lub dwudziestoletniego młodzieńca.

Podobną osobliwość stwierdzono w przypadku innych narządów, które poddano dokładnym badaniom. Lecz pan Brown generalnie tracił siły, wyraźnie marniał w oczach – wyglądał na znacznie więcej lat niż ich faktycznie miał, otaczała go aura choroby. W sumie było tak, jakby na czysto fizjologicznym poziomie jego ciało młodniało, natomiast jego esencja, cały psychobiologiczny *Gestalt*, starzała się w naturalny sposób – wręcz chyliła się ku upadkowi.

Niezależnie od tego, jaka fizjologiczna siła dbała o jego ciało, pan Brown nie odnosił żadnej z niej korzyści, oczywiście poza tym, że nie zmarł na złośliwego raka wątroby, ani wykrytego wcześniej raka śledziony, ani na zwykle śmiertelnego raka gruczołu prostaty, który zniknął nierozpoznany, zanim pan Brown ukończył trzydzieści lat.

Pan Brown żył – choć na granicy śmierci. Jego ciało było wymęczone i wyniszczone, weźmy choćby układ krążenia. Ciśnienie krwi u Browna wynosiło 220 – pomimo aplikowanych doustnie środków rozszerzających naczynia krwionośne, wzrok znacząco już mu osłabł. Mimo to, pomyślał Eric, Brown bez wątpienia pokona tę dolegliwość tak samo, jak każdą inną, pewnego dnia przypadłość po prostu zniknie, choć pacjent odmawiał przestrzegania przepisanej diety i nie reagował na rezerpinę.

Najbardziej uderzał fakt, iż pan Brown w różnych okresach życia przechodził niemal wszystkie znane medycynie, poważne choroby, od zawałów płuca po zapalenie wątroby. Był chodzącym sympozjum medycznym, nigdy zdrowym, nigdy nie funkcjonującym jak należy, w każdej chwili jakaś istotna część jego organizmu na coś cierpiała. A mimo to...

W jakiś sposób sam się leczył. Bez korzystania z wszczepów. Jak gdyby stosował w praktyce jakąś ludową medycynę homeopatyczną, pił jakieś idiotyczne ziółka, których istnienia nie zdradził opiekującym się nim lekarzom. I zapewne nigdy nie zdradzi.

Brown potrzebował swoich chorób. Jego hipochondria była rzeczywista, nie przejawiał hysterii – cierpiał na prawdziwe choroby, których ludzie zazwyczaj nie przeżywają. Jeśli to histeria, rodzaj czysto psychicznych dolegliwości, to Eric nigdy wcześniej nie natknął się na taką

jej odmianę. Mimo wszystko intuicja podpowiadała Ericowi, że wszystkie te choroby nie zaistniały bez powodu, rodziły się w niezgłębionych, skomplikowanych pokładach duszy pana Browna.

Trzy razy w życiu pan Brown nabawił się raka. Ale jak? I dlaczego?

Może to efekt jego pragnienia śmierci. Lecz za każdym razem pan Brown zatrzymywał się w ostatniej chwili, wycofywał się. Potrzebował chorób – ale nie śmierci. Nie pragnął więc tak naprawdę popełnić samobójstwa.

To ważna informacja. Jeżeli tak jest, to pan Brown będzie walczył o przetrwanie – będzie walczył ze wszystkimi rzeczami, do wykonania których zatrudnił Erica.

Zatem pan Brown będzie niezmiernie trudnym pacjentem. Ujmując rzecz łagodnie. A wszystko to rozgrywało się bez wątpienia na nieświadomym poziomie, pan Brown z pewnością nie zdawał sobie sprawy z istnienia dwóch bliźniaczych, przeczących sobie sił, które kierowały jego życiem.

Odezwały się dzwonki przy wejściu do mieszkania. Eric poszedł otworzyć – i stanął twarzą w twarz z wyglądającym na urzędnika osobnikiem w schludnym garniturze. Mężczyzna pokazał dowód tożsamości i wyjaśnił:

– Służba bezpieczeństwa, doktorze Sweetscent. Sekretarz Molinari pana potrzebuje, strasznie cierpi, więc trzeba się spieszyć.

– Oczywiście. – Eric ruszył do szafy po płaszcz, chwilę później szedł z agentem do zaparkowanego koła. – Bóle żołądka? – zapytał.

– Wygląda na to, że obecnie bóle przeniosły się do lewego boku – odparł mężczyzna, włączając koło do ruchu. – W okolice serca.

– Nie mówił, że czuje się tak, jakby naciskała go jakaś wielka dłoń?

– Nie, on tylko leży i jęczy. I pyta o pana. – Agent zdawał się podchodzić do tego rzeczowo, widocznie dobrze znał takie sytuacje. Przecież sekretarz bez przerwy chorował.

Wkrótce dotarli do Białego Domu ONZ i Eric wyszedł na chodnik wejściowy. Gdybym tylko mógł umieścić wszczep, pomyślał. Skończyłoby się to całe...

Ale teraz, po przeczytaniu akt, Eric doskonale wiedział, dlaczego Molinari zawsze odrzucał możliwość transplantacji organów. Gdyby zgodził się na przeszczep, natychmiast by wyzdrowiał, dobiegłaby końca dwuznaczność jego egzystencji – oscylacja między zdrowiem i chorobą. Bliźniacze siły zniosłyby się na korzyść zdrowia. Delikatna równowaga psychiczna uległaby zachwianiu i Molinariemu zostałaby tylko jedna z dwóch mocy, próbujących nad nim zapanować. A na to nie mógł sobie pozwolić.

– Tędy, doktorze. – Agent poprowadził go korytarzem do drzwi, przed którymi stało kilku funkcjonariuszy w mundurach. Rozstąpili się i Eric wszedł do pokoju.

Na środku, na ogromnym, rozgrzebanym łóżku, leżał na plecach Gino Molinari, który

oglądał coś w przytwierdzonym do sufitu telewizorze.

– Umieram, doktorze – odezwał się, odwracając głowę. – Wydaje mi się, że te bóle dochodzą teraz z serca. Najprawdopodobniej zresztą przez cały czas było to serce. – Jego twarz, opuchnięta i czerwona, lśniła od potu.

– Zrobimy panu EKG – oznajmił Eric.

– Nie. Już je wykonano, około dziesięciu minut temu. Nic nie wykazało. Moja choroba jest zbyt subtelna jak na wasze instrumenty. Co nie oznacza, że tak naprawdę nie istnieje. Słyszałem o ludziach cierpiących na zaawansowane choroby wieńcowe, u których EKG nic nie wykazywało. Czyż tak się nie zdarza? Posłuchaj, doktorze. Wiem coś, czego ty nie wiesz. Zastanawiasz się, skąd biorą się te bóle. Nasz sojusznik... nasz wspólnik w tej wojnie... Staryjczycy mają pewien priorytetowy plan, obejmujący między innymi przejęcie Korporacji Futer i Barwników, tacy są pewni siebie, że mi go pokazali. Umieścili już w waszej firmie szpiega. Mówię ci o tym na wypadek, gdybym nagle umarł. Bo jak sam wiesz, to może nastąpić lada chwila.

– Powiedział pan o tym Virgilowi Ackermanowi? – zapytał Eric.

– Chciałem, ale... Chryste, jak można powiedzieć coś takiego staremu człowiekowi? On nie rozumie, jakie rzeczy są na porządku dziennym w totalnej wojnie, zajęcie głównych zakładów przemysłowych Terry to pestka. To prawdopodobnie dopiero początek.

– Skoro już o tym wiem – zaczął Eric – to myślę, że powinienem powiedzieć o tym Virgilowi.

– Bardzo proszę – warknął Molinari. – Może ci się to uda. Chciałem to zrobić, gdy byliśmy w Wasz-35, ale... – Zwinął się z bólu. – Proszę coś zrobić, doktorze, nie mogę tego znieść!

Eric wstrzyknął mu dożylnie morprokainę i sekretarz ONZ uspokoił się.

– Sam nie wiesz – wymamrotał Molinari spokojnym, odprężonym głosem – co za boje toczyłem z tymi Staryjczykami. Robiłem, co mogłem, aby zostawili nas w spokoju, doktorze. – Dodał: – Nie czuję teraz bólu, ten zastrzyk chyba zadziałał.

– Kiedy chcą przejąć Korporację? – zapytał Eric. – Niebawem?

– Za parę dni. Może za tydzień. Plan jest elastyczny. Korporacja wytwarza narkotyk, który ich interesuje... prawdopodobnie nic o nim nie wiesz. Tak jak ja. W gruncie rzeczy niczego nie wiem, doktorze, oto cały sekret mojej sytuacji. Nikt mi o niczym nie mówi. Nawet ty, założę się, że nie powiesz mi na przykład, na co choruję.

Eric zwrócił się do jednego z obserwujących ich ochroniarzy:

– Gdzie mogę znaleźć wideofon?

– Proszę nie odchodzić – zawołał Mol, na wpół wstając z łóżka. – Ból może w każdej chwili powrócić, czuję to w kościach. Chcę, żebyś ściągnął tu Mary Reineke. Skoro mi się polepszyło, chciałbym z nią porozmawiać. Wiesz, doktorze, nie powiedziałem jej o tym, jak bardzo jestem

chory. Ty też tego nie rób, ona musi mieć wyidealizowany obraz mojej osoby. Kobiety już takie są, aby kochać mężczyznę, muszą go szanować, gloryfikować. Rozumiesz?

– Ale gdy ona widzi pana leżącego w łóżku, czy nie przychodzi jej do głowy...

– Och, Mary wie, że jestem chory, nie wie tylko, że umieram. Rozumiesz?

Eric oznajmił:

– Obiecuję, że nie powiem jej, że pan umiera.

– A umieram? – Zatrwożony Molinari otworzył szeroko oczy.

– Z tego, co wiem, to nie – odparł Eric, po czym dodał ostrożnie: – W każdym razie dowiedziałem się z pańskich akt, że przeżył pan kilka śmiertelnych zazwyczaj chorób, między innymi raka złośliwego...

– Nie chcę o tym mówić. Niedobrze robi mi się na myśl o tym, ile razy miałem raka.

– Myślałem...

– Że to, że wyzdrowiałem, podnosi mnie na duchu? Nie, bo następnym razem być może nie wyzdrowię. To znaczy, prędzej czy później tak się stanie, i to przed zakończeniem mojego dzieła. I co wtedy będzie z Terrą? Możesz to przewidzieć, jesteś przecież człowiekiem wykształconym.

– Skontaktuję się z panną Reineke – oznajmił Eric i ruszył do drzwi. Jeden z agentów zaczął prowadzić go do wideofonu.

Na korytarzu agent powiedział cicho:

– Panie doktorze, mamy chorego na poziomie trzecim, jeden z kuchcików w Białym Domu jakąś godzinę temu stracił przytomność. Jest przy nim doktor Teagarden, który chciałby się z panem naradzić.

– Nie ma sprawy – odparł Eric. – Zobaczę się z nim jeszcze przed rozmową z Mary Reineke.

– Poszedł za agentem do windy.

Doktora Teagardena zastał w przychodni Białego Domu.

– Poprosiłem pana, bo jest pan specem od wszczepów – oznajmił na wstępie Teagarden. – To oczywisty przypadek dławicy piersiowej i trzeba natychmiast przeprowadzić transplantację. Przypuszczam, że przywiózł pan ze sobą co najmniej jedno serce.

– Tak – mruknął Eric. – Czy chory miał wcześniej jakieś kłopoty z sercem?

– Dopiero dwa tygodnie temu – odparł Teagarden – kiedy przeżył lekki atak. Oczywiście poleciliśmy mu brać dorminyl, dwa razy dziennie. I wyglądało na to, że wyzdrowiał. Atak...

– Jaki jest związek między tą dławicą a bólami sekretarza?

– Związek? Jest jakiś związek?

– Czy to nie dziwne? Obydwaj dostają ostrych bólów w klatce piersiowej mniej więcej w tym samym czasie...

– Ale w przypadku McNeila, który leży tutaj – powiedział Teagarden, prowadząc Erica do

łóżka – diagnoza jest niewątpliwa. Natomiast u Molinariego nie można stwierdzić niczego przypominającego dławicę, brak odpowiednich objawów. Dlatego nie dostrzegani żadnego związku. – Teagarden dodał: – Zresztą przebywa tu wielu ludzi, doktorze, raz po raz ktoś zapada na jakąś chorobę.

– Ale mimo wszystko...

– Tak czy inaczej – przerwał mu Teagarden – sprawa jest prosta, proszę wszczepić mu nowe serce i będzie po wszystkim.

– Szkoda, że nie możemy zrobić tego samego na górze. – Pochylił się nad leżanką z pacjentem, na której spoczywał pacjent McNeil. Oto zatem człowiek cierpiący na dolegliwość, którą wmawiał w siebie Mol. Kto był pierwszy? McNeil czy Gino Molinari? Co jest przyczyną, a co skutkiem? – zakładając, że między tymi dwoma przypadkami istnieje jakiś związek, a jest to przypuszczenie co najmniej wątpliwe. Jak wskazał Teagarden.

Ale dobrze byłoby się dowiedzieć, czy na przykład ktoś w okolicy cierpiał na raka gruczołu prostaty w tym samym czasie, co Molinari... i pozostałe raki, zawały, zapalenie wątroby oraz całą resztę.

Może warto by było przejrzeć kartoteki medyczne personelu Białego Domu, pomyślał Eric.

– Potrzebna będzie panu pomoc przy operacji? – spytał Teagarden. – Jeśli nie, pójdę na górę do sekretarza. W Białym Domu jest pielęgniarka, która będzie mogła panu asystować, była tu jakąś minutę temu.

– Nie potrzebuję pomocy. Za to przydałaby mi się lista wszystkich dolegliwości, na które skarżą się obecnie osoby z otoczenia Molinariego, wszystkie osoby, które codziennie stykają się z sekretarzem, bez względu na to, czy są członkami personelu, czy częstymi gośćmi oficjalnymi – niezależnie od stanowisk. Czy to da się zrobić?

– Co do personelu, tak – odparł Teagarden. – Ale nie co do gości, nie mamy ich akt medycznych. Co zresztą jest oczywiste. – Przyjrzał się Ericowi.

– Mam przeczucie – oświadczył Eric – że gdy tylko wszczepimy McNeilowi nowe serce, bóle sekretarza znikną. A później odnotujemy w aktach, że tego dnia Gino Molinari wyzdrowiał po ostrej dławicy piersiowej.

Twarz Teagardena stężała, stała się nieprzenikniona.

– No cóż – powiedział Teagarden, wzruszając ramionami. – Chirurgia plus metafizyka. Takim rzadkim połączeniem wzbogacił pan nasz zespół, doktorze.

– Czy pana zdaniem Molinari ma w sobie dość empatii, żeby nabawić się każdej choroby, na którą cierpią osoby z jego otoczenia? Nie mówię, że ma to podłoże czysto historyczne, myślę, że Molinari rzeczywiście na nie zapada. Naprawdę choruje.

– Nic nie wiadomo o istnieniu takiej zdolności – oznajmił Teagarden – o ile w ogóle można to określić tak zaszczytnym mianem.

– Ale widział pan akta – zauważył spokojnie Eric. Otworzył torbę i zaczął wyjmować robantyczne, samosterujące narzędzia, które będą mu potrzebne do transplantacji serca.

Po operacji – która wymagała od niego zaledwie pół godziny faktycznej pracy – Eric Sweetscent udał się w towarzystwie dwóch agentów do apartamentu Mary Reineke.

– To kretynka – stwierdził ni stąd, ni zowąd mężczyzna z lewej.

Drugi agent, starszy i bardziej siwy, odpowiedział:

– „Kretynka”? Ona wie, jak Mol funkcjonuje, nikt inny nie był w stanie tego rozszyfrować.

– Nie ma czego rozszyfrowywać – oświadczył pierwszy, młodszy agent. – To zwykłe połączenie dwóch próżni, a to to samo, co jedna wielka próżnia.

– Aha, ładna mi próżnia. Został sekretarzem generalnym ONZ, myślisz, że ty albo ktoś inny, kogo znasz, byłby do tego zdolny? To jej mieszkanie. – Starszy agent stanął i wskazał drzwi. – Proszę nie dziwić się, kiedy ją pan zobaczy – powiedział do Erica. – Znaczy się, kiedy pan zobaczy, że to jeszcze dziecko.

– Słyszałem o tym – odparł Eric i zadzwonił do drzwi. – Znam całą sprawę.

– „Znam całą sprawę” – przedrzeźnił go agent z lewej. – A nawet nie widział pan Mary. Może zostanie pan nowym sekretarzem ONZ, kiedy Mol w końcu umrze.

Drzwi otworzyły się. Stała przed nimi zadziwiająco drobna, ciemnowłosa, ładna dziewczyna, ubrana w męską, czerwoną jedwabną koszulę o wypuszczonych połach i w zwężających się ku dołowi, obcisłych spodniach marynarskich trzymała nożyczki do obcinania naskórka, najwyraźniej przycinała właśnie i pielęgnowała swoje paznokcie, które, jak zauważył Eric, były długie i błyszczące.

– Doktor Eric Sweetscent. Właśnie zacząłem pracować w ekipie Gina Molinarięgo. – O mało co nie powiedział: w ekipie twojego ojca, ledwo się powstrzymał.

– Wiem – odparła Mary Reineke. – I Gino chce się ze mną widzieć, bo czuje się pod psem. Chwileczkę. – Odwróciła się i w mgnieniu oka zniknęła, aby poszukać płaszcza.

– Licealistka – wtrącił agent po lewej. Potrząsnął głową. – Każdy zwykły facet powędrowałby za to za kratki.

– Zamknij się – warknął jego towarzysz, a Mary Reineke ponownie się pojawiła, ubrana w ciężką ciemnogrnatową kurtkę marynarską o wielkich guzikach.

– Hej, mądrale – odezwała się Mary do agentów. – Zabierajcie się stąd, chcę porozmawiać z doktorem Sweetscentem poza zasięgiem waszych wielkich, tłustych uszu.

– Okej, Mary.

Agenci odeszli, szczerząc zęby. Eric został na korytarzu sam na sam z dziewczyną w kurtce, spodniach i kapciach.

Ruszyli przed siebie w milczeniu, po czym Mary zapytała:

– Jak on się ma? Eric odparł ostrożnie:

– Pod wieloma względami wyjątkowo dobrze. Niemal niewiarygodnie dobrze. Ale...

– Ale umiera. Cały czas. Jest chory, ale to trwa i trwa – chciałabym, żeby to się wreszcie skończyło, żeby on... – Roztropnie urwała. – Nie, tego wcale bym nie chciała. Gdyby Gino umarł, wykopaliby mnie stąd. Razem z całą menażerią wujków, kuzynów i bambini. Odbyłoby się generalne sprzątnięcie całego zalegającego w tym miejscu śmiecia. – Wyrażała się w sposób zadziwiająco gorzki i porywczy, zaskoczony Eric zerknął na nią z przyganą. – Pana zadaniem jest go wyleczyć? – zapytała Mary.

– Cóż, spróbuję to zrobić. Może chociaż...

– Czy też ma pan wymierzyć... jak to się mówi? Ostateczny cios. No, wie pan. Coup coś tam.

– Coup de grace – podpowiedział Eric.

– Właśnie. – Mary Reineke skinęła głową. – Zatem? Jakie jest pana zadanie? A może pan tego nie wie? Jest pan tak samo zdezorientowany jak on, co?

– Nie jestem zdezorientowany – stwierdził po chwili Eric.

– Czyli zna pan swoją powinność. Zajmuje się pan wszczepami, prawda? Wybitny chirurg... Chyba czytałam o panu w „Time’ie”. Nie uważa pan, że „Time” to pismo bardzo kompetentne we wszystkich dziedzinach? Czytam go co tydzień od deski do deski, zwłaszcza dział medyczny i naukowy.

– Czy... chodzi pani do szkoły? – zapytał Eric.

– Już ją skończyłam. Liceum, nie college, tak zwane wyższe wykształcenie zupełnie mnie nie interesuje.

– Kim chciała pani zostać?

– To znaczy? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– To znaczy: czym chciała się pani zajmować w życiu?

– Niczym szczególnym.

– Ale przecież pani niczego nie wiedziała, nie mogła pani przewidzieć, że wyląduje w końcu... – Zatoczyła ręką koło. – Znajdzie się w Białym Domu.

– Pewnie, że wiedziałam. Zawsze, przez całe życie. Odkąd skończyłam trzy lata.

– W jaki sposób?

– Byłam – jestem – prekogiem. Potrafię przepowiadać przyszłość. – Głos miała spokojny.

– I nadal pani potrafi?

– Jasne.

– Więc nie musi pani mnie pytać, jakie jest moje zadanie, może pani zajrzeć w przyszłość i zobaczyć, co robię.

– To, co pan robi – odparła Mary – nie jest aż tak ważne i w żaden sposób nie wpływa na przyszłość. – Uśmiechnęła się, ukazując równy rząd pięknych, białych zębów.

– Nie wierzę – odparł urażony.

– To niech pan sam się zabawi wprekoga, i nie pyta mnie, co wiem, skoro nie jest pan zainteresowany wynikano Czy też nie jest pan w stanie pogodzić się z nimi. Tu, w Białym Domu toczy się bitwa na śmierć i życie, jakaś setka ludzi walczy przez cały czas, dwadzieścia cztery godziny na dobę, o skupienie na sobie uwagi Gina. Trzeba przepychać się łokciami przez tłum. To dlatego Gino choruje – a raczej udaje, że choruje.

– Udaje? – powtórzył Eric.

– Jest histerykiem, wie pan, im się tylko wydaje, że są chorzy, ale tak naprawdę nic im nie jest. W ten sposób Gino nie dopuszcza do siebie ludzi, jest zbyt chory, żeby się z nimi spotykać.

– Roześmiała się wesoło. – Sam pan wie, przecież zbadał go pan. On tak naprawdę na nic nie choruje.

– Czytała pani akta?

– Jasne.

– Zatem wie pani, że Gino Molinari trzy razy miał raka.

– No i co z tego? – Mary machnęła ręką. – To rak histeryczny.

– Medycyna niczego takiego...

– Chce pan wierzyć podręcznikom czy temu, co widzi pan na własne oczy? – Przyjrzała mu się uważnie. – Jeżeli chce pan tu przetrwać, to lepiej niech pan stanie się realistą, lepiej niech pan nauczy się rozpoznawać fakty, kiedy ma je pan przed sobą. Myśli pan, że Teagarden cieszy się, że pan tu jest? Zagraża pan jego pozycji, on już poszukuje sposobów na zdyskredytowanie pańskiej osoby – a może jeszcze pan tego nie zauważył?

– Nie – odparł Eric. – Nie zauważyłem.

– To nie ma pan żadnych szans. Teagarden wykurzy stąd pana tak szybko... – Umilkła. Zbliżyli się do drzwi otoczonych podwójnym kordonem agentów. – Wie pan, dlaczego tak naprawdę Gino ma te bóle? Żebyśmy się z nim pieścili. Żeby ludzie opiekowali się nim jak dzieckiem, chciałby znowu być dzieckiem, żeby zrzucić z barków obowiązki dorosłości. Rozumie pan?

– Tego rodzaju teorie – rzekł Eric – są takie doskonałe, takie efektowne, tak łatwo przechodzą przez usta...

– Ale są prawdziwe – przerwała mu Mary. – W tym przypadku. – Przepisnęła się obok agentów, otworzyła drzwi i weszła do środka. Zbliżyła się do łóżka, zerknęła na Gina i warknęła: – Wstawaj, ty tłusty, leniwy sukinsynu. Gino otworzył oczy i poruszył się ociężale.

– A, to ty. Przepraszam, ale nie...

– Za nic nie przepaszaj – powiedziała ostro Mary. – Nie jesteś wcale chory! Wstawaj! Wstyd mi za ciebie, wszyscy się wstydzą za ciebie. Boisz się i zachowujesz jak małe dziecko – jak mam cię szanować, kiedy tak postępujesz?

Po chwili Gino odparł:

– Może wcale nie oczekuję od ciebie szacunku. – Tyrada dziewczyny przygnębiła go chyba bardziej niż wszystko inne. Dopiero teraz zauważył Erica. – Słyszysz ją, doktorze? – spytał ponuro. – Nie można jej powstrzymać, wchodzi tu, kiedy ja umieram, i mówi do mnie w ten sposób – może właśnie z tego powodu umieram. – Energicznie potarł brzuch. – Nic już nie czuję. To pewnie ten zastrzyk, który mi zrobiłeś. Co to było?

To nie zastrzyk, pomyślał Eric, ale operacja na McNeilu piętro niżej. Wyzdrowiałeś, ponieważ kuchcik z Białego Domu otrzymał sztuczne serce. Miałem rację.

– Skoro nic ci nie jest... – zaczęła Mary.

– Okej. – Molinari westchnął. – Zaraz wstanę, tylko, na miłość boską, dajcie mi trochę czasu, dobrze? – Zaczął się wiercić, usiłując podnieść się z łóżka. – Okej – wstanę, czy to cię zadowoli? – Podniósł głos do gniewnego krzyku.

Mary Reineke odwróciła się do Erica i powiedziała:

– Widzi pan? Potrafię wywlec go z łóżka. Potrafię sprawić, że staje na nogach jak mężczyzna.

– Gratulacje – mruknął cierpko Gino, z trudem wznosząc się do pozycji pionowej. – Nie potrzebuję personelu medycznego, wystarczy, że mam ciebie. Ale zauważyłem, że to doktor Sweetscent uwolnił mnie od bólów, nie ty. Czy kiedykolwiek zrobiłaś coś innego poza wydzieraniem się na mnie? Jeżeli znowu stanąłem na nogi, to tylko dzięki niemu. – Ominął ją i poszedł do garderoby po szlafrok.

– Narzeka na mnie – odezwała się Mary do Erica – ale w głębi duszy wie, że mam rację. – Sprawiała wrażenie całkowicie spokojnej i pewnej siebie, stała z założonymi rękoma, patrząc, jak sekretarz przewiązuje poły błękitnego szlafrocka i zakłada kaptcie z jeleniej skóry.

– Gigantka – mruknął Molinari do Erica, wskazując głową Mary. – Myśli, że ona tu rządzi.

– Musi pan spełniać jej polecenia? – zainteresował się Eric.

Molinari roześmiał się.

– Jasne. Nie widać?

– A co się dzieje, jeżeli pan jej nie słucha? Sprawia, że upadają niebiosa?

– Tak, ona wszystko ściąga na ziemię. – Molinari kiwnął głową. – Ma taki nadprzyrodzony talent... zwany byciem kobietą. Tak jak twoja żona Kathy. Cieszę się, że jest przy mnie, lubię ją. Nieważne, że na mnie krzyczy – przecież rzeczywiście wstałem z łóżka i nic mi się nie stało miała rację.

– Zawsze wiem, kiedy się zgrywasz – zauważyła Mary.

– Chodźmy, doktorze – powiedział Molinari. – Zorganizowali dla mnie pewien pokaz. Chcę, żebyś też to obejrzał.

Pod eskortą agentów przecięli korytarz i wkroczyli do pilnowanego przez strażników, zamykanego na klucz po mieszczenia, w którym Eric rozpoznał salę projekcyjną przeciwległą

ścianę tworzył gigantyczny, zainstalowany na stałe wideoekran.

– Moje przemówienie – wyjaśnił Molinari, gdy zajmowali miejsca. Dał znak i taśma wideo zaczęła się obracać wielki ekran rozświetlił się. – Zostanie pokazane jutro wieczorem, we wszystkich sieciach telewizyjnych. Chciałbym z góry poznać twoją opinię, na wypadek, gdyby coś należało zmienić. – Mol zerknął z łobuzerską miną na Erica, jakby nie powiedział wszystkiego.

Czemu zależy mi na mojej opinii? – zastanawiał się Eric, patrząc, jak ekran wypełnia wizerunek sekretarza generalnego ONZ. Mol w galowym mundurze jako głównodowodzący sił zbrojnych Terry: medale, opaski i wstęgi, a przede wszystkim sztywna czapka marszałkowska z daszkiem częściowo zakrywającym okrągłą twarz o masywnych szczękach, tak że widać było tylko jej dolną część, pokrytą ciemnym zarostem brodę i niepokojąco surowy grymas ust.

A szczęki, o dziwo, nie były obwisłe, z nieznanego Ericowi powodu stały się mocne i stanowcze. Na ekranie widniała surowa, kamienna twarz, niewzruszona i wzmocniona wewnętrznym autorytetem, którego Eric nigdy wcześniej nie widział u Mola... na pewno nie widział?

Owszem, widział. Ale przed wieloma laty, kiedy Mol obejmował urząd, kiedy był młodszy i nie ugiął się pod brzemieniem odpowiedzialności. Teraz, na ekranie, Mol przemówił. Jego głos... To był jego dawny, pierwotny głos, z minionych czasów. Brzmiał dokładnie tak samo jak w przeszłości, jak z dziesięć lat temu, zanim wybuchła ta okropna, fatalna wojna.

Mol zachichotał i odezwał się z głębokiego fotela z pianki gumowej, w którym rozłożył się obok Erica:

– Całkiem nieźle wyglądam, nie?

– To prawda.

Przemówienie nabierało mocy i wyrazu, od czasu do czasu porażało nawet srogością i majestatem. To właśnie Molinari utracił: stał się żalorny. Na ekranie dojrzały, dostojny mężczyzna w mundurze przemawiał jasno i wyraźnie, głosem, który pewnie wyrzucał kolejne zdania, sekretarz ONZ na taśmie wideo żądał i informował, nie błagał, nie zwracał się do terrańskiego elektoratu o pomoc... Mówił, co mają robić w tym czasie kryzysu. I tak właśnie powinno być. Ale jak do tego doszło? Jak ten zboląły słabeusz i hipochondryk, cierpiący na te swoje wieczne, na poły śmiertelne choroby, zdobył się na coś takiego? Eric nic z tego nie rozumiał.

– Oszustwo – oznajmił Mol. – To nie jestem ja. – Uśmiechnął się radośnie, gdy Eric wytrzeszczył oczy najpierw w niego, a potem na ekran.

– Więc kto to jest?

– Nikt. Robant. Wykonała go dla mnie Wytwórnia Uniwersalnych Robantów Usługowych – ta mowa to jego pierwszy publiczny występ. Jest całkiem niezły, przypomina mnie z dawnych

czasów, na sam jego widok czuję się odmłodzony. – Eric zauważył, że sekretarz ONZ rzeczywiście sprawia wrażenie młodszego, chyba faktycznie nabrał otuchy, oglądając swojego sobowtóra na ekranie. Mol, ponad i przede wszystkim innym, uwierzył w ten fałszywy spektakl, został pierwszym neofitą. – Chciałbyś go zobaczyć? To oczywiście ściśle tajna sprawa – wie o tym tylko trzech czy czterech ludzi, naturalnie oprócz Dawsona Cuttera z Wytwórni – Ale wszyscy utrzymają to w sekrecie, przyzwyczajili się do pracy z tajnymi informacjami podczas załatwiania kontraktów związanych z wojną. – Walnął Erica po plecach. – Do – puszczam cię właśnie do jednej z tajemnic państwowych – jakie to uczucie? Tak się kieruje nowoczesnym państwem., o pewnych rzeczach wyborcy nie wiedzą, nie powinni wiedzieć dla własnego dobra. Wszystkie rządy, nie tylko mój, funkcjonują w ten sposób. Wydaje ci się, że jestem wyjątkiem? Jeżeli tak, to musisz się jeszcze dużo nauczyć. Wykorzystuję robanta do wygłaszania przemówień, ponieważ w tej chwili – wskazał na siebie – raczej nie posiadam odpowiedniej prezencji, mimo wysiłku pracujących nade mną charakteryzatorów. Beznadziejna robota. – Spochmurniał, przestał żartować. – Więc dałem za wygraną. Jestem realistą. – Z ponurą miną wyciągnął się na fotelu.

– Kto napisał przemówienie?

– Ja. Wciąż potrafię sporządzić polityczny manifest, opisujący sytuację, wyjaśniający ludziom, jak sprawy stoją, co jest naszym celem i co musimy zrobić. Główka jeszcze pracuje. – Mol poklepał się po wielkim, wypukłym czole. – Jednakże, rzecz jasna, korzystałem z pomocy.

– „Pomocy” – podchwycił Eric.

– Pomógł mi człowiek, którego chcę ci przedstawić – młody, zdolny prawnik, który za darmo pracuje dla mnie jako osobisty doradca. Don Festenburg, cudowne dziecko, na pewno wywrze na tobie takie wrażenie, jakie na mnie wywarł. Ma talent do kształtowania, kondensowania i wydobywania istoty rzeczy, którą przedstawia potem w kilku zwięzłych zdaniach... Zawsze miałem skłonności do wodolejstwa, wszyscy o tym wiedzą. Ale dzięki Festenburgowi sytuacja się zmieniła. To on zaprogramował tę atrapę – naprawdę uratował mi życie.

Syntetyczna postać na ekranie mówiła władczym tonem:

– ...i zespoliwszy moce kilku naszych narodowych społeczeństw, my, Terranie, stanowimy liczący się związek, potężniejszy niż zwykła planeta, ale bezsprzecznie słabszy, w chwili obecnej, niż międzyplanetarne imperium na skalę Lilistaru... choć być może...

– Ja osobiście... wołałbym nie oglądać atrapy – doszedł do wniosku Eric.

Molinari wzruszył ramionami.

– To jedyna w swoim rodzaju okazja, ale skoro cię to nie interesuje albo niepokoi... – Przyjrzał się Ericowi. – Wołałbyś zachować wyidealizowany obraz mojej osoby, wyobrażać sobie raczej, że stworzenie, które gada na ekranie, jest rzeczywiste. – Roześmiał się. – Wydawało mi się, że lekarz, podobnie jak prawnik i kapłan, potrafi bez strachu patrzeć na życie w całej jego

realności, myślałem, że prawda to dla ciebie chleb powszedni. – Z poważną miną nachylił się ku Ericowi, jego fotel zaskrzypiał na znak protestu, uginając się pod nadmiernym ciężarem. – Jestem zbyt stary. Nie potrafię już błyskotliwie przemawiać. Jeden Bóg wie, że bardzo bym chciał. Ale ten robant to w sumie jakieś rozwiązanie, lepiej by było po prostu się poddać?

– Nie – przyznał Eric. To nie rozwiązałyby ich problemów.

– Dlatego posługuję się sobowtórem, który wygłasza kwestie zaprogramowane przez Dona Festenburga. Chodzi o podkreślenie, że damy sobie radę. I tylko to się liczy. Więc naucz się z tym żyć, doktorze, i wydorosłej. – Twarz Mola była teraz chłodna, nieugięta.

– W porządku – odezwał się Eric po chwili. Molinari poklepał go po ramieniu i powiedział cicho:

– Staryjczycy nie wiedzą o tej atropie i o robocie Dona Festenburga, nie chcę, aby to odkryli, doktorze, bo na nich też chciałbym zrobić wrażenie. Rozumiesz? Wysyłam kopię tej taśmy na Lilistar, już jest w drodze. Chcesz znać prawdę, doktorze? W gruncie rzeczy bardziej zależy mi na zrobieniu wrażenia na nich niż na mieszkańcach naszej planety. Co o tym myślisz? Powiedz szczerze.

– Myślę – odparł Eric – że to trafny komentarz do naszej niewesołej sytuacji.

Mol popatrzył na niego pośpiesznie.

– Możliwe. Ale nie wiesz, że to małe piwo, gdybyś miał najmniejsze pojęcie o...

– Proszę już mi nic nie mówić. Nie teraz.

Sobowtór Gina Molinariego na ekranie grzmiał i perorował, gestykulując do niewidocznej telewizyjnej widowni.

– Dobrze, dobrze – zgodził się, łagodniejszy już, Molinari. – Przepraszam, że w ogóle zwracałem ci głowę moimi problemami. – Przybity, z twarzą jeszcze bardziej pobrużdżoną i znużoną niż przedtem, odwrócił się z powrotem do ekranu, w stronę zdrowego, energicznego, całkowicie syntetycznego duplikatu swojej dawnej osoby.

W kuchni swojego mieszkania Kathy Sweetscent podniosła z trudem nóż do jarzyn, aby posiekać czerwoną cebulę, ale z niedowierzaniem stwierdziła, że rozcięła sobie palec, stała bez słowa, trzymając nóż i patrząc, jak szkarłatne krople ściekają po dłoni i mieszają się z wodą zraszającą jej nadgarstki. Nie dawała sobie już rady nawet z najbardziej pospolitymi przedmiotami. Przeklęty narkotyk! – pomyślała z goryczą i furią. Z każdą chwilą staje się coraz bardziej bezsilna. Nic mi się nie udaje. Więc jak, do diabła, mam przygotować kolację?

Stojący za jej plecami Jonas Ackerman stwierdził z troską w głosie:

– Trzeba ci jakoś pomóc, Kathy. – Obserwował ją, jak szła do łazienki po plaster. – Teraz wszędzie rozrzucaasz plastry, nawet z tym nie dajesz sobie rady. – Poskarżył się: – Gdybyś powiedziała mi, co to jest, co...

– Załóż mi plaster, dobrze? – Stała w milczeniu, gdy Jonas owijał jej skaleczony palec. – To

JJ-180 – wyznała nagle, bez zastanowienia. – Jestem uzależniona, Jonas. To robota Staryjczyków. Proszę, pomóż mi, uwolnij mnie od tego. Okej?

Jonas wydusił roztrzęsiony:

– Ja... nie wiem dokładnie, co mogę zrobić, bo to taki nowy narkotyk. Oczywiście zaraz skontaktujemy się z naszą filią. Cała firma udzieli ci poparcia, łącznie z Virgilem.

– W tej chwili idź z nim porozmawiać.

– W tej chwili? Twoje poczucie czasu, Kathy, to przez ten narkotyk nalegasz na pośpiech. Mogę się z nim spotkać jutro.

– Do diabła, przez ten narkotyk to ja mogę umrzeć. Więc lepiej spotkaj się z nim jeszcze dzisiaj, Jonas, rozumiesz?

Po chwili Jonas oznajmił:

– Zadzwońię do niego.

– Staryjczycy mają podsłuch na wideoliniach.

– Co za paranoiczny pomysł. Znowu ten narkotyk.

– Boję się ich. – Kathy drżała. – Są wszechmocni. Idź i porozmawiaj z Virgilem w cztery oczy, Jonas, wideofon to za mało. Chyba że jest ci wszystko jedno, co się ze mną stanie?

– Oczywiście, że nie jest mi wszystko jedno! W porządku, pójdę pogadać ze starym. Ale czy dasz sobie radę sama?

– Tak – odparła Kathy. – Będę po prostu siedzieć beczynn timer w salonie. Będę czekać, aż wrócisz z jakąś pomocą. Co mi się może stać, jeśli nie będę próbowała nic robić, jeśli będę tu tylko siedzieć?

– Możesz wpaść w stan patologicznego podniecenia. Możesz wpaść w panikę... Pobiec gdzieś. Jeśli to prawda, że jesteś uzależniona...

– To prawda! – krzyknęła. – Myślisz, że żartuję?

– Okej – powiedział Jonas, poddając się. Podprowadził ją do kanapy w salonie i posadził. – Boże, mam nadzieję, że nic ci się nie stanie – mam nadzieję, że nie popełniam błędu. – Był spocony i blady, jego twarz zmarszczyła się z niepokoju. – Zobaczmy się za jakieś pół godziny, Kathy. Jezu, jak coś pójdzie nie tak, Eric nigdy mi tego nie wybaczy i będzie miał rację. – Zamknęły się za nim drzwi. Nawet się nie pożegnał.

Została sama.

Natychmiast podeszła do wideofonu i wykręciła numer.

– Poproszę taksówkę. – Podała swój adres i rozłączyła się.

Chwilę potem, z płaszczem narzuconym na ramiona, wybiegła z budynku na pogrążony w mroku chodnik.

Gdy zabrała ją autonomiczna taksówka, przeczytała jej adres widniejący na wizytówce, którą dał jej Corning.

Jeśli zdobędę trochę narkotyku, pomyślała, rozjaśni mi się w głowie i będę mogła wykombinować, co mam zrobić, teraz nie potrafię zebrać myśli. Decyzje podjęte na głodzie byłyby bezsensowne. Muszę sprawić, aby moje władze umysłowe powróciły do normalnego – czy też raczej: pożądanego – stanu, bez tego nie będę mogła ani niczego zaplanować, ani przeżyć, i będzie po mnie. Wiem, powiedziała sobie z furią, że inaczej pozostałoby mi tylko samobójstwo, wytrzymałabym co najwyżej kilka godzin, a w tak krótkim czasie Jonas nie zdołałby mi pomóc.

Wybrałam jedyny możliwy sposób, w jaki mogłam się go pozbyć, pomyślała – powiedziałam mu o nałogu. Inaczej sterczałyby przy mnie bez końca i nie miałabym najmniejszej szansy na pójście do Corninga po kapsułki. Wywalczyłam sobie szansę, ale Ackermanowie wiedzą już, co mi jest, i jeszcze bardziej będą się starali powstrzymać mnie przed wyjazdem do Erica w Cheyenne. Może powinnam jechać tam jeszcze dzisiaj, nie wracając nawet do mieszkania. Wyruszyć natychmiast po otrzymaniu kapsułek. Porzucić wszystko, co mam, zostawić to za sobą.

Czy istnieją granice szaleństwa? – zapytała sama siebie. Wystarczył jeden kontakt z JJ-180, aby wpędzić mnie w obłąd, kim się stanę, jeżeli będę go brać regularnie... Czy choćby tylko po drugim jego zażyciu?

Stwierdziła, że na szczęście nie potrafi przeniknąć przyszłości. Naprawdę nic nie wiedziała.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pani. – Taksówka usiadła na lądowisku na dachu jakiegoś budynku. – Jeden dolar i dwadzieścia centów plus dwadzieścia pięć centów napiwku.

– Pieprz się ze swoim napiwkiem – rzuciła Kathy, otwierając portmonetkę, ręce jej drżały i ledwo mogła wyjąć pieniądze.

– Tak jest, proszę pani – powiedział posłusznie pojazd.

Zapłaciła i wysiadła. Drogę w dół wskazywało nikiłe światło. Ale ruderę znaleźli sobie Staryjczycy, pomyślała. Na pewno nie są z niej zadowoleni, pewnie udają, że są Terranami. Jedynym pocieszeniem była gorzka świadomość, że Staryjczycy, tak jak Ziemianie, przegrywali wojnę i zostaną w końcu pokonani. Upojona tą myślą, Kathy szybciej ruszyła przed siebie, poczuła się pewniej, nie tylko już nie znosiła Staryjczyków – mogła nimi, przez chwilę, nawet gardzić.

Tak podniesiona na duchu dotarła do zajmowanego przez Staryjczyków mieszkadła, zadzwoniła do drzwi i czekała.

Drzwi otworzył sam Corning, za jego plecami dostrzegła innych Staryjczyków, najwyraźniej odbywających jakąś konferencję. Ściśle tajną, pomyślała, przeszkadzam im. Niedobrze, ale sam mi mówił, że bym tu przysła.

– Pani Sweetscent. – Corning odwrócił się do towarzyszy. – Czyż to nie wspaniałe nazwisko? Wejdz, Kathy. – Odchylił szeroko drzwi.

– Przynies mi to tutaj. – Pozostała na korytarzu. – Jadę do Cheyenne, pewnie cię to ucieszy.

Więc nie marnuj mojego cennego czasu. – Wyciągnęła dłoń.

Po jego twarzy – niewiarygodne – przemknęło współczucie, Corning szybko je jednak stłumił. Lecz widziała swoje i właśnie to bardziej niż wszystko inne, co się stało, nawet sam nałóg czy jej cierpienia podczas narkotycznego głodu... nic nią tak nie wstrząsnęło, jak współczucie Corninga. Jeżeli to mogło poruszyć Staryjczyka... Skurczyła się ze strachu. Mój Boże, pomyślała, naprawdę mam poważne kłopoty. Pewnie wkrótce czeka mnie śmierć.

– Posłuchaj – powiedziała spokojnie. – Mój nałóg może nie potrwa wiecznie. Odkryłam, że kłamałeś, narkotyk pochodzi z Terry, nie został stworzony przez wroga, prędzej czy później nasza filia będzie mogła mnie wyleczyć. Więc się nie boję. – Czekala, podczas gdy Corning cofnął się do środka po narkotyk, przynajmniej przypuszczała, że po niego poszedł. Z całą pewnością gdzieś zniknął.

Jeden z pozostałych, obserwujących ją leniwie Staryjczyków zauważył:

– Ten narkotyk mógłby być w obiegu na Lilistarze przez dziesięć lat i nie znalazłby się nikt na tyle niezrównoważony, żeby ulec pokusie.

– Racja – zgodziła się Kathy. – Na tym polega różnica między nami: wyglądamy podobnie, lecz wy jesteście twardzi, a my słabi. Rany, zazdroszczę wam. Kiedy pojawi się pan Corning?

– Zaraz wróci – odparł Staryjczyk, po czym odezwał się do towarzysza: – Jest ładna.

– Tak, ładna jak na zwierzę – orzekł drugi Staryjczyk. – Więc lubisz ładne zwierzątka? Dlatego cię tutaj przydzielono?

Wrócił Corning.

– Kathy, daję ci cztery kapsułki. Nie bierz więcej niż jedną na raz, bo większa dawka mogłaby spowodować ustanie akcji serca.

– W porządku. – Wzięła kapsułki. – Ma pan może trochę wody, żeby mogła natychmiast to zażyć?

Corning przyniósł szklankę wody i patrzył ze współczuciem, jak Kathy połyka kapsułkę.

– Robię to – wyjaśniła – żeby odzyskać jasność umysłu i zaplanować dalsze postępowanie. Przyjaciele już mi pomagają. Ale pojedę do Cheyenne, bo umów się przestrzega, nawet umów z wami. Mógłbyś mi podać namiary na kogoś stamtąd... no wiesz, kogoś, kto mógłby dostarczyć mi nowy towar, kiedy będę go potrzebowała? To znaczy, gdybym go potrzebowała.

– W Cheyenne nie mamy nikogo, kto mógłby ci pomóc. Obawiam się, że po wykorzystaniu tych kapsułek będziesz musiała tutaj wrócić.

– Czyli wasza infiltracja w Cheyenne niezbyt się powiodła?

– Chyba tak. – Corning nie wyglądał jednak na zbitego z tropu.

– Do widzenia – oznajmiła Kathy, zbierając się do odejścia. – Tylko spójrzcie na siebie – zwróciła się do grupy Staryjczyków w mieszkaniu. – Boże, ale wy jesteście obrzydliwi. Tacy pewni siebie. Co to za zwycięstwo... – Urwała, jaki to miało sens? – Virgil Ackerman wie, co mi

jest, na pewno coś zrobi. On się was nie boi, jest zbyt potężny.

– W porządku. – Corning kiwnął głową. – Napawaj się tymi krzepiącymi złudzeniami, Kathy. A póki co, nikomu innemu o tym nie gadaj, bo nie dostaniesz kapsułek. Źle się stało, że powiedziałaś Ackermanom, ale tym razem jeszcze ci daruję, byłaś przecież oszołomiona po ustaniu działania narkotyku – spodziewaliśmy się czegoś takiego. Zrobiłaś to w panice. Powodzenia, Kathy. Wkrótce się z nami skontaktujesz.

– Nie możesz dać jej teraz dalszych instrukcji? – przeciągając zgłoski, odezwał się zza pleców Corninga kolejny Staryjczyk, z sennym spojrzeniem i gębą ropuchy.

– Nie mogłaby zapamiętać niczego więcej – stwierdził Corning. – I tak już ją nieźle grzmotnęło, nie widzisz, jaka jest przeciążona?

– Pocałuj ją na pożegnanie – podsunął Staryjczyk. Zrobił kilka kroków do przodu. – A jeśli to jej nie rozweseli, to...

Drzwi mieszkania zatrzasnęły się Kathy przed nosem.

Stała przez chwilę, po czym ruszyła z powrotem korytarzem w kierunku schodków prowadzących na dach. Kręci mi się w głowie, stwierdziła, zaczynam tracić orientację. Mam nadzieję, że dotrę do taksówki. Tam już będę bezpieczna. Chryste, jak oni mnie potraktowali. Powinnam się przejąć, ale się nie przejmuję. Przynajmniej dopóki mam te trzy pozostałe kapsułki JJ-180. I mogę zdobyć następne.

Kapsułki były jakby gwarancją samego życia, choć równocześnie składały się wyłącznie z bezgranicznej iluzji. Ale bajzel, pomyślała obojętnie, wychodząc na dach i rozglądając się za czerwonymi, mrugającymi światłami autonomicznej taksówki. Pier...ony bajzel.

Znalazła taksówkę, wsiadła i gdy zmierzała do Cheyenne, zauważyła, że narkotyk zaczyna działać.

Pierwszy objaw zbił ją z tropu. Ciekawe, czy na jego podstawie można wysnuć jakiś wniosek o prawdziwym działaniu JJ-180. Wydało jej się to strasznie ważne i w zrozumienie tego włożyła całą energię umysłu. Takie to proste, a zarazem tak pełne znaczenia.

Zniknęła rana na jej palcu.

Siedziała i przyglądała się temu miejscu, dotykała gładkiej, nienaruszonej skóry. Żadnego nacięcia. Żadnej blizny. Palec dokładnie taki, jak przedtem... jak gdyby cofnął się czas. Plaster również zniknął, i to zdawało się rozstrzygać sprawę, czynić ją całkowicie zrozumiałą nawet dla jej coraz bardziej nadwątlonych władz umysłowych.

– Popatrz na moją dłoń – poleciała automatowi, podnosząc rękę do góry. – Czy widzisz gdzieś jakieś skaleczenie? Uwierzyłbyś, że zaledwie pół godziny temu strasznie się zacięłam?

– Nie, proszę pani – odparł pojazd, przemierzając równinną pustynię Arizony, kierując się na północ, w stronę Utah. – Wygląda na to, że pani się nie skaleczyła.

Już wiem, jak działa ten narkotyk, pomyślała. Dlaczego sprawia, że przedmioty i ludzie stają

się nierzeczywiści. To nie magia, ani halucynacja. Rana naprawdę zniknęła – to nie iluzja. Czy później będę to pamiętać? Niewykluczone, że za sprawą narkotyku o wszystkim zapomnę, już za chwilę, w miarę jak narkotyk będzie coraz silniej działał, coraz bardziej i bardziej mnie pochłaniał, będzie mi się wydawało, że nigdy się nie skaleczyłam.

– Masz może coś do pisania? – zapytała taksówkę.

– Tak, proszę pani. – Ze szczeliny na oparciu stojącego przed nią fotela wyłonił się bloczek do notatek z dołączonym pisakiem.

Kathy starannie napisała: *JJ-180 przeniósł mnie do czasu, kiedy jeszcze nie miałam skaleczonego palca.*

– Który dzisiaj jest? – zapytała taksówkę.

– Osiemnasty maja, proszę pani.”“ Usiłowała sobie przypomnieć, czy to się zgadza, ale poczuła zamęt w głowie, czy już jej to umknęło? Dobrze, że wszystko zapisała. Zaraz, czy rzeczywiście coś zapisała? Na jej kolanach leżał bloczek z pisakiem.

Notatka brzmiała: *JJ-180 przeniósł mnie* I tyle, reszta zmieniła się w pozbawione sensu, skomplikowane bazgroły.

A jednak wiedziała, że dokończyła zdanie, jakiegokolwiek ono było. Nie mogła go już sobie przypomnieć. Odruchowo przyjrzała się swojej dłoni. Ale jaki z tym związek miała jej dłoń?

– Słuchaj – odezwała się pośpiesznie, czując, że traci kontrolę nad własnym umysłem – o co cię przed chwilą pytałam?

– O datę.

– Wcześniej.

– Poprosiła pani o przybory do pisania.

– A jeszcze wcześniej?

Taksówka jak gdyby się zawahała, ale może tak się tylko Kathy zdawało.

– Nie, proszę pani, o nic wcześniej pani nie pytała.

– Nie pytałam o swoją dłoń?

Teraz nie miała wątpliwości, obwody taksówki zamarły na chwilę. W końcu pojazd zaskrzeczał:

– Nie, proszę pani.

– Dziękuję – odparła Kathy, opadła na fotel, potarła czoło i pomyślała: Zatem robant też jest zdezorientowany. Czyli to wszystko nie jest subiektywne, doszło do prawdziwego przeskoku w czasie, którego doświadczam razem z moim otoczeniem.

Pojazd powiedział, jak gdyby chciał zrekompensować fakt, że nie mógł jej pomóc:

– Skoro podróż potrwa kilka godzin, to może miałaby pani ochotę obejrzeć telewizję? Ekran znajduje się przed panią, wystarczy tylko nacisnąć pedał.

Odruchowo włączyła odbiornik koniuszkiem palca u nogi, ekran natychmiast się rozjarzył

i Kathy ujrzała znajomy obraz: postać przywódcy Terry, Gina Molinariego, w trakcie przemówienia.

– Czy odpowiada pani ten kanał? – zapytała wciąż skruszona taksówka.

– Och, pewnie – odparła Kathy. – Przecież kiedy on wstaje z łóżka i monologuje, puszcza ją to na wszystkich kanałach. – Tak nakazywało prawo.

A jednak także tu, w tym znajomym spektaklu przykuło jej uwagę coś dziwnego. Spoglądając uważnie na ekran, Kathy pomyślała: Mol wygląda na młodszego. Takiego go pamiętam z dzieciństwa. Impulsywny, wrzaskliwy, pełen energii i życia, w oczach lśni mu ta dawna pasja: pierwotna osobowość, o której nikt nie zapomniał, choć nie zostało po niej ani śladu. Jednak najwyraźniej nie zniknęła kompletnie, widziała ją teraz na własne oczy i była bardziej oszołomiona niż kiedykolwiek wcześniej.

Czy to JJ-180 mi to robi? – zapytała sama siebie i nie potrafiła na to odpowiedzieć.

– Lubi pani oglądać pana Molinariego? – zainteresował się automat.

– Tak – odparła Kathy. – Lubię.

– Czy mogę zaryzykować przypuszczenie – ciągnął pojazd – że zdobędzie on stanowisko, o które się ubiega, stanowisko sekretarza ONZ?

– Ty durny, bezmyślny robancie – wygarnęła mu Kathy. – On jest na tym stanowisku od wielu lat. – Ubiega? – pomyślała. Fakt, Mol wyglądał tak podczas kampanii, dziesiątki lat temu... Może to właśnie zdezorientowało obwody pojazdu. – Przepraszam cię bardzo – odezwała się. – Ale gdzie ty się, do cholery, ostatnio podziewałeś? Sterczałeś w autozakładzie naprawczym przez dwadzieścia dwa lata?

– Nie, proszę pani. Cały czas pracowałem. To raczej pani, że się tak wyrażę, musiało się co nieco pomieszać. Czy potrzebuje pani pomocy medycznej? W chwili obecnej przelatujemy nad pustynią, lecz już wkrótce będziemy mijać St. George w stanie Utah.

Poczuła przyływ irytacji.

– Oczywiście, że nie potrzebuję żadnej pomocy medycznej, jestem zupełnie zdrowa.

Ale taksówka miała rację. Narkotyk oddziaływał teraz na nią z pełną mocą. Zrobiło jej się niedobrze i zamknęła oczy, przyciskając palce do czoła, jak gdyby chciała powstrzymać rozszerzanie się jej rzeczywistości psychicznej, jej subiektywnej jaźni. Boję się, uświadomiła sobie. Czuję się, jakbym się miała zaraz rozpaść na kawałki. Tym razem walnęło mnie o wiele mocniej niż wcześniej, jest inaczej, może dlatego, że jestem sama, a nie w towarzystwie innych ludzi. Ale muszę to znieść. Jeżeli zdołam.

– Proszę pani – odezwał się raptem automat – czy mogłaby pani powtórzyć, dokąd mam lecieć? Zapomniałem. – Jego obwody co chwila trzeszczały, jakby dopadło go jakieś mechaniczne zmartwienie. – Proszę mi pomóc.

– Nie wiem, dokąd masz lecieć – oznajmiła Kathy. – To twoja sprawa, sam to ustal. Jeżeli

nie pamiętasz, to po prostu lataj w kółko. – Czemu miało ją obchodzić, dokąd zmierza pojazd?
Co to miało z nią wspólnego?

– Nazwa zaczynała się na C – powiedziała z nadzieją taksówka.

– Chicago.

– Chyba nie. Ale skoro jest pani pewna... – Mechanizm zaturkotał, gdy pojazd zmienił kurs.

Ty i ja razem w tym tkwimy, uświadomiła sobie Kathy. W tej narkotycznej fudze. Panie Corning, popełnił pan błąd, dając mi ten narkotyk bez nadzoru. Corning? Co to za Corning?

– Wiem, gdzie lecimy – oznajmiła. – Do Corning.

– Miejscowość o takiej nazwie nie istnieje – odparł stanowczo automat.

– Musi istnieć. – Wpadła w panikę. – Sprawdź jeszcze raz bazę danych.

– Naprawdę jej nie ma!

– No to po nas – podsumowała Kathy zrezygnowana. – Boże, to okropne. Muszę być wieczorem w Corning, a takie miejsce nie istnieje. Co mam robić? Zaproponuj coś. Liczę na ciebie, proszę, nie zostawiaj mnie tak na lodzie... Mam wrażenie, że wpadam w obłąd.

– Poproszę zarząd o pomoc – powiedziała taksówka – Główny ośrodek dyspozycyjny w Nowym Jorku. Chwileczkę. – Na pewien czas umilkł. – Proszę pani, w Nowym Jorku, nie ma ośrodka dyspozycyjnego, a nawet jeśli jest, to nie mogę nawiązać z nim łączności.

– A czy w Nowym Jorku coś w ogóle jest?

– Całe mnóstwo radiostacji. Ale nie ma transmisji telewizyjnych, ani niczego na falach FM i w paśmie UHF, niczego na częstotliwościach, które wykorzystujemy. W tej chwili odbieram radiostację, która nadaje coś pod tytułem *Mary Marlin*. Tematem przewodnim jest utwór fortepianowy Debussy'ego.

Znała się na historii, w końcu pracowała jako zbieraczka antyków.

– Daj to na system audio, żebym mogła posłuchać – poleciła.

Po chwili rozległ się kobiecy głos, szczegółowo relacjonujący drugiej kobiecie dzieje swojego cierpienia, opowiadający najbardziej posępną historię z możliwych. Mimo to Kathy ogarnęło gorączkowe podniecenie.

Popelnili błąd, pomyślała, wytężając cały umysł. Nie zniszczą mnie, zapomnieli, że ta epoka to moja specjalność – znam ją równie dobrze jak teraźniejszość. To przeżycie w niczym nie może mi zagrozić, ani nie może mnie załamać, tak naprawdę, można je nawet jakoś wykorzystać.

– Nie wyłączaj radia – powiedziała. – I leć dalej. – Skupiła uwagę na mydlanej operze, podczas gdy pojazd pędził wciąż przed siebie.

Nagle – wbrew naturze i zdrowemu rozsądkowi – zrobił się jasny dzień. Automat wiedział, że to niemożliwe, krzyknął do Kathy skrzekliwym i zbolałym głosem:

– Proszę pani, na szosie pod nami! Starożytny samochód, który nie może przecież istnieć! – Obniżył lot. – Niech pani sama zobaczy! Proszę spojrzeć!

Kathy spojrzała w dół i potwierdziła:

– Fakt. Ford A z 1932 roku. I zgadzam się z tobą, fordów A nie robią już od dziesiątków lat. – Przez chwilę analizowała sytuację, po czym oznajmiła: – Chcę, żebyś wylądował.

– Gdzie? – Autonomicznej taksówce ten pomysł stanowczo nie przypadł do gustu.

– W tym miasteczku przed nami. Usiądź na jakimś dachu. – Była spokojna. Ale nieustannie pamiętała o jednym: to narkotyk. I tylko narkotyk. Wszystko potrwa tak długo, jak długo JJ-180 będzie wywierał wpływ na metabolizm jej mózgu, JJ-180 przeniósł ją tu bez ostrzeżenia i w końcu – także bez ostrzeżenia – sprowadzi ją z powrotem do jej czasów. – Chcę znaleźć bank – powiedziała na głos Kathy. – I otworzyć sobie konto. W ten sposób... – Ale nagle zdała sobie sprawę, że nie posiada waluty z tego okresu, czyli nie będzie w stanie przeprowadzić żadnej transakcji. Więc co może zrobić? Nic? Zadzwońię do prezydenta Roosevelta i ostrzegę go przed Pearl Harbor, pomyślała zjadliwie. Zmienię bieg historii. Zaproponuję, żeby na wiele lat wstrzymali pracę nad bombą atomową.

Czuła się bezsilna – a mimo to roznosiła ją potencjalna moc, doświadczała obu wrażeń jednocześnie, co było skrajnie nieprzyjemne. Przenieść jakiś przedmiot do teraźniejszości i do Wasz-35? Czy też rozwiązać jakąś naukową szaradę, rozstrzygnąć jakąś historyczną debatę? Porwać prawdziwego, rzeczywistego Babe'a Rutha, zabrać go do naszego marsjańskiego miasteczka? Wasz-35 z pewnością stałby się dzięki temu bardziej wiarygodny.

– Virgil Ackerman – powiedziała powoli – jest w tej epoce małym chłopcem. Co z tego wynika?

– Nic – odrzekła taksówka.

– Daje mi to ogromną władzę nad nim. – Kathy otworzyła torebkę. – Dam mu coś. Monety, które mam, banknoty. – Podam mu datę przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny, pomyślała. Potem będzie mógł jakoś skorzystać z tej wiedzy... Coś tam wymyśli, zawsze był sprytny, sprytniejszy ode mnie. Boże, jak by tu na niego wpłynąć? W co mu kazać zainwestować? W General Dynamics? Powiedzieć, żeby stawiał w każdej walce na Joe Louisa? Kupował nieruchomości w Los Angeles? Co przekazać ośmio – czy dziewięciolatce, gdy dokładnie i wszechstronnie zna się dzieje nadchodzących stu dwudziestu lat?

– Proszę pani – jęknął płacząco automat – jesteśmy w powietrzu od tak dawna, że kończy mi się już paliwo.

Kathy zeszywniała i wydusiła z siebie:

– Przecież powinno ci wystarczyć na piętnaście godzin.

– Miałem mało na stanie. – Pojazd przyznał to niechętnie. – To moja wina, przykro mi. Właśnie leciałem do stacji obsługi, gdy mnie pani wezwała.

– Ty cholerna, durna maszyno – wycedziła Kathy z wściekłością. Ale nic nie mogła poradzić, nie zdołają dotrzeć do Waszyngtonu, znajdowali się o co najmniej tysiąc mil od niego. A w tym czasie nie istniał oczywiście wysoko wzbogacony, superrafinowany protoneks, który napędzał taksówkę. I nagle wiedziała już, co musi zrobić. Ten pomysł podsunął jej, niechcący, automat. Protoneks był najlepszym paliwem w historii ludzkości – otrzymano go z wody morskiej. Wystarczyło jedynie wysłać pocztą pojemnik z protoneksem ojcu Virgila Ackermana i polecić mu, aby przeprowadził najpierw analizę produktu, a następnie go opatentował.

Ale w żaden sposób nie mogła niczego wysłać pocztą, nie bez pieniędzy, za które mogłaby kupić znaczki. W torebce miała niewielki zwitek wymiętych znaczków, lecz oczywiście pochodzących wyłącznie z jej czasów, z 2055 roku. K...a, powiedziała wściekle do siebie, przybita i bezbronna. Jestem o krok od rozwiązania problemu – a nie mogę nic zrobić.

– W jaki sposób – zwróciła się do taksówki – mogę w tych czasach wysłać list bez ważnych znaczków?

– Proszę wysłać list bez znaczka i adresu zwrotnego, proszę pani. Poczta dostarczy go na koszt odbiorcy.

– Tak, jasne – ucieszyła się Kathy. Ale protoneksu nie będzie mogła umieścić w kopercie, musiałaby go zapakować do paczki, której bez opłaty nie mogłaby na poczcie nadać. – Słuchaj – odezwała się. – Czy masz w swoich obwodach jakieś tranzystory?

– Kilka. Ale tranzystory stały się przestarzałe, odkąd...

– Daj mi jeden tranzystor, wszystko mi jedno, co ci się stanie, wyrwij i daj mi go, im mniejszy, tym lepszy.

Ze szczeliny w oparciu fotela przed nią wytoczył się tranzystor, który złapała w locie.

– To unieruchomiło mój nadajnik radiowy – poskarżył się pojazd. – Będę musiał dopisać to do pani rachunku, będzie to duża suma, bo...

– Zamknij się – przerwała mu Kathy. – I wyląduj jak najszybciej w tym mieście. – Napisała pospiesznie w notatniku: Virgilu Ackermanie, to część radia z przyszłości. Nie pokazuj tego nikomu, ale zachowaj do początku lat czterdziestych. Wtedy zanieś to do Westinghouse Corporation, albo do General Electric, albo do jakiegokolwiek innej firmy elektronicznej (radiowej). Zrobisz na tym majątek. Nazywam się Katherine Sweetscent. Zapamiętaj mnie za to, na przyszłość.

Taksówka usiadła delikatnie na dachu jakiegoś niskiego biurowca w centrum miasteczka. Idący niżej chodnikiem, archaicznie ubrani wieśniacy, zaczęli się na nią gapić.

– Wyląduj na ulicy. – Kathy zmieniła polecenie. – Muszę wrzucić to do skrzynki. – Znalazła w torebce kopertę, pospiesznie nabazgrała adres Virgila z Wasz-35, umieściła tranzystor i notkę w kopercie, po czym ją zakleiła. Powoli zbliżali się do ulicy, po której przemieszczały się przestarzałe samochody.

Po chwili Kathy pędziła do skrzynki pocztowej, wrzuciła list i przystanąła, z trudem chwytając oddech.

Udało się. Zabezpieczyła materialną przyszłość Virgila, a zatem i swoją własną. Dzięki temu do końca dni będą mogli żyć w dostatku.

Teraz, Eric, możesz sobie iść do diabła, pomyślała. Wcale nie muszę za ciebie wychodzić. Mam z tobą spokój.

Wtem uświadomiła sobie przerażona, że będzie jednak musiała wyjść za niego za męża, żeby otrzymać jego nazwisko. Żeby Virgil mógł ją rozpoznać, w przyszłości, w ich czasach. Tak więc wszystko, co zrobiła, zdało się na nic.

Powoli wróciła do zaparkowanej taksówki.

– Proszę pani – zagadnął automat – czy mogłaby mi pani pomóc znaleźć paliwo?

– Tutaj nie znajdziesz paliwa – odparła Kathy. Uparta niechęć – czy też niezdolność – maszyny do zrozumienia sytuacji doprowadzała ją do szału. – Chyba że możesz latać na sześćdziesięciooktanowej benzynie, w co bardzo wątpię.

Jeden z przechodniów, mężczyzna w średnim wieku ze słomkowym kapeluszem na głowie, zastygł w pół kroku na widok autonomicznej taksówki, zawołał do Kathy:

– Hej, proszę pani, co to takiego? Tajna broń amerykańskiej marynarki do gier wojennych?

– Tak – odpowiedziała Kathy. – W dodatku później powstrzyma hitlerowców. – Kiedy wsiadała do taksówki, powiedziała do grupy ludzi, którzy w bezpiecznej odległości ostrożnie otoczyli pojazd: – Zapamiętajcie datę 7 grudnia 1941 roku, to będzie doniosły w skutkach dzień. – Zamknęła drzwi. – Ruszamy. Mogłabym tym ludziom tyle opowiedzieć... ale nie sądzę, żeby byli tego warci. Banda kmiotków ze Środkowego Zachodu. – Uznała, że ta miejscowość leży albo w Kansas, albo w Missouri, sądząc z wyglądu. Szczerze mówiąc, było tu obrzydliwie.

Taksówka posłusznie uniosła się w górę.

Staryjczycy powinni przyjrzeć się stanowi Kansas w 1935 roku, powiedziała sobie w duchu Kathy. Gdyby to zrobili, mogliby dać sobie spokój z podbojem Terry, mogliby uznać, że gra nie jest warta świeczki.

– Wyląduj na jakimś pastwisku – poleciła taksówce. – Posiedzimy tam, dopóki nie wrócimy do naszych czasów. – Na co prawdopodobnie nie powinni zbyt długo czekać, miała wrażenie, że świat tej epoki staje się coraz bardziej niematerialny – rzeczywistość za oknami taksówki nabrała eterycznej aury, którą znała z poprzedniego kontaktu z narkotykiem.

– Żartuje pani? – zdziwił się pojazd. – Czy to w ogóle możliwe, żebyśmy...

– Powrót do naszych czasów to żaden problem – przerwała mu cierpko Kathy. – Prawdziwy problem polega na tym, jak pozostać pod wpływem narkotyku na tyle długo, by można było dokonać czegoś istotnego. – Na razie po prostu nie starczało czasu.

– Jakiego narkotyku, proszę pani?

– Nie twój cholerny interes – powiedziała Kathy. – Ty wścibski, autonomiczny śmieciu z szeroko otwartymi, terkoczącymi i ciekawskimi obwodami. – Zapaliła papierosa i opadła znużona na fotel. Miała za sobą ciężki dzień i doskonale wiedziała, że będzie jeszcze gorzej.

Młodzieniec o żółtawej twarzy, który, co było dość dziwne, posiadał już okazały brzusek, jak gdyby jego ciało samo wyrывało się do bardziej upojnych rozkoszy tej politycznej i finansowej stolicy planety, podał Ericowi Sweetscentowi wilgotną dłoń i oznajmił:

– Nazywam się Don Festenburg, doktorze. Miło słyszeć, że pan z nami pracuje. Jednego na rozgrzewkę?

– Nie, dzięki – odparł Eric. W Festenburgu było coś, co mu się nie spodobało, ale czego nie potrafił określić. Pomimo tuszy i niezdrowej cery Festenburg wyglądał dość sympatycznie, a już z całą pewnością był fachowcem, w końcu to ostatnie liczyło się przede wszystkim. Ale... Eric pograżył się w myślach, obserwując, jak Festenburg przygotowuje sobie drinka. Może chodzi o to – doszedł do wniosku – że uważam, że nikt nie powinien pisać przemówień za sekretarza. Odnosiłbym się z niechęcią do każdego człowieka robiącego to, co Festenburg.

– Skoro jesteśmy sami – zaczął Festenburg, omiatając wzrokiem pomieszczenie – chciałbym zasugerować panu coś, dzięki czemu będzie pan mógł spojrzeć na mnie przychylniej. – Uśmiechnął się chytrze. – Wiem, co pan o mnie myśli, jestem wrażliwym człowiekiem, choć mam ciało pyknika. Załóżmy, że z powodzeniem wprowadzono w życie pewien fortel, na który nabrał się nawet pan. Ten ślamazarny, podstarzały, zupełnie zniechęcony i schorowany Gino Molinari, którego pan poznał i którego pan uważa za prawdziwego sekretarza ONZ... – Festenburg leniwie mieszał drinka, przyglądając się Ericowi – ...t o robantyczna imitacja. A ta krzepka, energiczna postać, którą oglądał pan przed chwilą na wideo, to prawdziwy człowiek. I ta maskarada musi koniecznie trwać, oczywiście po to, by zwieść nie kogo innego, jak naszych ukochanych sojuszników, Staryjczyków.

– Co takiego? – Zaskoczony Eric rozdziawił usta. – Dlaczego mielibyśmy...

– Staryjczycy uważają, że jesteśmy nieszkodliwi, niewarci zainteresowania ich sił zbrojnych, ale tylko dopóki nasz przywódca jest w oczywisty sposób słaby. Wyraźnie niezdolny do wypełniania swoich obowiązków – innymi słowy, nie jest dla nich żadnym rywalem, w niczym im nie zagraża.

Po chwili ciszy Eric oznajmił:

– Nie wierzę w to.

– Cóż – odparł Festenburg, wzruszając ramionami – to ciekawy pomysł z intelektualnego

punktu widzenia, z wieży z kości słoniowej. Nie zgodzi się pan ze mną? – Podeszedł wolno do Erica, obracając w palcach szklaneczkę. Stał tuż przy nim, zionął Ericowi w twarz niezdrowym oddechem i ciągnął dalej: – To jest możliwe. I dopóki rzeczywiście nie podda pan Gina szczegółowym badaniom, nie będzie pan znał prawdy, bo wszystkie akta, z którymi się pan zapoznał, mogły zostać sfalszowane. Aby podtrzymać świetnie wykoncypowane, grube oszustwo. – Oczy rozbłysły mu okrutną radością. – Uważa pan, że mówię od rzeczy? Że jedynie, niczym schizofrenik, igram dla czystej zabawy z myślami, nie zważając na ich prawdziwe znaczenie? Niewykluczone. Ale nie może pan dowieść, że to, co przed chwilą powiedziałem, to nieprawda, a dopóki tak będzie... – Wypił ogromny łyk, a potem porozumiewawczo mrugnął. – Proszę nie ubolewać nad tym, co widział pan na tej taśmie wideo. Zgoda?

– Ale jak sam pan mówi – zauważył Eric – dowiem się prawdy, gdy tylko będę miał okazję, żeby zbadać Molinariano. – Czyli, pomyślał, już wkrótce. – Dlatego proszę wybaczyć, ale chciałbym zakończyć tę rozmowę. Nie miałem dotąd czasu, aby urządzić się w mieszkadle.

– Pańska żona – jak ona ma na imię? Kathy? – nie przyjeżdża tu do pana, prawda? – Festenburg znów puścił do niego oko. – Może pan się zabawić. Ja mogę panu w tym pomóc. To moja działka: kraina bezprawia, dzikości i – powiedzmy – osobliwości. Zamiast anormalności. Ale pan przyjechał z Tijuany, więc raczej pana niczego nie nauczę. Eric odparł:

– Może mnie pan nauczyć nie tylko ubolewania nad tym, co widziałem na taśmie wideo, ale również... – Urwał. Życie prywatne Festenburga przecież nie powinno go obchodzić.

– Ale również ubolewania nad jej twórcą – dokończył za niego Festenburg. – Doktorze, czy wie pan, że w średniowieczu na dworach królewskich trzymano ludzi, którzy spędzali całe życie w butlach... oczywiście skurczeni, umieszczano ich tam, kiedy byli niemowlętami, pozwalano im rosnąć – to znaczy, do pewnego stopnia – tylko we wnętrzu butli. Czasy się zmieniły. Jednakże... Cheyenne jest współczesną siedzibą królów, można by tu panu pokazać parę niesamowitych rzeczy, gdyby był pan zainteresowany. Może z czysto medycznego punktu widzenia... takiego zawodowego, obiektywnego...

– Mam wrażenie, że to, co chce mi pan pokazać, sprawiłoby tylko, że byłbym mniej zadowolony ze swojej decyzji przyjazdu do Cheyenne – powiedział Eric. – Dlatego, szczerze mówiąc, nie potrafię w tym dostrzec żadnej korzyści.

– Chwileczkę – rzekł Festenburg, unosząc dłoń. – Jedna rzecz. Tylko ten jeden konkretny eksponat, w zapieczętowanym, hermetycznym pojemniku, zanurzony w roztworze, który może zakonserwować go *ad infinitum*, czy też, jak pewnie wolałby pan określić, *ad nauseam*. Mogę tam pana zabrać? Jest w pomieszczeniu, które my w Białym Domu nazywamy pokojem 3C. – Festenburg podeszedł do drzwi i otworzył je przed Erikiem.

Po chwili zastanowienia Eric ruszył za nim. Festenburg, z rękami w kieszeniach zmiętych, nie uprasowanych spodni, prowadził go licznymi korytarzami, aż znaleźli się w podziemiach,

a przed sobą zobaczyli dwóch wysokich rangą agentów służby bezpieczeństwa, stojących przed drzwiami ze zbrojonego metalu, opatrzonych napisem ŚCIŚLE TAJNE. NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY.

– Ja jestem upoważniony – oświadczył pogodnie Festenburg. – Gino powierzył mi nadzór nad tą norą, bezgranicznie mi ufa i dlatego będzie pan miał okazję zobaczyć tajemnicę państwową, do której normalnie za Chiny by pana nie dopuszczono. – Przeszedł obok agentów w mundurach, otworzył drzwi i dodał: – Jednak czeka też pana małe rozczarowanie, pokażę to panu, ale niczego nie wyjaśnię. Bardzo bym chciał wyjaśnić, ale... najzwyczajniej w świecie nie potrafię.

Na środku zimnego, mrocznego pomieszczenia Eric zobaczył duży przezroczysty pojemnik. Zgodnie ze słowami Festenburga był hermetycznie zamknięty, jakaś pulsująca głucho pompa utrzymywała to, co leżało w pojemniku, w krańcowo niskiej temperaturze.

– Niech pan spojrzy – polecił Festenburg.

Eric rozmyślnie poczekał, zapalił papierosa, wreszcie podszedł bliżej.

W pojemniku leżał na wznak Gino Molinari, z twarzą wykrzywioną ogromnym cierpieniem. Nie żył. Na jego szyi widać było krople zakrzepłej krwi. Miał podarty, ubrudzony błotem mundur. Obie ręce uniósł do góry, rozcapierzył palce, jak gdyby nawet teraz zmagał się z tym czymś – kimś – co go zabiło. Tak, pomyślał Eric, widzę dowód politycznego zamachu, oto zwłoki przywódcy, rozorane pociskami wystrzelonymi z bardzo dużą prędkością z jakiejś broni, ciało mężczyzny było poskręcane, niemal porozrywane na kawałki. Atak był gwałtowny. I udany.

– Cóż – zaczął po chwili Festenburg, zaczerpnąwszy tchu – istnienie tego obiektu – który lubię nazywać w myślach eksponatem numer jeden w cyrku osobliwości w Cheyenne – można wyjaśnić na kilka sposobów. Załóżmy, że to robant. Który czeka za kulisami na chwilę, kiedy Gino będzie go potrzebował. Skonstruowany przez Wytwórnę Uniwersalnych Robantów Usługowych, przez pomyslowego Dawsona Cuttera, którego musi pan koniecznie poznać.

– Dlaczego Molinari miałby go potrzebować?

– Z kilku powodów – odparł Festenburg, drapiąc się po nosie. – W wypadku próby zabójstwa – nieudanej próby – można by to pokazać, żeby odwrócić uwagę od ukrywającego się Gina. Albo... można to pokazać naszemu ufnemu sojusznikowi, być może Gino wykombinował sobie, że konieczny będzie jakiś niewiarygodnie skomplikowany, dziwaczny plan, coś związanego z jego zejściem z urzędu pod naciskiem sprzymierzeńców.

– Jest pan pewien, że to robant? – Według Erica to coś w pojemniku wyglądało na prawdziwe.

– Nawet nie wydaje mi się, że to robant, a co tu mówić o pewności. – Festenburg gwałtownie odwrócił głowę i Eric ujrzał, że do pomieszczenia weszli dwaj agenci, najwyraźniej nie będzie

mógł dokładniej przyjrzeć się zwłokom.

– Jak długo to tu leży?

– To wie tylko Gino, który nie ma zamiaru nic powiedzieć, tylko szelmowsko się uśmiecha. „Cierpliwości, Don – mówi tym swoim konspiracyjnym tonem. – Zrobię z tego bardzo dobry użytek”.

– Ale jeżeli to nie jest robant...

– To jest to Gino Molinari, rozerwany na strzępy kulami z karabinu maszynowego. Prymitywna, niemodna broń, ale z całą pewnością może zabić ofiarę, tak że nie pomogą nawet wszczępy. Widzi pan, że czaszka została podziurawiona – mózg uległ zniszczeniu. Jeżeli to Gino, to z jakiego czasu pochodzi i? Z przyszłości? Mam teorię, mającą związek z pańską firmą, Korporacją Futer i Barwników. Jedna z waszych filii wyprodukowała narkotyk, który umożliwia zażywającym go osobom swobodne przemieszczanie się w czasie. Wie pan o tym? – Uważnie przyjrzał się Ericowi.”

– Nie – przyznał Eric. Chyba jeszcze o tym nie słyszał.

– Tak czy owak, trup istnieje – powiedział Festenburg. – Leży tu przez cały czas i doprowadza mnie do szału. Niewykluczone, że wziął się z alternatywnej terażniejszości, w której Gino został zamordowany, zrzucony w ten brutalny sposób ze stołka przez jakąś marginalną frakcję Terran popieraną przez Lilistar. Ale ta teoria rozwija się w kolejne wątki, które naprawdę mnie niepokoją. – Festenburg mówił teraz ponurym głosem, nie był już w nastroju do żartów. – Implikuje nam coś o tym męskim, dziarskim Ginie Molinarim, który przemawiał na tej taśmie wideo, to także nie jest robant i nie wyprodukowała go żadna wytwórnia robantów, to prawdziwy Gino Molinari z alternatywnej terażniejszości. Tej, w której nie doszło do wojny, tej, w której Terra być może nawet nie wplątała się w sojusz z Lilistarem. Gino Molinari przeskoczył do bardziej pocieszającego świata i sprowadził stamtąd do pomocy swojego zdrowego sobowtóra. Co pan o tym myśli, doktorze? Czy to może być prawda?

Zbity z tropu Eric wybąkał:

– Gdybym wiedział coś o tym narkotyku...

– Myślałem, że pan wie. Zawiodłem się, przecież dlatego tu pana przyprowadziłem. Tak czy owak, logicznie rzecz biorąc, istnieje jeszcze jedna możliwość. Którą sugerują te zmasakrowane zwłoki. – Festenburg zawahał się. – Niechętnie o tym wspominał, bo ta teoria jest tak dziwna, że w porównaniu z nią błędną wszystkie inne.

– Śmiało – wykrztusił Eric.

– Gino Molinari nie istnieje. Eric jęknął. Dobry Boże, pomyślał. – Wszyscy oni są robantami. Ten zdrowy na taśmie wideo, ten zmęczony i chory, którego pan poznał, ten martwy w pojemniku – ktoś, być może Wytwórnia Uniwersalnych Robantów Usługowych, zmontował je, żeby uniemożliwić Staryjczykom podbój naszej planety. Jak dotąd wykorzystano tylko tego

chorego. – Festenburg wskazał dłonią sufit. – Teraz wyciągnęli z zanadru zdrowego i nakręcili z nim pierwsze wideo. Tych robantów może być więcej. Logicznie myśląc, dlaczego nie? Próbowałem sobie nawet wyobrazić, jak mogłyby wyglądać inne alternatywy. Może pan mi to powie. Co nam pozostaje, oprócz tych trzech robantów, które znamy? Eric odparł:

– Najwyraźniej pozostaje nam możliwość zbudowania robanta o siłach ponadnormalnych. Robanta nadnaturalnie zdrowego. – Nagle pomyślał o powrotach Molinariego do zdrowia po kolejnych śmiertelnych chorobach. – Ale być może on już istnieje. Przeglądał pan akta medyczne?

– Tak. – Festenburg kiwnął głową. – I jedna rzecz bardzo mnie zainteresowała. Żadne z badań nie było przeprowadzone przez osoby z jego obecnego personelu medycznego. Teagarden nie podpisał się pod żadnym z nich, badań dokonano przed jego przybyciem, a z tego, co wiem, nie udało mu się, podobnie jak panu, poddać Gina choćby najbardziej powierzchownym oględzinom. I nie sądzę, żeby kiedykolwiek mu się to udało. Ani panu, doktorze. Nawet jeżeli będzie tu pan przez całe lata.

– Z pewnością za dużo pan myśli – zauważył Eric.

– Nadczynność gruczołów?

– To nie ma żadnego związku ze sprawą. Ale nie ulega wątpliwości, że w pana głowie rodzi się mnóstwo doraźnych idei.

– Opartych na faktach – wskazał Festenburg. – Chcę wiedzieć, co knuje Gino. Moim zdaniem to piekielny spryciarz. Moim zdaniem mógłby nabić w butelkę Staryjczyków o każdej porze dnia i nocy, a gdyby miał do dyspozycji ich środki finansowe i zasoby ludności, z całą pewnością byłby panem sytuacji. Przy obecnym stanie rzeczy jest jednak przywódcą jednej sympatycznej planety, natomiast oni posiadają imperium złożone z dwunastu planet i ośmiu księżyców. Szczerze mówiąc, to cud, że był w stanie osiągnąć to, co osiągnął. Wie pan, doktorze, przybył pan tu, aby odkryć] dlaczego Gino jest chory. Uważam, że to żaden problem! Przecież jak na dłoni widać, dlaczego on choruje: przez tę całą cholerną sytuację. Prawdziwe pytanie brzmi: Dlaczego on wciąż żyje? Oto prawdziwa tajemnica. Istny cud.

– Chyba ma pan rację. – Eric z niechęcią musiał przyznać, że mimo odrażających cech Festenburg był inteligentny i jedyny w swoim rodzaju: zdołał prawidłowo określić problem. Nic dziwnego, że Molinari go zatrudnił.

– Poznał pan już tę smarkatą złośnicę?

– Mary Reineke? – Eric kiwnął głową.

– Jezus Maria, wplątaliśmy się w tę tragiczną, skomplikowaną kabałę, ten chory człowiek z trudem dźwiga na barkach brzemień świata, całą Terre, wie, że przegrywa wojnę, wie, że dopadną nas rigowie, jeżeli jakimś cudem nie uda się to Lilistarowi – a tu na dodatek gramoli mu się na plecy Mary. A żeby było jeszcze śmieszniej, ta Mary, naiwna sekutnica, egoistyczna,

wymagająca i obdarzona każdą inną wadą, jaka przychodzi do głowy – ona właśnie potrafi postawić go na nogi, widział pan, jak wyciąga go z łóżka, zakłada mu mundur i zmusza do działania. Słyszał pan o zen, doktorze? Oto paradoks zen, ponieważ z logicznego punktu widzenia Mary powinna być ostatnią kroplą, która przepełni czarę goryczy Gina. To zmusza do przemyślenia od nowa roli nieszczęścia w życiu ludzkim. Prawdę mówiąc, nie cierpię jej. I ona oczywiście też mnie nie cierpi. Łączy nas tylko Gino, oboje chcemy, żeby mu się udało.

– Czy widziała taśmę wideo ze zdrowym Molinarim? Festenburg szybko podniósł wzrok.

– Mądre pytanie. Czy Mary widziała tę taśmę? Tak, może albo nie – proszę wybrać jedną z tych odpowiedzi. Nic mi o tym nie wiadomo. Ale jeśli przyjmiemy, że moja teoria o alternatywnej rzeczywistości jest prawdziwa i że na tej taśmie nie przemawia robant, jeśli ten charyzmatyczny, zionący ogniem, waleczny półbóg jest człowiekiem i jeśli Mary go zobaczy – to możemy założyć, co następuje: inne wcielenia Molinariego znikną. Ponieważ Mary chce – domaga się – żeby Gino był dokładnie taki, jak na taśmie, którą pan widział.

Była to niezwykła myśl. Eric zastanawiał się, czy Gino jest świadomy tego aspektu sytuacji, jeżeli tak, to mogłoby wyjaśnić, dlaczego tak długo zwlekał z wprowadzeniem w życie tej taktyki.

– Ciekawe – odezwał się do Festenburga – jak chory, znany nam Gino mógłby być robantem – wobec istnienia Mary Reineke.

– To znaczy? Dlaczego nie?

– Ujmując rzecz delikatnie... czy Mary nie byłaby trochę zaniepokojona tym, że jest kochanką robanta?

– Zaczynam się męczyć, panie doktorze – powiedział Festenburg. – Skończmy już tę rozmowę – proszę już iść i rozgościć się w pańskim nowym mieszkadélku, które podarowano panu za lojalną służbę w Cheyenne. – Ruszył w stronę drzwi, dwaj wysocy rangą agenci odstąpili na bok.

Eric rzucił za nim:

– Powiem panu, co ja o tym myślę. Po poznaniu Gina Molinariego nie byłbym w stanie uwierzyć, że Wytwórnia mogłaby skonstruować coś tak ludzkiego i...

– Ale nie poznał pan jeszcze Molinariego z taśmy – powiedział spokojnie Festenburg. – To ciekawe, doktorze. Sprowadzając swoje odpowiedniki egzystujące w kalejdoskopie czasów, Molinari mógł zebrać zespół zdolny stawić czoło sprzymierzeńcom. Trzech lub czterech Molinarich, tworzących swoisty zarząd, to by było coś... nie zgodzi się pan? Proszę sobie wyobrazić ich połączoną pomysłowość, te beztrioskie, sprytnie, szalone intrygi, które mogliby wspólnie knuć. – Kiedy otworzył drzwi, dodał: – Poznał pan chorego Molinariego i widział zdrowego – nie zrobiło to na panu wrażenia?

– Zrobiło – przyznał Eric.

– Głosowałby pan teraz za tym, żeby go zrzucić z urzędu? A jednak kiedy próbujemy określić, co on aż tak imponującego naprawdę zrobił – nic nie przychodzi nam do głowy. Gdybyśmy wygrywali wojnę albo ograniczali inwestycje Lilistaru na naszej planecie... ale tak nie jest. Więc co konkretnego w postępowaniu Gina zrobiło na panu aż takie wrażenie? Proszę mi powiedzieć. – Czekał na odpowiedź.

– Chyba... chyba nic konkretnego. Ale...

W polu widzenia pojawił się pracownik Białego Domu, robant w mundurze, i podszedł do Erica Sweetscenta.

– Szuka pana sekretarz Molinari, doktorze. Czeka na pana w swoim gabinecie, proszę iść za mną.

– Ups – odezwał się Festenburg, zmartwiony i nagle nieco zdenerwowany. – Wygląda na to, że zająłem panu za dużo czasu.

Bez dalszej wymiany zdań Eric poszedł za robantem do windy. Miał wrażenie, że sprawa jest raczej pilna.

Molinari siedział w gabinecie na wózku inwalidzkim, z kocem na nogach i ze zszarzałą twarzą o zapadniętych policzkach.

– Gdzie byłeś? – spytał na widok Erica. – Zresztą nieważne, posłuchaj, doktorze: Staryjczycy zwołali konferencję i chcę, żebyś mi na niej towarzyszył. Chcę cały czas mieć cię pod ręką, na wszelki wypadek. Nie czuję się najlepiej i chętnie uniknąłbym tego cholernego zebrania albo chociaż przełożył je o kilka tygodni. Ale oni się upierają. – Ruszył wózkiem do drzwi. – Chodźmy. Zaraz się zacznie.

– Poznałem Dona Festenburga.

– Błyskotliwy skurczybyk, nie? Bezgranicznie wierzę, że przyniesie nam wiele dobrego. Co panu pokazał?

Nie wypadało powiedzieć Molinariemu, że przed chwilą Eric oglądał jego zwłoki, zwłaszcza że sekretarz właśnie powiedział, iż nie czuje się najlepiej. Zatem Eric stwierdził po prostu:

– Oprowadził mnie po budynku.

– Festenburg jest jego nadzorcą – bo darzę go całkowitym zaufaniem. – Za zakrętem korytarza przywitała Molinariego chmara stenografów, tłumaczy, przedstawicieli Departamentu Stanu oraz uzbrojonych strażników, wózek inwalidzki zniknął w ciżbie i już się z niej nie wyłonił. Jednak Eric wciąż słyszał głos Molinariego, wyjaśniającego, co ich czeka.

– Przyleciał Freneksy. Więc będzie ciężko. Domyślam się, czego chcą, ale poczekamy, zobaczymy. Lepiej nie uprzedzać wypadków, w ten sposób byśmy ich wyręczali i sami się torturowali.

Freneksy, pomyślał Eric z dreszczem przerażenia. Premier Lilistaru, we własnej osobie, tu na Ziemi. Nic dziwnego, że Molinari czuł się źle.

Delegaci Terry, którzy przybyli na zwołaną w trybie przyspieszonym konferencję, zajęli miejsca po jednej stronie długiego, dębowego stołu, teraz po przeciwnej stronie zasiadały w fotelach osobistości z Lilistaru, wynurzające się z bocznych korytarzy. Generalnie rzecz biorąc, Staryjczycy nie wydawali się groźni, w gruncie rzeczy wyglądali na przepracowanych i udręczonych, zupełnie pochłoniętych, podobnie jak Ziemianie, prowadzeniem wojny. Najwidoczniej nie mieli czasu do stracenia. Bez dwóch zdań byli istotami śmiertelnymi.

– Przekładem – oznajmił po angielsku jeden ze Staryjczyków – zajmą się ludzie, a nie maszyny, bo maszyny mogłyby zarejestrować nasze rozmowy, a to jest niezgodne z naszymi życzeniami.

Molinari jęknął i pokiwał głową.

Nagle pojawił się Frenekсы, Staryjczycy i kilku ziemskich delegatów wstało na znak szacunku, przybysze z Lilistaru klaskali, gdy łysy, szczupły mężczyzna o dziwnie zaokrąglonej czaszce zajął miejsce pośrodku stołu i bez zbędnych wstępów otworzył teczkę.

Ale te jego oczy... Eric zauważył – gdy Frenekсы podniósł na chwilę wzrok na Molinariego i uśmiechnął się na powitanie – że premier Lilistaru ma oczy, które Eric nazywał w myślach oczami paranoika – i jako takie rozpoznawał je w swojej praktyce. Gdy nauczył się je dostrzegać, reszta diagnozy przychodziła zazwyczaj z łatwością. Nie były to błyszczące, niespokojne, wytrzeszczone oczy wskazujące na zwykłą podejrzliwość, były to oczy nieruchome i przenikliwe, gromadzące wszystkie władze umysłowe i skupiające je w jedną totalną psychomotoryczną całość. Frenekсы nie robił tego świadomie, w gruncie rzeczy był bezradny, musiał patrzeć i na rodaków, i na nieprzyjaciół w ten właśnie sposób, z tą nieskończoną, ubezwłasnowolnioną wytrwałością. Ta koncentracja uwagi uniemożliwiała współczucie i zrozumienie, oczy nie odzwierciedlały żadnej rzeczywistości wewnętrznej, obserwator tylko się w nich przeglądał. Te oczy uniemożliwiały porozumienie, były barierą, której na tym świecie nie dałoby się przeniknąć.

Frenekсы nie był biurokratą i nie podporządkował się – nie mógłby tego zrobić, nawet gdyby próbował – wymogom swojego urzędu. Pozostał zwykłym człowiekiem, w złym tego słowa znaczeniu, wśród natłoku oficjalnych zajęć zachował w stanie czystym istotę swojej osobowości, jak gdyby według niego wszystko na świecie było rozmyślne i celowe – było walką ludzi, a nie abstrakcji czy ideałów.

Eric uświadomił sobie, że premier Frenekсы odziera wszystkich pozostałych z urzędowej świętości. Z uspokajającej rzeczywistości piastowanych przez nich stanowisk. Przy Frenekсым wszyscy czuli się jak nowo narodzone dzieci, byli odizolowani i zdani na siebie, nie mieli oparcia w instytucjach, które rzekomo reprezentowali.

Na przykład Molinari. Normalnie Mol był sekretarzem generalnym ONZ, jako jednostka – całkiem słusznie – stapał się ze swoją funkcją. Lecz przy Freneksym na powrót wyłaniał się z niego nagi, nieszczęśliwy, samotny człowiek – który musiał stanąć przed premierem w tak bezgranicznie żalosej postaci. Typowa względność istnienia, przeżywanie życia z innymi ludźmi w płynnym stanie bardziej lub mniej stosownego bezpieczeństwa, zniknęła.

Biedny Gino Molinari, pomyślał Eric. Bo przy Freneksym Mol mógł równie dobrze nie być sekretarzem ONZ.

A tymczasem premier Freneksy stał się nawet zimniejszy bardziej wyprany z życia, nie trawiła go żądza destrukcji czy dominacji: on tylko odbierał wszystko, co przeciwnik posiadał – i nie pozostawiał mu dosłownie nic.

Teraz Eric jasno sobie uświadomił, dlaczego Molinari wyzdrowiał z tyłu śmiertelnych chorób. Choroby te nie były jedynie objawami stresu, który go prześladował, one równocześnie likwidowały ten stres.

Eric nie potrafił jeszcze do końca zrozumieć, jak wykształcił się mechanizm, który uczynił z chorób formę reakcji na Freneksy'ego. Miał jedynie głębokie i wyraźne przeczucie, że niebawem go pozna. Konfrontacja Freneksy'ego z Molinarim odbędzie się lada chwila i jeśli Mol chce ją przetrwać będzie musiał zmobilizować wszystkie siły.

Siedzący obok Erica pomniejszy urzędnik Departamentu Stanu mruknął:

– Duszno tu prawda? Mogliby otworzyć jakieś okno albo włączyć klimatyzację.

Eric pomyślał, że żadna klimatyzacja nie oczyści tej atmosfery. Źródłem duchoty są ci, którzy siedzą po drugiej stronie stołu, i duchota nie zniknie, dopóki oni nie znikną – a może i nawet wtedy nie.

Molinari nachylił się ku Ericowi i polecił:

– Usiądź obok mnie. – Odsunął mu fotel. – Słuchaj, doktorze, masz przy sobie torbę ze swoim sprzętem?

– Została w mieszkadle.

Molinari natychmiast posłał po nią robanta. Oznajmił Ericowi:

– Masz ją zawsze mieć przy sobie. – Odchrząknął, po czym odwrócił się do Staryjczyków. – Panie premierze, chciałbym odczytać pewne, eee, oświadczenie. Podsumowuje ono obecne stanowisko Ziemi odnośnie do...

– Panie sekretarzu – odezwał się nagle po angielsku Freneksy – zanim zabierze się pan do odczytywania oświadczeń, chciałbym opisać bieżącą sytuację na Froncie A. – Freneksy wstał, jakiś adiutant od razu uruchomił projektor, który wyświetlił na ścianie mapę. Sala pogrążyła się w półmroku.

Molinari chrząknął i włożył oświadczenie z powrotem do kieszeni munduru, nie będzie miał okazji, aby je odczytać. Freneksy w oczywisty sposób go ubiegł. A dla stratega politycznego była

to poważna klęska. Jeżeli Molinari przejawiał wcześniej choć trochę inicjatywy, to teraz w ogóle ją utracił.

– Nasze połączone armie – oznajmił Freneksy – ze względów strategicznych skracają szyki. Rigowie wysyłają w ten rejon przesadnie dużą liczbę żołnierzy i materiałów. – Wskazał sektor mapy, leżący w połowie drogi między dwoma planetami układu Alfy Centauri. – Nie wytrzymają tak zbyt długo, przewiduję załamanie ich sił najpóźniej za jakiś miesiąc, według rachuby ziemskiej. Rigowie jeszcze nie rozumieją, że to będzie długa wojna. Uważają, że albo wygrają szybko, albo w ogóle. My jednak... – Freneksy zakreślił wskaźnikiem koło na mapie. – Jesteśmy dojrzałi i świadomi pełnego strategicznego znaczenia tej batalii, która musi zająć dużo czasu, jak i przestrzeni. Ponadto rigowie zbyt rozproszyli siły. Gdyby w tym punkcie – Freneksy wskazał to miejsce – doszło nagle do wielkiej bitwy, nie byłoby w stanie wesprzeć posiłkami zaangażowanych w nią wojsk. Co więcej, przed końcem terrańskiego roku wyślemy na pierwszą linię frontu dwadzieścia kolejnych dywizji, obiecuję to, panie sekretarzu. Możemy jeszcze powołać do służby kilka klas ziemskich obywateli, podczas gdy rigowie wyczerpali już swoje rezerwy. – Umilkł na chwilę.

– Czy przyniesiono już torbę, doktorze? – zaszemrał Molinari.

– Jeszcze nie – odparł Eric, rozglądając się za gońcem, robant dotąd nie wrócił.

Mol nachylił się do Erica i wyszeptał:

– Słuchaj. Wiesz, co się ostatnio ze mną dzieje? Słyszę głosy. Szumi mi w uszach. Szuu, szuu. Czy coś ci to przypomina?

Premier Freneksy ciągnął dalej:

– Mamy nowe rodzaje broni, wyprodukowane na Czwartej Planecie Imperium. Będzie pan zdumiony, panie sekretarzu, kiedy obejrzy pan filmy wideo, ukazujące tę broń podczas taktycznych operacji. Cechuje ją miażdżąca precyzja. Nie zamierzam teraz podawać szczegółów, wolałbym poczekać na gotowe taśmy wideo. Osobiście nadzorowałem konstrukcję i produkcję tej broni.

Molinari niemal przytknął głowę do głowy Erica i szepnął:

– A gdy przekręcę głowę z boku na bok, wyraźnie słyszę trzeszczenie w podstawie czaszki. Słyszysz? – Pokręcił głową, wolno i sztywno. – Co to takiego? Jeżeli o mnie chodzi, to jest to nieprzyjemne jak diabli.

Eric milczał, przyglądał się Freneksy'emu, nie zwracając specjalnej uwagi na szepty siedzącego obok mężczyzny.

– Panie sekretarzu – zaczął Freneksy i urwał na chwilę. – Proszę zwrócić uwagę na kolejny aspekt naszych wspólnych działań, uwieńczone powodzeniem użycie bomb. W znacznie ograniczyło rigijską produkcję napędów jądrowych. Jednostki, które ostatnio zeszły z ich taśm montażowych – jak informuje nas wywiad – zawodzą i na ich okrętach liniowych w kosmosie

doszło do pewnej liczby bardzo niebezpiecznych skażeń.

Do sali wkroczył robant z torbą Erica. Nie zwróciwszy na to uwagi, Freneksy ciągnął surowym i agresywnym tonem:

– Chciałbym również zaznaczyć, panie sekretarzu, że na Froncie Niebieskim brygady ziemskie nie spisały się najlepiej, niewątpliwie z powodu braku odpowiedniego sprzętu. Oczywiście nasze zwycięstwo jest nieuniknione... w przyszłości. Ale póki co nie wolno nam dopuścić do tego, żeby oddziały, które walczą bezpośrednio z rigami, pozbawione były niezbędnych materiałów. Zbrodnią jest pozwalanie ludziom na walkę w takich warunkach, nie zgodzi się pan ze mną, sekretarzu? – Nawet nie przerywając, Freneksy mówił dalej: – Dlatego sam pan widzi, jak pilne jest zwiększenie wydajności Terry w produkcji strategicznych materiałów i wszelkiego rodzaju broni.

Molinari dostrzegł torbę Erica z narzędziami i z ulgą kiwnął głową.

– Ma ją pan – powiedział. – Dobrze. Proszę trzymać ją w pogotowiu, na wszelki wypadek. Wie pan, skąd moim zdaniem mogą brać się te szумы? Z nadciśnienia.

– Możliwe – potwierdził ostrożnie Eric.

Premier Freneksy umilkł, jego pozbawiona wyrazu twarz stawała się coraz bardziej surowa, coraz bardziej wycofywała się w wewnętrzną próżnię, w nieistnienie, które sprawiało wrażenie podwaliny charakteru tego człowieka. Eric doszedł do wniosku, że Freneksy, rozdrażniony brakiem uwagi Molinariego, zaczął czerpać siły z tej studni antyegzystencji. Narzucał swoje zasady sali konferencyjnej i obecnym w niej ludziom, jak gdyby krok po kroku chciał ich siłą od siebie porozdzielać.

– Panie sekretarzu – powiedział znowu Freneksy – przejdźmy do najważniejszego zagadnienia. Generałowie z linii frontu mówią mi, że nowa ofensywna broń rigów, ich...

– Chwileczkę – zaskrzeczał Molinari. – Chciałbym naradzić się ze swoim współpracownikiem, tym obok. – Nachyliwszy się teraz tak blisko, że jego miękki, mokry od potu policzek dotknął szyi Erica, Molinari wyszeptał: – I wiesz, co jeszcze? Chyba mam jakieś kłopoty z oczami. Jak gdybym miał zaraz całkowicie oślepnąć. Bardzo cię proszę, doktorze, zmierz mi od razu ciśnienie. Aby się upewnić, że nie jest niebezpiecznie wysokie. Bo szczerze mówiąc, mam wrażenie, że jest.

Eric otworzył torbę z narzędziami. Freneksy powiedział przy mapie:

– Panie sekretarzu, na tę sprawę musimy zwrócić szczególną uwagę, zanim zajmemy się resztą. Oddziały Terran nie radzą sobie z nową homeostatyczną bombą rigów, dlatego chciałbym zwolnić półtora miliona robotników z moich fabryk i wcielić ich do wojska, zastąpiwszy ich w imperialnych zakładach pracy Terranami. Jest to dla was korzystne, panie sekretarzu, bo Terranie nie będą musieli walczyć i ginąć na froncie, tylko będą bezpiecznie spędzać czas w fabrykach Imperium. Jednak albo trzeba to zrobić niezwłocznie, albo w ogóle tego nie robić. –

Dodał: – Właśnie z tego powodu pragnąłem w trybie natychmiastowym zwołać konferencję na najwyższym szczeblu.

Eric odczytał na wskaźniku, że Molinari ma ciśnienie 290, co było poziomem nienormalnie wysokim i nie wróżącym najlepiej.

– Fatalne, prawda? – zapytał Molinari, podpierając głowę dłońmi. – Sprowadź tu Teagardena – polecił robantowi. – Chcę, żeby naradził się z doktorem Sweetscentem, powiedz mu, żeby był gotów na miejscu postawić diagnozę.

– Panie sekretarzu – oświadczył Freneksy – nie będziemy mogli przeprowadzić tej konferencji, jeśli w końcu nie zwróci pan uwagi na to, co mówię. Prosiłem o półtora miliona terrańskich mężczyzn i kobiet, którzy mogliby pracować w fabrykach Imperium – słyszał pan? Musi się pan natychmiast ustosunkować do tego kluczowego żądania, transport tych jednostek należy rozpocząć najpóźniej pod koniec tego tygodnia, waszego czasu.

– Hm – mruknął Molinari. – Tak, słyszałem, panie premierze, właśnie rozważam pańską propozycję.

– Nie ma co rozważać – warknął Freneksy. – Trzeba to zrobić, jeśli mamy utrzymać pozycje na Froncie C, gdzie rigowie atakują najbardziej zaciekle. W każdej chwili może dojść do przełamania frontu, a terrańskie brygady nie...

– Będę musiał naradzić się z moim sekretarzem pracy – oznajmił Molinari po długiej chwili ciszy. – Konieczna jest jego zgoda.

– Musimy dostać półtora miliona pańskich ludzi! Molinari sięgnął do kurtki i wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę papieru.

– Panie ministrze, to oświadczenie, które...

– Czy otrzymam od pana obietnicę? – nalegał Freneksy. – Żebyśmy od razu mogli się zająć innymi sprawami?

– Źle się czuję – powiedział Molinari. Zapadła cisza.

W końcu Freneksy powiedział, starannie dobierając słowa:

– Panie sekretarzu, zdaję sobie sprawę, że od lat podupada pan na zdrowiu. Dlatego pozwoliłem sobie przywieźć na tę konferencję lekarza z Imperium. Oto doktor Gornel. – Siedzący po drugiej stronie stołu Staryjczyk o pociągłej twarzy lekko skinął głową Molowi. – Chciałbym, żeby pana zbadał, co mogłoby umożliwić trwałą poprawę pańskiego stanu.

– Dziękuję, panie premierze – odparł Molinari. – Szczerze doceniam pańską uprzejmość i dziękuję za sprowadzenie doktora Gornela. Jest tu jednak ze mną mój osobisty lekarz, doktor Sweetscent, który wraz z doktorem Teagardenem dokona zaraz wstępnych badań, aby określić przyczynę mojego nadciśnienia.

– Zaraz? – zawołał Freneksy, po raz pierwszy okazując ślad jakichś prawdziwych uczuć. Zdumienia i wściekłości.

– Mam niebezpiecznie wysokie ciśnienie – wyjaśnił Molinari. – Jeśli nie opadnie, grozi mi utrata wzroku. W rzeczy samej już teraz gorzej widzę. – Ścisłym głosem zwrócił się do Erica: – Doktorze, wszystko wokół mnie ciemnieje, chyba już oślepiłem. Gdzie, do cholery, podziwia się Teagarden?

Eric powiedział:

– Sam mogę poszukać źródła nadciśnienia, panie sekretarzu. Mam przy sobie niezbędne narzędzia. – Raz jeszcze sięgnął do torby. – Na początek zrobię panu zastrzyk z radioaktywnych soli, które przeniosą się po pańskim krwiobiegu...

– Wiem – przerwał Molinari. – I zbióram w miejscu zwężenia naczyń. Proszę bardzo. – Podwinął rękaw i wyciągnął owłosioną rękę, Eric wbił samooczyszczającą się igłę strzykawki w żyłę przy łokciu i nacisnął tłoczek. Premier Freneksy zapytał surowo:

– Co się dzieje, panie sekretarzu? Czy nie możemy kontynuować konferencji?

– Ależ owszem, możemy. – Molinari kiwnął głową. – Doktor Sweetscent tylko robi badania, żeby...

– Sprawy medyczne mnie nudzą – wpadł mu w słowo Freneksy. – Panie sekretarzu, chciałbym przedstawić panu teraz jeszcze jedną propozycję. Po pierwsze, chciałbym, żeby mój lekarz, doktor Gornel, na stałe wszedł w skład pańskiej ekipy i kierował pańskim personelem medycznym. Po drugie, działający na Ziemi kontrwywiad Imperium poinformował mnie, że pewna grupa malkontentów, którzy nie życzą sobie dalszego udziału waszej planety w wojnie, planuje zamach na pana, dlatego, dla pana własnego bezpieczeństwa, pragnąłbym przydzielić panu stałą, uzbrojoną straż przyboczną, złożoną ze staryjskich komandosów, którzy – dzięki swej niezwyklej odwadze, poświęceniu i skuteczności – będą pana nieustannie chronili. Oddział liczy dwadzieścia pięć osób, to odpowiednia liczba przy ich znakomitym wyszkoleniu.

– Co? – zapytał Molinari i zadrżał. – Co odkryłeś, doktorze? – Wyglądał na zagubionego, jakby nie potrafił skupić uwagi jednocześnie i na Ericu, i na przebiegu konferencji. – Chwileczkę, panie premierze. – Szepnął do Erica: – Co, do diabła, odkryłeś, doktorze? Czy już może mi to przed chwilą powiedziałeś? Przepraszam. – Potarł czoło. – Nic nie widzę! – zawołał spanikowany. – Proszę coś zrobić, doktorze!

Eric, przyglądając się migotliwemu wykresowi, który ukazywał ruch radioaktywnych soli w układzie krwionośnym Molinariego, stwierdził:

– Wygląda na to, że doszło do zwężenia arterii, która przechodzi przez pańską prawą nerkę. Pierścień który...

– Wiem – rzekł Molinari, kiwając głową. – Wiedziałem, że zwężenie jest w prawej nerce, już to kiedyś miałem. Będziesz musiał mnie operować, doktorze, i przeciąć ten pierścień, bo on mnie zabije. – Był teraz zbyt słaby, aby podnieść głowę, opadł na stół, kryjąc twarz w dłoniach. – O Boże, czuję się koszmarne – wymamrotał. Nagle uniósł głowę i powiedział do Freneksy'ego:

– Panie premierze, muszę niezwłocznie poddać się operacji w celu usunięcia tego zwężenia tętnicy. Będziemy musieli przesunąć dyskusję na późniejszy termin. – Stał na nogi, zachwiał się i upadł z łoskotem, Eric i urzędnik z Departamentu Stanu chwycili go i posadzili z powrotem na fotelu. Mol zrobił się niewiarygodnie ciężki i bezwładny, Eric ledwo go podtrzymywał, nawet przy pomocy drugiego mężczyzny.

– Konferencja musi trwać dalej – oświadczył Freneksy.

– W porządku – westchnął Molinari. – Mnie będą operować, a wy będziecie rozmawiać. – Skinął słabo głową na Erica. – Nie czekaj na Teagardena, chłopie, zaczynaj.

– Tutaj? – zdziwił się Eric.

– Nie ma wyjścia – zaskomlał Molinari. – Przetnij ten pierścień, doktorze, bo będzie po mnie. Ja umieram... Wiem o tym. – Znowu opadł bezwładnie na stół. Ale tym razem nie udało mu się podnieść głowy, pozostał w tej pozycji. Jak jakiś wielki, porzucony worek.

Siedzący na drugim końcu stołu zastępca sekretarza generalnego ONZ, Rick Prindle, odezwał się do Erica:

– Do dzieła, panie doktorze. Jak sekretarz panu powiedział, sprawa jest pilna, sam pan to wie. – Najwyraźniej – podobnie jak inni tu obecni – był już świadkiem tego typu scen.

Freneksy zapytał:

– Panie sekretarzu, czy upoważni pan pana Prindle'a do zastępowania pana podczas ziemsko-staryjskich negocjacji?

Molinari nie udzielił odpowiedzi, stracił przytomność.

Eric wyjął z torby niewielki chirurgiczny układ homeostatyczny, który powinien wystarczyć do przeprowadzenia tak delikatnej operacji. Urządzenie, wywiercając sobie drogę i zasklepiając otwór za sobą, przebije najpierw warstwę skórną, a potem sieć, aż dotrze do zwężenia w nerce, gdzie, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, rozpocznie budowę plastikowego połączenia omijającego, to w tej chwili będzie bezpieczniejsze niż próby usunięcia pierścienia.

Otworzyły się drzwi, w których ukazał się doktor Teagarden, podbiegł do Erica, zobaczył nieprzytomnego Molinariego z głową na stole i zapytał:

– Jest pan gotowy do operacji?

– Mam sprzęt, tak, jestem gotowy...

– Oczywiście bez żadnego przeszczepu?

– Nie jest konieczny.

Teagarden chwycił Molinariego za nadgarstek i zmierzył mu tętno, następnie wyciągnął stetoskop, rozpiął mundur i koszulę sekretarza, posłuchał bicia jego serca.

– Słabe i nieregularne. Lepiej zmniejszmy temperaturę ciała.

– Zgoda – przytaknął Eric i wyjął z torby zestaw do chłodzenia.

Freneksy zbliżył się do nich i zapytał:

– Chcecie na czas operacji obniżyć mu temperaturę ciała?

– Tak, uśpiemy go – odparł Eric. – Przemiana materii...

– Nie chcę tego słuchać – oznajmił Freneksy. – Sprawy biologiczne mnie nie interesują. Obchodzi mnie tylko oczywisty fakt, że w chwili obecnej sekretarz nie jest w stanie brać dalszego udziału w tej dyskusji. Dyskusji, dla której przebyliśmy wiele lat świetlnych. – Na jego twarzy malowała się tępa, bezradna złość, której nie potrafił ukryć.

– Nie mamy wyjścia, panie premierze – odparł Eric. – Molinari umiera...

– Widzę – syknął Freneksy i odszedł, zaciskając pięści.

– Formalnie rzecz biorąc, jest martwy – orzekł Teagarden, wciąż nasłuchując akcji serca Molinariego natychmiast rozpocząć schładzanie, doktorze.

Eric szybko przymocował zestaw chłodzący do szyi Molinariego, uruchomił autonomiczny obwód sprężający, który zaczął wydzielać zimno, następnie wziął do ręki narzędzie chirurgiczne.

Premier Freneksy naradzał się tymczasem w swoim języku z lekarzem Imperium, nagle uniósł głowę i szorstko oświadczył:

– Chciałbym, żeby doktor Gornel asystował przy tej operacji.

– Nie możemy się na to zgodzić – odezwał się zastępca sekretarza Prindle. – Molinari wyraźnie zarządził, że z jego osobą mogą stykać się wyłącznie lekarze z jego zespołu, osobiście przez niego wybrani. – Skinął głową na Toma Johannsona i jego ekipę ochroniarzy, którzy zbliżyli się do Molinariego.

– Dlaczego? – zapytał Freneksy.

– Bo znają historię jego chorób – odparł sucho Prindle.

Freneksy wzruszył ramionami i odszedł kilka kroków, był teraz chyba jeszcze bardziej zbity z tropu, nawet oszołomiony.

– Nie mogę pojąć – powiedział głośno, obrócony plecami do stołu – jak do tego dopuszczono, jak sekretarz Molinari mógł aż do tego stopnia zaniedbać własne zdrowie.

Eric zapytał Teagardena:

– Czy to się już wcześniej zdarzyło?

– To znaczy, czy Molinari zmarł już podczas konferencji ze Staryjczykami? – Teagarden uśmiechnął się odruchowo. – Cztery razy. Tu, w tej sali, nawet dokładnie na tym samym krześle. Może pan uruchomić wiertło.

Eric uruchomił urządzenie, umieszczając je u dołu prawego boku sekretarza, przyrząd wielkości małej szklanej strzykawki natychmiast zabrał się do dzieła, najpierw zaaplikował silny miejscowy środek znieczulający, a potem zaczął wcinać się w ciało, przedzierając się do tętnicy nerkowej.

W pomieszczeniu rozlegał się teraz tylko warkot aparatu, wszyscy, nie wyłączając ministra Freneksy'ego, patrzyli, jak urządzenie znika z pola widzenia, tonąc w ociążonym, nieruchomym,

bezwładnym ciele Molinariego.

– Teagarden – odezwał się Eric. – Myślę, że trzeba... – Stanął z boku i zapalił papierosa. – Poszukać przypadku nadciśnienia, do którego doszło gdzieś w Białym Domu, kolejnego przypadku częściowo zablokowanej tętnicy nerkowej...

– Ib już się stało, przed chwilą. Pokojówka na drugim piętrze. Dziedziczna wada rozwojowa, jak to zazwyczaj bywa. Ale kryzys u tej kobiety nastąpił podczas ostatnich dwudziestu czterech godzin z powodu przedawkowania amfetaminy, zaczęła tracić wzrok, więc postanowiliśmy ją zoperować – tym się właśnie zajmowałem, kiedy mnie tu wezwano. Kończyłem operację.

– Czyli teraz pan już wie – powiedział Eric.

– Co niby wiem? – Teagarden mówił tak cicho, że jego głos nie docierał do Staryjczyków po drugiej stronie stołu. – Potem o tym porozmawiamy. Ale mogę pana zapewnić, że nic nie wiem. Podobnie jak pan.

Premier Freneksy zbliżył się do nich i zapytał:

– Kiedy Molinari będzie w stanie powrócić do naszych rozmów?

Eric i Teagarden wymienili spojrzenia.

– Trudno powiedzieć – oznajmił wreszcie Teagarden.

– Za kilka godzin? Dni? Tygodni? Ostatnim razem musieliśmy czekać dziesięć dni. – Twarz Freneksy'ego wykrzywiła się od bezsilnego gniewu. – Ja po prostu nie mogę pozostać tak długo na Ziemi, jeżeli będę musiał czekać dłużej niż siedemdziesiąt dwie godziny, przełożymy konferencję na inny termin w tym roku. – Za jego plecami jego konsultanci, doradcy wojskowi, przemysłowi i dyplomatyczni, już wkładali papiery z powrotem do teczek, dając za wygraną.

Eric oświadczył:

– Najprawdopodobniej nie wróci do sił po dwóch dniach, bo tyle trwa standardowa rekonwalescencja w podobnych przypadkach, jego ogólny stan jest zbyt...

Odwracając się do Prindle'a, premier Freneksy zapytał:

– A pan odmawia zajęcia jego miejsca, choć jest pan jego zastępcą? Obrzydliwa sytuacja! Nietrudno pojąć, dlaczego Terra... – Urwał. – Sekretarz Molinari jest moim bliskim przyjacielem – zaczął znowu. – Bardzo martwi mnie jego stan. Ale dlaczego Lilistar musi niemal sam ponosić ciężar tej wojny? Dlaczego Terra bez przerwy wlecze się za nami?

Nie doczekał się odpowiedzi ani od Prindle'a, ani od obydwu lekarzy.

Freneksy odezwał się w staryjskim języku do swojej delegacji, której członkowie powstali jak jeden mąż, najwyraźniej zbierając się do odejścia.

Konferencja została odwołana z powodu nagłej, niemal zabójczej choroby Molinariego. Przynajmniej na razie. Eric poczuł bezbrzeżną ulgę.

Dzięki chorobie Molinariemu udało się uciec. Ale tylko na pewien czas.

Mimo wszystko to było coś. To wystarczyło. Półtora miliona Terran, których Lilistar zażądał

do swoich fabryk, nie zostanie zapędzonych jak... Eric zerknął na Teagardena, wymienił z nim przelotne spojrzenie, wyrażające zrozumienie i zgodę. Tymczasem wiertło nadał pracowało, bez niczyjej pomocy, wciąż brzęcząc.

Psychosomatyczna, urojona dolegliwość ocaliła życie naprawdę wielu ludziom i już skłoniła Erica do ponownego zastanowienia się nad wartością medycyny, nad skutkiem ewentualnego „wyleczenia” Molinariego.

Gdy tak słuchał warkotu wiertła, miał wrażenie, że zaczyna już rozumieć całą sytuację – i to, czego naprawdę chce od niego chory sekretarz ONZ, oparty o stół konferencyjny, nie słyszający i nie widzący, przebywający w świetle, w którym nie istniał problem dyskusowania z premierem Freneksym.

Jakiś czas później Gino Molinari siedział wsparty na poduszkach w swojej dobrze strzeżonej sypialni i z trudem przeglądał homeogazetę „New York Times”, którą mu dostarczono.

– Mogę czytać, prawda, doktorze? – wymamrotał słabym głosem.

– Chyba tak – odparł Eric. – Operacja zakończyła się powodzeniem, wysokie ciśnienie krwi opadło do normalnego poziomu, odpowiadającego wiekowi i ogólnemu stanowi zdrowia pacjenta.

– Spójrz tylko, czego potrafia dogrzebać się te cholerne gazety. – Molinari pokazał Ericowi pierwszą stronę.

KONFERENCJA NIESPODZIEWANIE ODWOŁANA Z POWODU CHOROBY SEKRETARZA.

STARYJSKA DELEGACJA Z FRENEKSYM NA CZELE WYCOFUJE SIĘ.

– Skąd oni wiedzą takie rzeczy? – jęknął zirytowany Molinari. – Boże, to mnie stawia w złym świetle, wygląda na to, że w decydującej chwili rozsypałem się. – Popatrzył z wściekłością na Erica. – Gdybym miał jaja, stawilibym czoło Freneksy’emu i jego żądaniu dostarczenia siły roboczej. – Zmęczony zamknął oczy. – Wiedziałem, że tego zażąda. Wiedziałem to już w zeszłym tygodniu.

– Proszę siebie nie winić – pocieszył go Eric. Na ile Molinari rozumiał ten fizjologiczny mechanizm ucieczki? Najwidoczniej ani trochę, Molinari nie tylko nie pojmował celu swojej choroby – on jej nawet nie aprobował. Więc tak to w dalszym ciągu funkcjonowało na nieświadomym poziomie.

Ale ile czasu to może trwać? – pomyślał Eric. Przy takim ogromnym rozziwie między świadomymi dążeniami a nieświadomą wolą ucieczki... niewykluczone, że w końcu pojawi się choroba, z której sekretarz już nie wyjdzie, będzie nie tylko zabójcza, będzie ostateczna.

Otworzyły się drzwi, stanęła w nich Mary Reineke.

Eric wziął ją za ramię i wyprowadził na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

– Nie mogę się z nim zobaczyć? – zawołała oburzona.

– Jedną chwilkę. – Przyjrzał się jej badawczo, wciąż nie mogąc stwierdzić, do jakiego stopnia Mary rozumie całą sytuację. – Chcę panią o coś zapytać. Wie pani może, czy Molinari poddał się kiedyś jakiejś terapii czy analizie psychiatrycznej? – W aktach nie było o tym ani słowa, ale Eric przeczuwał, że doszło do czegoś takiego.

– Dlaczego miałby to zrobić? – Mary bawiła się suwakiem koszuli. – Przecież nie jest wariatem.

Niewątpliwie miała rację, Eric pokiwał głową.

– Ale jego fizyczny...

– Gino ma pecha. Dlatego zawsze choruje. Sam pan wie, że z pecha nie wyleczy go żaden psychiatra. – Po czym Mary Reineke dodała z niechęcią: – Tak, w zeszłym roku był kilka razy u analityka. Ale to ściśle tajne, gdyby homeogazety to wywęszyły...

– Poproszę o nazwisko tego analityka.

– Nic z tego. – W jej ciemnych oczach pojawił się triumfalny błysk wrogości, patrzyła na niego, nie mrugając powiekami. – Nie powiem tego nawet Teagardenowi, a jego lubię.

– Miałem okazję obejrzeć chorobę Gina w akcji i myślę, że...

– Ten analityk – przerwała mu Mary – nie żyje. Gino kazał go zabić.

Eric wytrzeszczył na nią oczy.

– Proszę zgadnąć dlaczego. – Uśmiechnęła się z bezinteresowną złośliwością nastolatki, z bezcelowym, pełnym radości okrucieństwem, które w mgnieniu oka przywiodło mu na myślenie jego własne dzieciństwo. I tortury, jakim poddawały go wtedy takie dziewczyny. – Za to, co ten psychiatra powiedział. O chorobie Gina. Nie wiem, co to było, ale przypuszczam, że był na właściwym tropie... tak jak pan, wedle pańskiej opinii. Czy zatem naprawdę ma pan ochotę błyskać inteligencją?

– Przypomina mi pani – orzekł Eric – premiera Freneksy'ego.

Mary przepchnęła się obok niego do drzwi sypialni Gina.

– Chcę tam wejść, żegnam.

– Wiedziała pani, że Gino zmarł dzisiaj na sali konferencyjnej?

– Tak, musiał to zrobić, oczywiście tylko na parę chwil, nie na tyle długo, żeby zniszczyć sobie komórki mózgowie. I oczywiście natychmiast go z Teagardenem schłodziliście, o tym też wiem. Dlaczego przypominam panu Freneksy'ego, tego gliździelca? – Podeszła z powrotem do Erica, intensywnie mu się przypatrując. – Jestem zupełnie inna niż on. Próbuje mnie pan zranić, żebym coś panu powiedziała.

– A co takiego, według pani, chcę od pani usłyszeć? – spytał Eric.

– Coś o skłonnościach samobójczych Gina – oznajmiła Mary rzeczowo. – Wszyscy wiedzą, że je ma. To dlatego sprowadzili mnie tu jego krewni, żeby mieć pewność, że ktoś będzie spędzał z nim wszystkie noce, w każdej godzinie przytulając się do niego w łóżku albo patrząc, jak

chodzi po pokoju, kiedy nie może spać. On w nocy nie może być sam, musi mieć kogoś takiego jak ja, żeby móc z kimś porozmawiać. A ja potrafię przemówić mu do rozsądku – rozumie pan, potrafię pocieszyć go o czwartej nad ranem. Nie jest to łatwe, ale mi się udaje. – Uśmiechnęła się. – Wie pan? A czy pan, doktorze, ma kogoś, kto pociesza pana? O czwartej nad ranem?

Eric potrząsnął przecząco głową.

– Wstyd. Dobrze by to panu zrobiło. Szkoda, że i panem nie mogę się zająć, ale jeden to aż nadto. Zresztą nie jest pan w moim typie. Ale życzę powodzenia – może kiedyś znajdzie pan kogoś takiego jak ja.

Otworzyła drzwi i zniknęła za nimi. Eric stał sam na korytarzu. Poczul się bezsilny. I – nagle i niespodziewanie – strasznie samotny.

Ciekawe, co stało się z notatkami psychiatrii? – pomyślał mechanicznie, skupiając się ponownie na pracy. Gino kazał je niewątpliwie zniszczyć, żeby nie wpadły w ręce Staryjczyków.

Ib prawda, pomyślał. O czwartej nad ranem bywa najgorzej. Ale na świecie nie ma drugiej takiej jak ty, Mary. W tym sęk.

– Doktor Sweetscent?

Uniósł głowę. Stał przy nim agent z ochrony.

– Tak.

– Panie doktorze, na zewnątrz czeka kobieta, która twierdzi, że jest pańską żoną, chce, żeby wpuszczono ją do budynku.

– Niemożliwe – bąknął przerażony Eric.

– Czy zechce pan pójść ze mną i ją zidentyfikować? Odruchowo stanął obok agenta.

– Niech pan jej powie, żeby stąd odeszła – oznajmił. Nie, pomyślał, tak nie można, nie wypada rozwiązywać problemów w taki sposób, po dziecinnemu machając czarodziejską różdżką. – To bez wątplenia Kathy – stwierdził. – Jednak za mną przyjechała. Na litość boską – co za pech. Czy pan też kiedyś był w podobnej sytuacji? – zapytał agenta. – Nie był pan w stanie żyć z kimś, z kim żyć pan musiał?

– Nie – odparł obojętnie agent, idąc korytarzem.

Kathy stała w rogu ogrodzonego terenu, który stanowił część recepcji Białego Domu, i czytała homeogazetę, „New York Timesa”, miała ciemny płaszcz i obfity makijaż. Jej skóra była jednak blada, oczy wydawały się ogromne, nabrzmiące bólem.

Gdy Eric wkroczył na podwórze, Kathy podniosła na niego wzrok i powiedziała:

– Właśnie czytam o tobie, wygląda na to, że operowałeś Molinarię i uratowałeś mu życie. Gratulacje. – Uśmiechnęła się, ale był to uśmiech blady i niepewny. – Zabierz mnie gdzieś na filiżankę kawy, mam ci dużo do powiedzenia.

– Nie masz mi nic do powiedzenia – odparł, nie potrafiąc ukryć pobrzmiewającej w jego głosie konsternacji.

– Po twoim odejściu uzmysłowiłam sobie jedną ważną rzecz – ciągnęła Kathy.

– Ja też. Mianowicie, że dobrze zrobiliśmy, rozstając się.

– To dziwne, bo ja doszłam do dokładnie przeciwnego wniosku.

– Co widać na załączonym obrazku. Przyjechałaś tutaj. Słuchaj: wedle prawa nie muszę z tobą żyć. Wymaga się ode mnie tylko...

– Powinieneś wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia – oznajmiła niewzruszona Kathy. – Nie byłoby właściwe pod względem moralnym, gdybyś tak po prostu odszedł, to zbyt łatwe.

Westchnął. Oto filozofia przydatna do osiągnięcia zamierzonych celów. Ale tak czy owak, wpadł już w pułapkę.

– Zgoda – potwierdził. – Nie mógłbym tego zrobić, tak samo jak nie mogłem z czystym sumieniem zaprzeczyć, że jesteś moją żoną. Więc chodźmy na kawę. – Poczul, że dopadło go przeznaczenie. Być może była to łagodniejsza forma jego chęci autodestrukcji. Tak czy owak, poddał się, wziął ją pod rękę i poprowadził korytarzem, obok strażników, do najbliższej kawiarni w Białym Domu.

– Nie najlepiej wyglądasz – stwierdził. – Ta cera. I jesteś taka spięta.

– Od twojego wyjazdu źle mi się wiodło – przyznała. – Chyba naprawdę jestem od ciebie uzależniona.

– Symbioza – podsumował. – Bardzo niezdrowa.

– Wcale nie!

– Ależ tak. Dowód widać jak na dłoni. Nie, nie mam zamiaru wrócić z tobą do dawnych układów. – Był – przynajmniej w tej chwili – tego pewny, gotów był walczyć o swoje. Przyjrząwszy się jej, dorzucił: – Kathy, wyglądasz, jakbyś była na coś chora.

– To dlatego, że kręcisz się przy Molu, zaczynasz przyzwyczajając się do chorego otoczenia. Czuję się dobrze, jestem tylko trochę zmęczona.

Ale wyraźnie... zmalęła. Jakby się skurczyła, jakby coś w niej wyszło. Zupełnie jak ze...

starości. Ale nie do końca. Czy separacja mogła aż tak nią wstrząsnąć? Eric w to wątpił. Jego żona od czasu ostatniego spotkania bardzo zmarniała i to mu się nie spodobało, mimo swojej niechęci do niej przejął się tym.

– Lepiej zrób sobie multifazę – podsunął. – Badanie ogólne.

– Chryste – zachnęła się Kathy. – Jestem zdrowa. To znaczy, będę zdrowa, jeżeli uda się nam załagodzić nieporozumienie i...

– Koniec związku – rzekł Eric – to nie nieporozumienie.

Ib reorganizacja życia. – Odebrał dwie filiżanki kawy z podajnika i zapłacił robantowi przy kasie.

Gdy usiedli przy stoliku, Kathy zapaliła papierosa i zaczęła:

– Dobra, więc to wreszcie przyznam, bez ciebie zupełnie się sypię. Czy cię to nie obchodzi?

– Obchodzi, ale to wcale nie znaczy...

– Spokojnie pozwoliłbyś mi zmarnieć i zginąć.!

– Mam pacjenta, który zajmuje cały mój czas i uwagę. Nie mogę równocześnie leczyć ciebie.

– Zwłaszcza, że naprawdę nie chcę, dokończył w myślach.

– Ale musisz tylko... – Westchnęła, z ponurym wyrazem twarzy napiła się kawy, Eric spostrzegł, że drży jej dłoń, niemal jak przy chorobie Parkinsona. – Dobra, już nic. Zgódź się tylko na mój powrót. Wtedy poczuję się lepiej.

– Nie – odparł Eric. – Szczerze mówiąc, nie wierzę w to. Nie z tego wzięła się twoja choroba, musi być jakaś inna, poważniejsza przyczyna. – Nie przez przypadek zostałem lekarzem, pomyślał. Potrafię z miejsca rozpoznać objawy postępującej choroby. Ale na razie nie umiał postawić diagnozy. – Myślę, że wiesz, co ci jest – oznajmił bez ogródek. – Mogłabyś mi to powiedzieć, gdybyś chciała. Dlatego muszę być teraz ostrożniejszy niż kiedykolwiek, nie mówisz mi wszystkiego, co powinnaś, nie jesteś uczciwa ani odpowiedzialna, a bez tego daleko nie...

– W porządku! – Kathy utkwiała w nim wzrok. – Jestem chora, przyznaję! Ale powiedzmy, że to moja prywatna sprawa, nie musisz się tym przejmować.

– Moim zdaniem – powiedział Eric – doszło do urazów neurologicznych.

Poderwała głowę, resztką krwi odpłynęła z jej twarzy.

– I wydaje mi się – dodał nagle Eric – że zrobię coś, co tak naprawdę może okazać się krokiem przedwczesnym i zbyt drastycznym, ale spróbuję i przekonam się, co z tego wyjdzie. Każę cię aresztować.

– Dobry Boże, dlaczego? – Ogarnięta paniką, spojrzała na niego, zaniemówiła, uniosła ręce w geście obrony, a potem opuściła.

Eric wstał i podszedł do pracowniczki kawiarni.

– Proszę pani – odezwał się – czy mogłaby pani poprosić do mojego stolika agenta ochrony?

– Wskazał na stolik.

– Tak, proszę pana – odparła kobieta, mrugając, lecz nie okazując niepokoju. Odwróciła się do chłopca na posyłki, który bez dalszych dyskusji pognął do kuchni.

Eric wrócił do stolika i usiadł naprzeciwko Kathy. Znowu zabrał się za kawę, usiłując zachować spokój i jednocześnie szykując się na czekającą go scenę.

– Rozsądek podpowiada mi – podjął – że to dla twojego własnego dobra. Oczywiście nie jestem tego jeszcze pewien. Ale sądzę, że na to wyjdzie. I że ty o tym wiesz.

Pobladała, skurczona ze strachu Kathy powiedziała błagalnie:

– Eric, ja wyjadę, wrócę do San Diego... dobrze?

– Nie – odparł Eric. – Wplątałaś się w to, przyjeżdżając tutaj, teraz to także moja sprawa. Więc będziesz musiała, jak to się mówi, ponieść konsekwencje. – Uważał, że jest całkowicie rozsądny i opanowany, sytuacja nie wyglądała dobrze, ale czuł, że już lada chwila może się wydarzyć coś jeszcze gorszego.

– W porządku, Eric – powiedziała chrapliwie Kathy. – Powiem ci prawdę. Uzależniłam się od JJ-180. To ten narkotyk, o którym ci opowiadałam, narkotyk, który wszyscy, z Marmem Hastingsem włącznie, wzięliśmy. Teraz już wiesz. Nie mam nic więcej do powiedzenia, to wszystko wyjaśnia. Od tego czasu brałam go tylko raz. Ale nawet jedna dawka wywołuje uzależnienie. O czym niewątpliwie wiesz, jakby nie było, jesteś lekarzem.

– Kto jeszcze to wie?

– Jonas Ackerman.

– Zdobyłaś go w Korporacji Futer i Barwników? W naszej filii?

– T-tak. – Nie patrzyła mu w oczy. Dorzuciła: – To dlatego Jonas o tym wie, zdobył go dla mnie – ale błagam, nikomu tego nie mów.

– Dobrze – przyrzekł Eric. Dzięki Bogu, jego umysł znowu zaczął pracować normalnie. Czy to o tym narkotyku niejasno napomykał Don Festenburg? Nazwa JJ-180 wzbudziła w nim uśpione wspomnienia, spróbował je uporządkować. – Z tego, co pamiętam o frohadedrynie, bo tak również to nazywają – powiedział – wnioskuje, że popełniłaś cholerny błąd. Tak, wytwarza ją Hazeltine.

Przy stoliku stanął agent ochrony.

– Tak, panie doktorze? – zapytał.

– Chciałem pana tylko poinformować, że ta kobieta to moja żona, zgodnie z jej słowami. Chciałbym, aby otrzymała pozwolenie na pozostanie tutaj ze mną.

– Jasne, panie doktorze. Poddamy ją standardowej sondzie bezpieczeństwa, ale jestem przekonany, że wszystko będzie w porządku. – Agent kiwnął głową i oddalił się.

– Dzięki – odezwała się Kathy.

– Uzależnienie od takiej toksycznej substancji uważam za poważną chorobę – oznajmił Eric.

– W obecnych czasach gorszą niż rak czy rozległy zawał serca. Naturalnie nie mogę zostawić cię

na lodzie. Najprawdopodobniej będziesz musiała pójść do szpitala, zdajesz sobie zapewne z tego sprawę. Skontaktuję się z Hazeltine'em i dowiem się wszystkiego, co wiedzą... ale musisz liczyć się z tym, że twoje położenie może się okazać beznadziejne.

– Tak jest. – Nerwowo pochyliła głowę.

– Tak czy owak, jesteś ogromnie odważna. – Wyciągnął do niej rękę i chwycił jej dłoń, była sucha i zimna. Wyprana z życia. Puścił ją. – To jedno zawsze w tobie podziwiałem – nie jesteś tchórzem. Oczywiście właśnie dlatego wpakowałaś się w tę kabałę, byłaś na tyle odważna, że wypróbowałaś nowy środek. Cóż, więc znowu jesteśmy razem. – Sklejeni ze sobą przez twój byc może zabójczy nałóg, pomyślał z rozpaczą. Co za powód do przerwania separacji. Tego było już dla niego za wiele.

– Ty też jesteś twardy – zauważyła Kathy.

– Masz jeszcze trochę tych prochów? Zawahała się.

– N-nie.

– Kłamiesz.

– Nie oddam ci ich. Prędzej opuściłabym cię i spróbowałabym poradzić sobie sama. – Jej strach w ułamku sekundy zmienił się w stanowczy bunt. – Słuchaj, skoro jestem uzależniona od JJ-180, to nie mogę oddać ci zapasów, które mam – na tym właśnie polega nałóg! Nie chcę tego już brać, ale muszę. Zresztą, nie mam tego dużo. – Wzdrygnęła się. – Wolałabym już nie żyć, bez dwóch zdań. Dobry Boże, sama nie wiem, jak mogłam się w to wplątać!

– Co czuje człowiek po zażyciu? Jak rozumiem, dzieje się coś z czasem.

– Tak, tracisz stały punkt odniesienia, bez trudu poruszasz się w czasie. Najbardziej chciałabym się przysłużyć komuś lub czemuś, jakoś wykorzystać okres, w który się przenoszę. Czy przydałabym się sekretarzowi? Eric, może zdołałabym wyciągnąć nas z wojny, mogłabym przestrzec Molinariego przed podpisaniem Paktu Pokojowego. – Jej oczy rozjaśniła nadzieja. – Czy nie warto byłoby spróbować?

– Możliwe. – Przypomniały mu się jednak rozważania Festenburga, niewykluczone, że Molinari już zaczął korzystać z JJ-180. Mol najwyraźniej nie próbował – albo nie był w stanie, odnaleźć drogi do czasów sprzed Paktu. Być może narkotyk działa na każdego człowieka inaczej. Podobnie jak wiele pobudzających, halucynogennych narkotyków.

– Czy mogłabym się z nim skontaktować za twoim pośrednictwem? – zapytała Kathy.

– Chyba... tak. – Ale coś w głębi ducha obudziło w nim nieufność. – Trochę to potrwa. W tej chwili Mol przechodzi rekonwalescencję po operacji nerek, jak, zdaje się, wiesz. Nagle potrząsnęła głową, krzywiąc się z bólu.

– Jezus Maria, okropnie się czuję. Jakbym nie miała tego przeżyć. No wiesz... mam przecucie, że zbliża się katastrofa. Daj mi jakiś środek uspokajający, może trochę mi pomoże. – Wyciągnęła rękę i Eric znów zauważył, że jej dłoń strasznie się trzęsie. Chyba jeszcze bardziej

niz przedtem.

– Umieszczę cię w rządowym szpitalu – zdecydował, wstając. – Na razie, zanim czegoś nie wymyślę. Wolałbym jednak nie podawać ci żadnych leków, bo to mogłoby spotęgować działanie narkotyku. Z nowymi środkami nigdy nic nie...

– Wiesz, co zrobiłam, Eric, kiedy poszedłeś wezwać ochronę? – przerwała mu Kathy. – Wrzuciłam ci do kawy kapsułkę JJ-180. Nie śmieć się, mówię poważnie. To prawda, wypiliśmy ją. Więc jesteś teraz uzależniony. Lada chwila narkotyki zaczną działać, lepiej wyjdź z tej kawiarni i idź do mieszkania, bo skutki są potworne. – Głos miała monotony i bezbarwny. – Zrobiłam to, bo myślałam, że każesz mnie aresztować, tak mi powiedziałeś, a ja ci uwierzyłam. Więc to twoja wina. Przykro mi... Żałuję, że to zrobiłam, ale teraz masz już powód, żeby mnie wyleczyć. Musisz znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie mogłam polegać tylko i wyłącznie na twojej dobrej woli, zbyt dużo złego między nami zaszło. Nie mam racji?

Eric zdołał wykrztusić:

– Słyszałem, że tak to już jest z narkomanami, lubią wciągać w nałóg innych ludzi.

– Wybaczysz mi? – zapytała Kathy, również wstając.

– Nie – odparł. Był wściekły, kręciło mu się w głowie. Nie tylko ci nie wybaczę, pomyślał, ale zrobię wszystko, żeby cię nie wyleczono, jedynym celem mojego życia stanie się teraz zemsta. Nawet bardziej niż mój własny powrót do zdrowia. Darzył Kathy czystą, absolutną nienawiścią, tak, takie postępowanie było dla niej typowe, taka była jego żona. Dlatego właśnie próbował od niej uciec.

– Razem w tym tkwimy – stwierdziła Kathy.

Tak spokojnie, jak to tylko było możliwe, Eric poszedł w kierunku wyjścia, krok za krokiem, mijając stoły i ludzi. Zostawił ją.

Prawie mu się udało. Prawie.

Wszystko powróciło. Ale zupełnie inne. Nowe. Odmienione.

Siedzący naprzeciw Erica Don Festenburg rozparł się wygodnie i oznajmił:

– Miałeś szczęście. Ale lepiej to wyjaśnię. Popatrz na ten kalendarz. – Pchnął jakiś mosiężny przedmiot. Po biurku, jak zauważył Eric. – Przesunąłeś się w czasie trochę ponad rok do przodu. – Eric wybałuszył oczy. Ledwie widział. Ozdobne napisy. – Mamy 17 czerwca 2056 roku. Jesteś jednym z nielicznych szczęśliwców, na których narkotyki tak właśnie działają. Większość wędruje w przeszłość i wplątuje się w tworzenie światów alternatywnych, wiesz, bawią się w Boga, dopóki nie zniszczą sobie wreszcie układu nerwowego i nie są zdolni do niczego poza przypadkowymi drgawkami.

Eric zastanawiał się nad czymś mądrym, co mógłby powiedzieć. Bez skutku.

– Nie męcz się – rzucił Festenburg, widząc jego wysiłki. – Ja będę mówił, będziesz tu zaledwie kilka minut, więc muszę się streszczać. Rok temu, kiedy dostałeś w kawiarni JJ-180,

miałem to szczęście, że byłem świadkiem całego zamieszania, twoja żona wpadła w histerię, a ty oczywiście zniknąłeś. Przyskrzynili ją agenci ochrony, przyznała się do nałogu i tego, co zrobiła.

– Och. – Pomieszczenie opadło i uniosło się, gdy Eric odruchowo kiwnął głową.

– Czyli... czujesz się lepiej? Nieważne, Kathy jest już wyleczona, ale nie będziemy o tym mówić, to nie ma większego znaczenia., – A co z...

– Tak, z twoim problemem. Twoim nałogiem. Wtedy, rok temu, nie było na to lekarstwa. Ale miło ci będzie usłyszeć że teraz istnieje. Stworzono je przed paroma miesiącami a ja czekałem tu specjalnie na ciebie – wiemy już tyle o JJ-180, że miałem zaszczyt obliczyć niemal co do minuty, kiedy się tu zjawisz. – Festenburg sięgnął do kieszeni zmiętego płaszcza i wyciągnął szklaną buteleczkę. – Oto antidotum, produkowane obecnie przez filię Korporacji. Chcesz to wziąć? Gdybyś teraz to połknął, dwadzieścia miligramów, byłbyś wyzwolony z nałogu nawet po powrocie do swojego czasu. – Uśmiechnął się, jego poślóka twarz nienaturalnie się zmarszczyła. – Ale – istnieje pewien problem.

– Jak przebiega wojna? – zapytał Eric. Festenburg odparł z dezaprobatą:

– Jakie to ma dla ciebie znaczenie? Na miłość boską, Sweetscent, twoje życie zależy od tej buteleczki, nie masz pojęcia, co oznacza uzależnienie od tego narkotyku!

– Czy Molinari wciąż żyje?

– Ma parę minut i chce wiedzieć, jaki jest stan zdrowia Mola. – Festenburg potrząsnął głową. Nachylił się ku Ericowi, wydał usta na spuchniętej, przejętej twarzy. – Posłuchaj, doktorze, chcę zawrzeć pewien układ. W zamian za te tabletki proszę o zdumiewająco niewiele. Proszę, zgódź się, kiedy następnym razem weźmiesz narkotyk – jeżeli nie zostaniesz wyleczony – przeniesiesz się dziesięć lat w przyszłość, a to będzie za późno, za daleko.

– Za późno dla ciebie, ale nie dla mnie – powiedział Eric. – Lek będzie nadal istniał.

– Nie spytasz nawet, czego chcę w zamian?

– Nie.

– Dlaczego nie?

Eric wzruszył ramionami.

– Bo czuję się niepewnie, wywierasz na mnie nacisk, a ja mam to gdzieś – spróbuję poradzić sobie z narkotykiem bez ciebie. – Wystarczała mu sama świadomość, że jakieś lekarstwo w ogóle istnieje. Uwalniało go to od niepokoju i dawało swobodę manewru. – Oczywiście najlepiej by było, gdybym brał narkotyk tak często, jak na to pozwoli fizjologia i zapuszczał się za każdym razem coraz dalej w przyszłość, a potem, kiedy uszkodzenia staną się zbyt wielkie...

– Nawet jedno zażycie – warknął przez zaciśnięte zęby Festenburg – wywołuje nieodwracalne uszkodzenia w mózgu. Ty cholerny idioto – już wziąłeś tego za dużo. Widziałeś swoją żonę, chcesz doprowadzić się do takiego samego stanu?

Po chwili głębokiego namysłu Eric odparł:

– Tak, w zamian za to, czego się dowiem. Po dwukrotnym zażyciu poznam wynik wojny, a jeżeli okaże się on niekorzystny, być może uda mi się doradzić Molinariemu, jak tego uniknąć. Co w porównaniu z tym znaczy moje zdrowie? – Zamilkł, wydawało mu się to oczywiste. Nie było o czym dyskutować, siedział i czekał, aż ustanie działanie narkotyku. Czekał na powrót do swojego czasu.

Festenburg otworzył buteleczkę i wysypał białe tabletki, zrzucił je z biurka na podłogę i rozgniół obcasem na miazgę.

– Czy przyszło ci do głowy – zapytał – że w ciągu dziesięciu lat Terra może zostać tak zniszczona w wojnie, że filia Korporacji nie będzie już w stanie dostarczać tego antidotum?

Nie przyszło mu to do głowy. Choć Eric był do głębi poruszony, zdołał jednak tego nie okazać.

– Zobaczymy – mruknął.

– Przyznaję, że nic nie wiem o przyszłości. Jednakże wiem wszystko o przeszłości – twojej przyszłości – o minionym roku. – Wyjął homeogazetę, którą rozłożył na biurku przed Erikiem. – Sześć miesięcy po twoim doświadczeniu w kawiarni w Białym Domu. To cię zainteresuje.

Eric uważnie przyjrzał się artykułowi na pierwszej stronie i nagłówkowi.

SWEETSCENT ARESZTOWANY PRZEZ AGENTÓW OCHRONY POD ZARZUTEM ZAINICJOWANIA SPISKU LEKARZY NA ŻYCIE PEŁNIĄCEGO OBOWIĄZKI SEKRETARZA ONZ DONALDA FESTENBURGA.

Nagle Festenburg wydarł mu gazetę, zmiął ją i rzucił za siebie.

– Nie powiem ci, co się stało z Molinarim. Odkryj to sam, skoro nie interesuje cię rozsądne porozumienie ze mną.

Po chwili ciszy Eric oznajmił:

– Miałeś rok na wydrukowanie podróbki „Timesa”. Przypominam sobie, że chyba coś takiego już się zdarzyło w historii polityki... Józef Stalin zrobił to Leninowi w ostatnim roku jego życia. Kazał wydrukować całkowicie fałszywy numer „Prawdy” i dał go Leninowi, który...

– Mój mundur – przerwał mu wściekły Festenburg, którego twarz poczerwieniała i nabrzmiała tak, jakby miała zaraz eksplodować. – Popatrz na moje pagony!

– Dlaczego one też nie mogłyby być fałszywe? Nie mówię, że są, ani że homeogazeta jest fałszywa. – W końcu w tym stanie nie mógł być niczego pewien. – Chcę tylko powiedzieć, że mogłyby być fałszywe, a to wystarczy, żeby skłonić mnie do zachowania dystansu.

Ogromnym wysiłkiem woli Festenburg zdołał częściowo się opanować.

– W porządku, rozgrywasz to ostrożnie. Całe to doświadczenie trochę cię zdezorientowało – rozumiem. Ale, doktorze, bądź przez chwilę realistą. Widziałeś gazetę, wiesz, że w jakiś sposób, którego nie rozszyfrowałem, zostałem następcą Molinariego jako sekretarz ONZ. Dołączmy do tego fakt, że sześć miesięcy w przyszłość od twojego czasu zostałeś przyłapany na gorącym

uczynku podczas spiskowania przeciwko mnie. I...

– Pełniący obowiązki sekretarza ONZ – poprawił Eric.

– Słucham? – Festenburg wytrzeszczył na niego oczy.

– Sugerowana jest sytuacja tymczasowa. Przejściowa. A ja nie zostałem – czy też nie zostanę – przyłapany na gorącym uczynku. Gazeta wspomina jedynie o aresztowaniu i oskarżeniu, nie ma mowy o procesie, o wyroku. Niewykluczone, że jestem niewinny. Może mnie wrobiono, może ty sam to zrobiłeś. Przypomnij sobie z kolei ostatni rok życia Stalina i tak zwany...

– Proszę bez wykładów z mojej własnej dziedziny! Tak, znam wspomnianą przez ciebie sytuację, wiem, jak Stalin oszukał umierającego Lenina. I wiem o spisku lekarzy, paranoicznym urojeniu Stalina podczas jego ostatniej choroby. W porządku – głos Festenburga był spokojny – przyznaję się: homeogazeta, którą ci przed chwilą pokazałem, jest podróbką.

Eric uśmiechnął się.

– A ja nie pełnię obowiązków sekretarza ONZ – ciągnął dalej Festenburg. – Ale pozostawię twojej własnej domyślności, co stało się naprawdę. I nie zdążysz niczego już zrobić, za parę minut powrócisz do swoich czasów, nie wiedząc niczego, żadnej cholernej rzeczy, o świecie przyszłości – a gdybyś doszedł ze mną do porozumienia, mógłbyś dowiedzieć się wszystkiego. – Popatrzył spode łba na Erica.

– Chyba jestem głupcem – powiedział Eric.

– Więcej: jesteś totalnym zboczeńcem. Mógłbyś wrócić z niewiarygodną bronią – rzecz jasna w znaczeniu przenośnym – dzięki której mógłbyś uratować siebie, żonę, Molinarię. A tymczasem będziesz się przez cały rok smażył... zakładając, że przeżyjesz ze swoim nałogiem aż tak długo. Zobaczmy.

Po raz pierwszy Erica ogarnęły wątpliwości. Czy popełniał błąd? W końcu nawet nie wysłuchał, co zgodnie z umową miałyby zrobić. Ale antidotum zostało już zniszczone, było już za późno. Skończyło się na rozmowie.

Eric wstał i rzucił szybko okiem na miasto Cheyenne za oknem.

Cheyenne leżało w gruzach.

Gdy na to patrzył, poczuł, jak topnieje rzeczywistość tego pokoju, materialność wszystkiego, co widział, świat odpływał od niego, a on chwycił go kurczowo, próbował go zatrzymać.

– Powodzenia, doktorze – rzucił głucho Festenburg i chwilę potem on też zmienił się w smugę mgły, która zawirowała wokół Erica, szara i nikła, stapiając się z niknącymi resztkami biurka, ścian, przedmiotów, które jeszcze przed chwilą zdawały się całkowicie stabilne.

Eric zatoczył się – próbował utrzymać się na nogach. Stracił równowagę i runął w stan obrzydliwej nieważkości... a potem, z głową pękającą od bólu, podniósł wzrok i zobaczył wokół siebie stoliki i ludzi w kawiarni w Białym Domu.

Otaczała go grupa gapiów. Zatroskanych, lecz niepewnych. Woleli go tak naprawdę nie

dotykać, pozostać widzami.

– Dzięki za pomoc – wycharczał i z trudem stanął na nogach.

Ludzie odeszli zmieszani do stolików, zostawiając go samego. Nie samego – z Kathy.

– Nie było cię przez jakieś trzy minuty – oznajmiła. Nie odezwał się, nie miał ochoty z nią rozmawiać, nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Miał mdłości, trzęsły mu się nogi, głowa zdawała się porozbijana na kawałki, pomyślał: Tak muszą się czuć ludzie zatruci tlenkiem węgla. Opisywano to w starych podręcznikach. Uczucie, że wchłonęło się samą śmierć.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytała Kathy. – Pamiętam, jak się czułam za pierwszym razem.

Eric odparł:

– Teraz zaprowadzę cię do szpitala. – Złapał ją za rękę, jej torebka uderzyła go w bok. – Swój zapas na pewno trzymasz w torebce – powiedział i wyrwał ją Kathy.

Po chwili trzymał w dłoni dwie podłużne kapsułki. Wsadził je do kieszeni i oddał Kathy torebkę.

– Dziękuję – powiedziała z gryzącą ironią.

– To ja ci dziękuję, skarbie. My to się dopiero Kochamy. Na tym nowym etapie naszego pożycia małżeńskiego. – Wyprowadził ją z kawiarni, towarzyszyła mu, nie stawiając oporu.

Dobrze, że nie zawarłem żadnego układu z Festenburgiem, pomyślał Eric. Ale to jeszcze nie koniec, Festenburg będzie chciał dobrać mu się do skóry. Eric miał nad nim jednak pewną przewagę, o której twórca przemówień jeszcze – w terażniejszości – nie wiedział.

Ze spotkania w 2056 roku Eric dowiedział się, że Festenburg ma ambicje polityczne. Że w jakiś sposób spróbuje zamachu stanu i będzie próbował kupić sobie poparcie. Mundur sekretarza ONZ okazał się fałszywy, ale aspiracje Festenburga były jak najbardziej prawdziwe.

Choć było też całkiem możliwe, że Festenburg jeszcze nie zaczął tej fazy kariery.

W tym czasie Festenburg nie mógł już niczym zaskoczyć Erica Sweetscenta, bo rok później, w przyszłości – czego oczywiście nie mogło wiedzieć jego obecne ja – wszystko mu zdradził. Nie zdawał sobie jednak sprawy z konsekwencji swojego czynu.

Był to poważny polityczny błąd, którego nie da się naprawić. Zwłaszcza że na arenie znajdowali się inni polityczni strategowie, niektórzy obdarzeni ogromnymi zdolnościami.

Jednym z nich był Gino Molinari.

Po umieszczeniu żony w szpitalu Białego Domu Eric zamówił rozmowę wideofoniczną z Jonaszem Ackermanem z Korporacji w Tijuanie.

– Więc wiesz już o Kathy»-stwierdził Jonas. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Nie będę pytał, dlaczego to zrobiłeś – wyjaśnił Eric. – Dzwonię, żeby...

– Co zrobiłem? – Twarz Jonasa wykrzywiła się. – Powiedziała ci, że to ja dałem jej ten narkotyk, tak? To nieprawda, Eric. Dlaczego miałbym to zrobić? Sam pomyśl.

– Nie pora na rozmowy na ten temat. – Czas gonił. – Po pierwsze, interesuje mnie, czy Virgil

wie coś o JJ-180.

– Wie, ale nie więcej ode mnie. Nie ma za dużo...

– Chcę porozmawiać z Virgilem.

Jonas niechętnie przełączył rozmowę do biura Virgila. Po chwili Eric zobaczył twarz starego, który uśmiechnął się w prostodusznym uniesieniu, kiedy ujrzał, kto do niego dzwoni.

– Eric! Czytałem w gazecie... już raz uratowałeś mu życie. Wiedziałem, że dasz sobie radę. Jeśli będziesz to robił codziennie... – Virgil zachichotał z radości.

– Kathy jest uzależniona od JJ-180. Potrzebuje pomocy, muszę ją wyleczyć.

Virgilowi zrzęda mina.

– To okropne! Ale co ja mogę zrobić, Eric? Oczywiście chciałbym coś zrobić. Wszyscy tutaj uwielbiamy Kathy. Jesteś lekarzem, powinieneś coś wymyślić. – Próbował coś jeszcze wybelkotać, lecz Eric wszedł mu w słowo.

– Powiedz mi, z kim mam kontaktować się w filii. Która produkuje JJ-180.

– Och, prawda. Hazeltine w Detroit. Pomyślmy... do kogo najlepiej się zwrócić? Może do samego Berta Hazeltine'a. Chwileczkę, do mojego biura przyszedł Jonas i coś mówi.

Na ekranie wideofonu pokazała się twarz Jonasa.

– Próbowałem ci to powiedzieć, Eric. Gdy tylko dowiedziałem się o stanie Kathy, natychmiast skontaktowałem się z Hazeltine. Już kogoś wysłali, jest w drodze do Cheyenne, domyśliłem się, że Kathy po zniknięciu pojawi się właśnie tam. Informuj Virgila i mnie na bieżąco o jego poczynaniach. Powodzenia. – Jonas zniknął z ekranu, wyraźnie zadowolony, że zrobił, co do niego należało.

Eric podziękował Virgilowi i rozłączył się. Wstał i natychmiast udał się do recepcji Białego Domu, aby sprawdzić, czy zjawił się tam już przedstawiciel Hazeltine'a.

– Och, tak, doktorze Sweetscent – oznajmiła recepcjonistka, sprawdzając księgę. – Przed chwilą przyjechały dwie osoby, szukaliśmy pana na korytarzach i w kawiarniach. – Odczytała z księgi nazwiska. – Niejaki pan Bert Hazeltine i kobieta, panna Bachis... Trudno mi odczytać jej pismo, ale tak się chyba nazywa. Wysłaliśmy ich do pańskiego mieszkania.

Kiedy Eric dotarł na miejsce, zastał drzwi otwarte na oścież, w niewielkim salonie siedziały dwie osoby, mężczyzna w średnim wieku, ubrany w elegancki, długi płaszcz i blondynka przed czterdziestką, nosiła okulary, a grubo ciosane rysy jej twarzy sugerowały zawodową kompetencję.

– Pan Hazeltine? – zagaił Eric, wchodząc z wyciągniętą ręką.

Goście wstali.

– Witam, doktorze Sweetscent. – Bert Hazeltine uściskał jego dłoń. – To Hilda Bachis z Biura Kontroli Narkotyków ONZ. Trzeba ich było zawiadomić o stanie pańskiej żony, doktorze, tego wymaga prawo. Jednakże...

– Nie interesuje nas zatrzymanie ani karanie pana żony, doktorze – oznajmiła rzeczowo panna Bachis. – Chcemy jej tylko pomóc, podobnie jak pan. Już zapowiedzieliśmy odwiedzinę u niej, ale pomyśleliśmy, że przed pójściem do szpitala najpierw porozmawiamy z panem.

Hazeltine zapytał spokojnie:

– Jak duże zapasy narkotyku ma przy sobie pana żona?

– Nic – odparł Eric.

– Wobec tego pozwoli pan – zaczął Hazeltine – że wyjaśnię różnicę między nawykiem a nałogiem. W przypadku nałogu...

– Jestem lekarzem – przypomniał mu Eric. – Nie musi mi pan wyjaśniać podstawowych faktów. – Usiadł, wciąż czując skutki ataku narkotyku, ciągle bolała go głowa i kłuło go w piersiach przy oddychaniu.

– Tak więc wie pan, że narkotyk włączył się do metabolizmu jej wątroby, teraz jest warunkiem koniecznym tego metabolizmu. Jeżeli żona odstawi narkotyk, umrze w ciągu... – Hazeltine urwał na chwilę. – Ile już wzięła?

– Dwie czy trzy kapsułki.

– Bez narkotyku umrze najprawdopodobniej w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– A z narkotykiem?

– Przeżyje mniej więcej cztery miesiące, do tego czasu, doktorze, być może będziemy mieć antidotum, niech pan nie sądzi, że się nie staramy. Eksperymentowaliśmy nawet ze sztucznymi wszczepami, usunięciem wątroby i zastąpieniem jej...

– Zatem Kathy musi mieć więcej kapsułek – stwierdził Eric i pomyślał o sobie. O swoim stanie. – Przypuścimy, że wzięła tylko raz. Czy wtedy...

– Panie doktorze – przerwał mu Hazeltine – czy pan jeszcze nie rozumie? JJ-180 nie było pomyślane jako lek, lecz jako broń. Jego celem miało być wywołanie kompletnego uzależnienia po zażyciu jednej dawki, jego celem miało być spowodowanie rozległych zniszczeń układu nerwowego i mózgu. Jest pozbawione smaku i zapachu, nie sposób poznać, że zostało dodane, na przykład, do jedzenia lub napoju. Od samego początku dręczył nas problem przypadkowego uzależnienia obywateli Ziemi, czekaliśmy na wynalezienie antidotum, żeby dopiero wtedy wykorzystać JJ-180 przeciw nieprzyjacielowi. Ale... – Popatrzył na Erica. – Pańska żona nie uzależniła się od tego przypadkowo, doktorze. Celowo wciągnięto ją w nałóg. Wiemy, skąd wzięła narkotyk. – Spojrzał na pannę Bachis.

– Nie mogła go zdobyć w Korporacji Futer i Barwników – odezwała się kobieta – ponieważ filia Hazeltine nie przekazywała najmniejszych choćby jego ilości do firmy macierzystej.

– To nasz sojusznik – oznajmił Bert Hazeltine. – Pakt Pokojowy zawierał klauzulę, że musimy dostarczać im próbki każdej nowej broni stworzonej na Ziemi. ONZ zmusiła mnie do wysłania transportu JJ-180 na Lilistar. – Miał twarz obwisłą od zestarzałej, wiecznej urazy.

– Ze względów bezpieczeństwa – podjęła panna Bachis – JJ-180 było przewożone na Lilistar w pięciu odrębnych pojemnikach na pięciu różnych statkach. Cztery doleciały na Lilistar. Jeden nie, rigowie zniszczyli go za pomocą autominy. Od tamtego czasu nasz wywiad na terenie Imperium regularnie powtarza nam pogłoski, że staryjscy agenci przywieźli narkotyk z powrotem na Terre, żeby wykorzystywać go przeciw naszym ludziom.

Eric kiwnął głową.

– Rozumiem, nie zdobyła narkotyku w Korporacji. – Ale jakie to miało znaczenie, gdzie go zdobyła?

– Tak więc z pańską żoną – ciągnęła panna Bachis – kontaktowali się szpiedzy Lilistaru, dlatego nie może ona dłużej przebywać w Cheyenne, ustaliliśmy już z ochroną, że zostanie przewieziona albo do Tijuany, albo do San Diego. Nie ma innego wyjścia, oczywiście nie potwierdziła tego, ale zapasy JJ-180 dostaje w zamian za pracę dla Staryjczyków. Zapewne z tego powodu tu za panem przyjechała.

– Ale jeżeli odetniecie ją od narkotyku... – zaczął Eric.

– Nie mamy takiego zamiaru – zaprzeczył Hazeltine. – Wręcz przeciwnie, najskuteczniejszą metodą uniezależnienia jej od staryjskich szpiegów jest bezpośrednio zaopatrywanie jej z naszych rezerw. Tak postępujemy w podobnych przypadkach... a pańska żona nie jest pierwsza, doktorze, już się z tym spotkaliśmy i może mi pan wierzyć na słowo, że wiemy, co robić. Oczywiście w ramach naszych ograniczonych możliwości. Po pierwsze, ona potrzebuje narkotyku, aby żyć, już choćby z tego powodu koniecznie trzeba go jej podawać. Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą powinien pan wiedzieć. Ten transport, który poleciał na Lilistar, ale został zniszczony przez rigijską minę... Wiemy już, że rigowie zdołali przechwycić część tego statku. Zdobyli niewielką, lecz wystarczającą dawkę JJ-180. – Urwał. – Oni też pracują nad antidotum. W pokoju zapadła cisza.

– My, na Ziemi, nie znaleźliśmy dotąd lekarstwa – podjął po przerwie Hazeltine. – Lilistar oczywiście nawet nie próbuje go odkryć, mimo że pańskiej żonie wmawiali pewnie co innego, po prostu jedynie produkują narkotyk, który niewątpliwie wykorzystają zarówno przeciwko nieprzyjacielowi, jak i przeciwko nam. Taka jest prawda. Ale... być może rigowie mają już antidotum. To byłoby nieuczciwe i moralnie naganne, gdybym nie powiedział panu o tym. Nie sugeruję panu ucieczki do wroga, w ogóle niczego nie sugeruję – jestem tylko wobec pana uczciwy. Za cztery miesiące może coś znajdziemy, a może nie. Nie jestem w stanie przewidzieć przyszłości.

– Narkotyk – powiedział Eric – pozwala niektórym przenosić się w przeszłość.

Hazeltine i panna Bachis wymienili spojrzenia.

– To prawda – potwierdził Hazeltine, kiwając głową. – To tajemnica państwowa, jak pan zapewne wie. Przypuszczam, że dowiedział się pan o tym od żony. Czy ona pod wpływem

narkotyku przemieszcza się w tym akurat kierunku? To stosunkowo rzadkie, z reguły ludzie cofają się do przeszłości.

– Rozmawialiśmy o tym – odparł wymijająco Eric.

– Tak czy owak – rzekł Hazeltine – coś podobnego jest możliwe, przynajmniej teoretycznie. Przenieść się do przyszłości, zdobyć lek – może nawet nie jego próbkę, ale sam przepis, zapamiętać go, wrócić do teraźniejszości i przekazać go chemikom w naszej filii. I tyle. Wydaje się to niemal zbyt proste, nieprawdaż? Skutki działania narkotyku niosą sposób na pozyskanie antidotum, zdobycie nowej, nieznannej substancji, która zajęłaby w metabolizmie wątroby miejsce JJ-180... Jednak po pierwsze, takie antidotum może w ogóle nie istnieć, w którym to przypadku podróż w przyszłość niczego by nie dała. W końcu nie mamy jeszcze żadnego pewnego lekarstwa nawet na uzależnienie od pochodnych opium, heroina jest ciągle nielegalna i groźna, podobnie jak przed stu laty. Ale przychodzi mi do głowy jeszcze jedno, tym razem głębsze, zastrzeżenie. Szczerze mówiąc – a nadzorowałem wszystkie fazy testowania JJ-180 – uważam, że czas, w jaki wkracza biorący, jest fikcją. Nie sądzę, żeby to była prawdziwa przeszłość ani prawdziwa przyszłość.

– A więc co to jest? – zapytał Eric.

– Od początku w naszej firmie twierdziliśmy, że to narkotyk halucynogeny i byliśmy o tym szczerze przekonani. Realność halucynacji to żadne kryterium, większość halucynacji sprawia wrażenie realnych, niezależnie od przyczyny, czy to będzie narkotyk, psychoza, uszkodzenie mózgu czy bodźce elektryczne, kierowane bezpośrednio do określonych obszarów mózgu. Z pewnością pan o tym wie, doktorze, osobie doświadczającej halucynacji nie tylko wydaje się, że widzi ona, powiedzmy, drzewko pomarańczy – ona naprawdę je widzi. Dla niej jest to prawdziwe przeżycie, tak samo jak dla nas obecność w tym salonie. Nikt z ludzi, którzy wzięli JJ-180 i wyruszyli w przeszłość, nie wrócił z jakimś przedmiotem, nikt nie znika ani...

– Nie zgadzam się z panem, panie Hazeltine – przerwała mu panna Bachis. – Rozmawiałam z wieloma osobami uzależnionymi od JJ-180 i wszystkie podawały takie szczegóły z przeszłości, o których moim zdaniem nie mieliby pojęcia, gdyby tam faktycznie nie byli. Nie mogę tego dowieść, ale jestem o tym przekonana. Przepraszam, że przeszkodziłam.

– Ukryte wspomnienia – odpalił rozdrażniony Hazeltine. – Albo – o Jezu – prawdopodobne poprzednie życia. Być może istnieje reinkarnacja.

– Gdyby JJ-180 powodował rzeczywiste podróże w czasie, nie byłaby to zbyt dobra broń do zaatakowania rigów – zauważył Eric. – Mogliby więcej na niej zyskać niż stracić. Więc musi pan wierzyć, że to tylko halucynacje, panie Hazeltine. Dopóki planuje pan sprzedać JJ-180 rządowi.

– Argument *ad kominem* – obruszył się Hazeltine. – Atakuje pan moje motywacje, nie zaś rozumowanie, dziwię się panu, doktorze. – Wyglądał na przygnębionego. – Choć może ma pan rację. Bo skąd niby to wiem? Nigdy nie zażywałem tego narkotyku, a nie dajemy tego nikomu,

odkąd odkryliśmy, że jest silnie uzależniający, pozostały nam doświadczenia na zwierzętach, pierwsi – i pechowi – ludzie, którzy wzięli go na ochotnika, w celach badawczych, oraz kilka niedawnych przypadków, takich jak pana żona, którą Staryjczycy wciągnęli w nałóg. No i... – Zawahał się, potem wzruszył ramionami i mówił dalej: – No i oczywiście dajemy go rigom w obozach jenieckich, bez tego nie moglibyśmy ustalić, jak to na nich działa.

– Jak reagowali? – zainteresował się Eric.

– Mniej więcej podobnie do ludzi. Całkowite uzależnienie, degeneracja układu nerwowego, halucynacje tak potężne, że zubożyli na rzeczywistość. – Dodał, na poły do siebie: – Jakie to rzeczy musimy robić podczas wojny. A tyle się opowiadało o nazistach.

– Musimy wygrać wojnę, panie Hazeltine – oświadczyła panna Bachis.

– Tak – zgodził się obojętnie Hazeltine. – Och, ma pani cholerną rację, panno Bachis, absolutną rację. – Spojrzał szklanym wzrokiem na podłogę.

– Proszę dać doktorowi Sweetscentowi zapasy narkotyków – przypomniała panna Bachis.

Hazeltine skinął głową i sięgnął do kieszeni płaszcza.

– Proszę. – Podał Ericowi płaski metalowy pojemnik. – JJ-180. Wedle prawa nie możemy go dać pańskiej żonie, nie możemy go dostarczać znanym nam narkomanom. Dlatego niech pan to weźmie – to oczywiście formalność – i zrobi z tym, co pan uzna za stosowne. Tak czy owak, zapas w tej puszcze starczy jej do końca życia. – Nie spojrzał Ericowi w oczy, wciąż gapił się na podłogę. Eric, odbierając pojemnik, zauważył:

– Nie jest pan specjalnie zadowolony z tego wynalazku pańskiej firmy.

– Zadowolony? – powtórzył Hazeltine. – Pewnie, że jestem zadowolony. Ma pan wątpliwości? Nie widać tego po mnie? Wie pan, o dziwo, najgorsze było oglądanie rigów w obozach po tym, jak to zażyli. Po prostu się zwijali, więdli... U nich nie ma nawet mowy o remisji... Po pierwszym zetknięciu z JJ-180 żyją nim cały czas. Cieszą się z nałogu, halucynacje aż tak ich... Jak by to powiedzieć? Aż tak ich bawią... nie, nie bawią. Pochłaniają? Nie wiem, ale ci rigowie zachowują się, jakby zetknęli się z absolutem. Ale absolutem, który – pod względem klinicznym, pod względem fizjologicznym – jest podstępny piekłem.

– Życie jest krótkie – zauważył Eric.

– Oraz prymitywne i paskudne – dorzucił Hazeltine, jak gdyby cytował z bliżej nieokreślonego źródła. – Nie potrafię być fatalistą, doktorze. Może jest pan szczęściarzem albo spryciarzem, jedno z dwojga.

– Nie – sprostował Eric. – Nic z tych rzeczy. – Depresja na pewno nie jest niczym pożądanym, fatalizm to nie talent, lecz przewlekła choroba. – Ile czasu po ustąpieniu działania JJ-180 pojawiają się objawy głodu? Inaczej mówiąc, kiedy...

– Między dawkami może upływać od dwunastu do dwudziestu czterech godzin – powiedziała panna Bachis. – Potem daje o sobie znać fizjologia, czyli zapaść właściwego

metabolizmu wątroby. Jest to... nieprzyjemne. Mówiąc ogólnikowo.

– Nieprzyjemne – zawtórował ochryplym głosem Hazeltine. – Dobry Boże, bądźmy realistyczni, tego nie da się znieść. To prawdziwa agonía. A uzależniona osoba o tym wie. Czuje to, choć niekoniecznie potrafi zdefiniować. W końcu ilu z nas przeżyło własną agonię?

– Gino Molinari przeżył – stwierdził Eric. – Ale on jest jedyny w swoim rodzaju. – Włożył puszkę z JJ-180 do kieszeni marynarki i pomyślał: Czyli mam jeszcze najwyżej dwadzieścia cztery godziny do chwili, gdy będę zmuszony zażyć drugą dawkę narkotyku. Ale to może się stać już dziś wieczorem.

Zatem rigowie mogą już mieć antidotum, powiedział sobie w duchu. Czy przeszedłbym na ich stronę, żeby ocalić swoje życie? Życie Kathy? Ciekawe. Naprawdę tego nie wiedział.

Być może dowiem się, pomyślał, gdy nadejdzie pierwszy atak głodu. A jeśli nie wtedy, to po odkryciu pierwszych oznak neurologicznych zniszczeń w moim ciele.

Ciągle był oszołomiony tym, że jego żona, tak po prostu, wciągnęła go w nałóg. Co za dowód nienawiści. Jaka ogromna pogarda dla wartości życia. Ale czy on nie czuł tego samego? Pamiętał swoją pierwszą rozmowę z Ginem Molinarim, wyszły wtedy na jaw wszystkie jego prawdziwe emocje i musiał je zaakceptować. W ostatecznym rozrachunku jego uczucia współgrały z czynami Kathy. Oto jeden ze skutków wojny: przetrwanie jednostki stało się czymś banalnym. Więc mógł zwalić winę na wojnę. Tak byłoby łatwiej.

Ale wiedział, że prawda przedstawia się inaczej.

W drodze do szpitala, gdzie chciał wręczyć Kathy narkotyki, natknął się, ku swojemu zdumieniu, na zgarbioną, schorowaną postać Gina Molinari. Sekretarz ONZ siedział na wózku, kolana miał przykryte grubym, wełnianym pledem, a oczy pulsowały mu, jakby były dwiema żywymi, osobnymi istotami, zmuszając Erica do zastygnięcia w bezruchu.

– Miałeś w mieszkadle podsłuch – oznajmił Molinari. – Twoja rozmowa z Hazeltine'em i Bachis została wychwycona, zarejestrowana i dostarczona mi w formie pisemnej.

– Tak szybko? – zdołał wykrztusić Eric. Dzięki Bogu nie zająknął się ani słowem o własnym nałogu.

– Zabieraj ją stąd – jęknął Molinari. – To staryjska wtyczka, zrobi wszystko, co jej każą – wiem o tym. Takie przypadki już się zdarzały. – Cały się trząśł. – Zresztą tak naprawdę już jej tu nie ma. Agenci dorwali ją i wyprowadzili na dwór do helikoptera. Więc sam nie wiem, dlaczego się tak denerwuję... Przecież dobrze wiem, że sytuacja jest pod kontrolą.

– Skoro ma pan zapis rozmowy, wie pan, że panna Bachis przygotowała już dla Kathy...

– Wiem! W porządku. – Molinari z trudem łapał powietrze, twarz miał pokrytą czerwonymi plamami i fałdami obwisłej skóry, ciemnymi, pomarszczonymi pasmami drgającego ciała. – Widzisz, jak działa Lilistar? Wykorzystuje przeciwko nam nasz własny narkotyk, to do sukinsynów pasuje, pewnie nieźle się bawią. Powinniśmy wrzucić to do ich wodociągów. Sprowadziłem cię tutaj, a ty sprowadziłeś tu żonę, dla zdobycia tego narkotyku, tego parszywego śmiecia, byłaby gotowa zrobić wszystko – nawet mnie zabić, gdyby ją tylko o to poprosili. Wiem o frohedadrynie dosłownie wszystko, to właśnie ja wymyśliłem tę nazwę. Z niemieckiego *Froh*, co znaczy „radość”, i łacińskiego *heda-*, czyli rdzenia „przyjemności”. „Dryna” to oczywiście... – Urwał, nabrzmiałe usta drżały mu spazmatycznie. – Jestem zbyt chory, aby tak się podniecać, powinienem przechodzić rekonwalescencję po operacji. Chcesz mnie wyleczyć czy wykończyć, doktorze? A może sam tego nie wiesz?

– Nie wiem – odparł Eric. Czuł zmieszanie, ośpienie, za dużo rzeczy naraz.

– Nie wyglądasz najlepiej. Źle to znosisz, mimo że z twoich akt i własnych oświadczeń wynika, że nienawidzisz żony – z wzajemnością. Pewnie myślisz sobie, że gdybyś od niej nie odszedł, nie zostałaby narkomanką. Słuchaj: każdy musi żyć swoim życiem, ona musi wziąć na siebie całą odpowiedzialność. Nie zmusiłeś jej do zrobienia tego. Sama postanowiła to zrobić. Ulżyło ci? – Mol przypatrywał się twarzy Erica w poszukiwaniu jakiejś reakcji.

– Nic mi nie będzie – odparł krótko Eric.

– Akurat. Nie wyglądasz lepiej od niej, zszedłem rzucić na nią okiem. Nie mogłem się oprzeć. Nieszczęsna baba, już widać ślady zniszczeń, jakie sieje ten narkotyk. Nie pomoże jej nawet wymiana wątroby i pełna transfuzja krwi, jak się dowiedziałeś, próbowano już tego

przedtem.

– Rozmawiał pan z Kathy?

– Ja? Ze staryjskim szpiegiem? – Molinari obrzucił go gniewnym spojrzeniem. – Tak, przez chwilę. Gdy ją wywozili na wózku. Byłem ciekaw, z jaką kobietą się związałeś, z dala śmierdzi od ciebie masochistą i ona stanowi ostateczny dowód. To istna harpia, Sweetscent, potwór. Zgodnie z twoim opisem. Wiesz, co powiedziała? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Powiedziała mi, że sam jesteś uzależniony. Wszystko, żeby napytać ci biedy, prawda?

– Prawda – odparł sztywno Eric.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – Molinari spojrzął na niego, wyraz jego wielkich, ciemnych oczu dowodził, że odzyskał panowanie nad sobą. – Zdenerwowało cię to, co usłyszałeś, nieprawdaż? Teraz wiesz, że ona robi wszystko, co w jej mocy, aby zniszczyć twoją karierę w Białym Domu. Eric, gdybym myślał, że zaaplikowałeś sobie to świństwo, nie wyrzuciłbym cię stąd na zbity pysk, zabiłbym cię. Podczas wojny zabijam ludzi, na tym polega moja praca. Jak oboje wiemy, bo razem to omawialiśmy, w niedalekiej przyszłości może nadejść chwila, kiedy ty będziesz musiał... – Zawahał się. – Tak jak powiedzieliśmy. Zabić nawet mnie. Racja, doktorze?

Eric zmienił temat:

– Muszę dać jej narkotyki. Mogę odejść, panie sekretarzu? Zanim odleczę.

– Nie – odparł Molinari. – Nie możesz, bo chcę cię jeszcze o coś prosić. Wiesz, że wciąż jest tutaj premier Freneksy, przebywa ze swoją ekipą w skrzydle wschodnim, w izolacji. – Wyciągnął rękę. – Poproszę o jedną kapsułkę JJ-180, doktorze. Daj mi ją, a potem zapomnijmy o naszej rozmowie.

Wiem, co chcesz zrobić, pomyślał Eric. Albo raczej próbujesz zrobić. Ale nie masz szans, to nie czasy renesansu.

– Podam mu ją osobiście – oświadczył Molinari. – Dopilnuję, żeby ją sam przełknął, żeby nie wypił jej jakiś alfons z jego otoczenia.

– Nie – odparł Eric. – Absolutnie odmawiam.

– Dlaczego? – Molinari przechylił głowę na bok.

– Bo to samobójstwo. Dla wszystkich mieszkańców Terry.

– Wiesz, jak Rosjanie pozbyli się Berii? Wchodził do Kremla z pistoletem, co było sprzeczne z prawem, miał go w teczce, więc mu ją ukradli i zastrzelili go z jego własnej broni. Czy wydaje ci się, że sprawy na szczycie muszą być skomplikowane? Ludzie przeciętni nigdy nie dostrzegają prostych rozwiązań, to podstawowa wada mas... – Molinari przerwał i gwałtownie przyłożył rękę do piersi. – Serce. Zdawało mi się, że przestało bić. Teraz wszystko jest w porządku, ale przez sekundę nie czułem niczego. – Poblądł i ściszył głos do szeptu.

– Zawiozę pana do pokoju. – Eric stanął za wózkiem Molinariego i zaczął go pchać, Mol nie

protestował, tylko siedział nachylony i masował mięsistą klatkę piersiową, badał ją i dotykał niepewnie, sparaliżowany przytłaczającym strachem. Zapomniał o wszystkim, dostrzegął tylko chore, odmawiające posłuszeństwa ciało. Ono stało się całym jego światem.

Przy pomocy dwóch pielęgniarek Eric zdołał umieścić Molinariego z powrotem w łóżku.

– Posłuchaj, Sweetscent – wyszeptał Molinari, opadając na poduszkę. – Narkotyk mogę dostać nie tylko od ciebie. Mogę przycisnąć Hazeltine’a i on mi go dostarczy. Virgil Ackerman to mój dobry przyjaciel, on już dopilnuje, żeby Hazeltine ustąpił. I nie próbuj mi mówić, co mam robić, rób swoje, a ja będę robił swoje. – Zamknął oczy i jęknął. – Mój Boże, właśnie poczułem, jak eksploduje mi tętnica koło serca. Sprowadź Teagardena. – Znowu jęknął i odwrócił się do ściany. – Co za dzień. Ale jeszcze dostanę tego Freneksy’ego. – Nagle otworzył oczy i oświadczył: – Wiedziałem, że to głupi pomysł. Ale ostatnio przychodzą mi do głowy właśnie takie, idiotyczne myśli. Co innego zresztą mógłbym zrobić? Masz jakieś inne pomysły? – Odczekał chwilę. – Nie. Bo nie ma innych rozwiązań, w tym sęk. – Znowu zamknął oczy. – Czuję się okropnie. Sądzę, że tym razem naprawdę konam i nie będziesz mnie mógł już uratować.

– Zawołam doktora Teagardena – oznajmił Eric i ruszył w stronę drzwi.

Molinari rzucił za nim:

– Wiem, że jesteś uzależniony, doktorze. – Nieznacznie się wyprostował. – Prawie zawsze poznaję, kiedy ktoś kłamie, a twoja żona nie kłamała. Gdy cię zobaczyłem, rozszyfrowałem cię, nawet nie wiesz, jak bardzo się zmieniłeś. Po chwili ciszy Eric zapytał:

– I co pan robi?

– Zobaczymy, doktorze – stwierdził Molinari i odwrócił się do ściany.

Po doręczeniu Kathy zapasu JJ-180 Eric bezzwłocznie wsiadł na statek ekspresowy do Detroit.

Trzy kwadransy później wylądował na miejscu i wziął taksówkę do siedziby korporacji Hazeltine. Do pośpiechu zmusił go nie narkotyk, lecz Gino Molinari, Eric nie mógł poczekać nawet do wieczora.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pana – oznajmił z szacunkiem automatyczny obwód taksówki. Odsunął drzwi, aby Eric mógł wysiąść. – Ten szary, parterowy budynek, otoczony żywopłotem różowych kwiatów z wianuszkami zielonych przylistków u podstawy... to korporacja Hazeltine. – Eric wyjrzał i zobaczył budynek, trawnik i wrzosowy żywopłot. Budowla nie była zbyt duża, jak na zakład przemysłowy. Zatem w takim miejscu narodził się JJ-180.

– Czekaj tutaj – polecił Eric taksówce. – Masz szklanek wody?

– Oczywiście. – Z otworu przed Erikiem wysunął się papierowy kubek z wodą, zakołysał się na krawędzi podajnika i znieruchomiał.

Siedząc w taksówce, Eric połknął przywiezioną ze sobą kapsułkę JJ-180. Skonfiskowaną

Kathy. Minęło kilka minut.

– Dlaczego pan nie wysiada, proszę pana? – zainteresował się pojazd. – Czy zrobiłem coś niewłaściwego?

Eric czekał. Gdy poczuł, że narkotyk zaczyna działać, zapłacił taksówce, wysiadł i ruszył powoli wysadzaną sekwojami ścieżką do biura korporacji Hazeltine.

Budynek rozblysnął, jakby trafił go piorun. Niebo przechyliło się na bok. Eric uniósł głowę i zobaczył, że czysty błękit marszczy się, jak gdyby z całych sił próbował pozostać na swoim miejscu, a potem rozpada się na kawałki, zamknął oczy, bo za bardzo kręciło mu się w głowie, nie miał na świecie żadnego punktu odniesienia. Szedł dalej, krok po kroku, po omacku, pochylony, z jakiegoś powodu zdecydowany wciąż się poruszać, choćby powoli.

To było bolesne. W odróżnieniu od pierwszego zażycia narkotyku teraz doświadczył poważnej przebudowy struktury rzeczywistości. Zauważył, że nie słyhać odgłosu jego kroków, zszedł na trawnik, ale ciągle nie otwierał oczu. Halucynacja innego świata, pomyślał. Czy Hazeltine ma rację? Być może paradoksalnie będę mógł odpowiedzieć na to pytanie podczas tej halucynacji... jeśli to jest halucynacja. Wątpił w to, Hazeltine się mylił.

Gdy w ramię musnęła go gałązka wrzосу, otworzył oczy. Jedną stopą wdepnął w miękką, czarną ziemię na kwiatowym klombie, przystanął na na wpół zgniecionej, bulwiastej begonii. Za wrzosowym żywopłotem wznosiła się szara fasada korporacji Hazeltine, taka sama jak przedtem, nad nią widać było blade, błękitne niebo i sunące na północ, postrzępione chmury, niebo też się chyba nie zmieniło. A co się zmieniło? Wrócił na wysadzaną sekwojami ścieżkę. Wejść do środka? – zapytał sam siebie. Odwrócił się w stronę ulicy. Taksówka zniknęła. Detroit, budowle i rampy miasta sprawiały wrażenie bardziej wyszukanych. Ale w ogóle nie znał tej okolicy.

Gdy wszedł na ganek, drzwi otworzyły się przed nim automatycznie i ujrzał schludne biuro, z wygodnymi, skórzanymi fotelami, czasopismami i puszystym dywanem, który nieustannie zmieniał deseń... Przez otwarte drzwi zobaczył część biurową: maszyny liczące i jakiś zwykły komputer, a jednocześnie usłyszał gdzieś w dali, w samych laboratoriach, szmer pracy.

Gdy chciał już usiąść, do biura wszedł czteroręki rig o błękitnej, chitynowej, pozbawionej wyrazu twarzy i szczątkowych skrzydłach, przyciśniętych do obłego, lśniącego, podobnego do pocisku tułowia. Zagwizdał na powitanie – Eric nigdy wcześniej nie słyszał o tym obyczaju – i wyszedł innymi drzwiami. Za nim pojawił się kolejny rig, z wigorem poruszający rozległą gmatwaniną wyposażonych w dwoje stawów rąk, podszedł do Erica Sweetscenta, zatrzymał się i wyciągnął w jego stronę niewielkie, sześciennie pudełko. Z boku pudełka uformowały się angielskie słowa, które natychmiast znikły, Eric zorientował się, że musi zwracać na nie uwagę. Rig chciał się z nim porozumieć.

WITAMY W KORPORACJI HAZELTINE

Przeczytał te słowa, ale nie wiedział, jak na nie zareagować. Miał przed sobą recepcjonistkę,

zauważył, że ten osobnik jest samicą. Jak miał odpowiedzieć? Rigica, brzęcząc, czekała, budowę ciała miała taką zawiłą, że nie umiała zachować zupełnego bezruchu, zaopatrzone w liczne soczewki oczy kurczyły się i rozszerzały, najpierw cofając się częściowo w głąb czaszki, a następnie wyskakując na zewnątrz niczym spłaszczony korki. Na pozór wyglądało na to, że rigica jest ślepa. Ale Eric wiedział, że to fałszywe oczy, prawdziwe, bardziej skomplikowane, były umieszczone na łokciach górnych rąk.

– Mógłbym porozmawiać z którymś z waszych chemików? – zapytał. – I pomyślał: Zatem przegraliśmy wojnę. Z czymś takim. I Terra jest teraz pod okupacją. A zakłady przemysłowe kierowane są przez takie stwory. Ale, zdał sobie sprawę, ludzie wciąż istnieją, bo ta rigica wcale nie wygląda na zbitą z tropu na mój widok. Przyjęła moją obecność jako coś naturalnego. Czyli nie jesteśmy też chyba zwykłymi niewolnikami.

W JAKIEJ SPRAWIE?

Zawahał się i odparł:

– Pewnego narkotyku. Produkowanego tutaj w przeszłości. Nazywanego albo frohedadryna, albo JJ-180, obydwie nazwy oznaczają ten sam produkt.

PROSZĘ CHWILKĘ ZACZEKAĆ

Rigica oddaliła się małymi kroczkami do wewnętrznych drzwi, po czym zniknęła. Eric stał i czekał, myśląc sobie, że jeśli jest to halucynacja, to na pewno niezgodna z jego wolą.

Pojawił się większy rig, samiec, stawy chyba już mu zeszywniały, i Eric zdał sobie sprawę, że jest stary. Życie rigów liczyło się na miesiące, nie lata. Temu niewiele już brakowało do końca.

Stary rig zapytał za pomocą tłumacza:

CO CHCE PAN WIEDZIEĆ O JJ-180? PROSZĘ MÓWIĆ KRÓTKO

Eric pochylił się i wziął z pobliskiego stolika czasopismo. Nie było w języku angielskim, na okładce znajdowało się dwóch rigów i jakieś napisy w ich pokrzywionym, piktogramowym alfabecie. Zaskoczony Eric wbił wzrok w czasopismo. Miał przed sobą „Life”. Z jakiegoś powodu zaszokowało go to bardziej niż widok samego wroga.

PROSZĘ

Stary rig zagrzechotał z niecierpliwością.

Eric oznajmił:” „

– Chcę kupić antidotum na narkotyk JJ-180. Aby wyleczyć się z nałogu.

DO TEGO NIE JESTEM CI POTRZEBNY. SPRAWĘ MOGŁA ZAŁATWIĆ
RECEPCJONISTKA

Rig odwrócił się i oddalił się niezdarnie, aby wrócić do pracy Eric został sam.?

Recepcjonistka wróciła z niewielką torbą z brązowego papieru, podała mu ją, nie ręką ze stawami, lecz szczęką. Eric wziął torbę, otworzył i zajrzał do środka. Buteleczka z pigułkami. To

wszystko, nic więcej nie musiał robić.

CZTERY TRZYDZIEŚCI PIĘĆ, PROSZĘ PANA

Recepcjonistka patrzyła, jak Eric wyciąga portfel, wyjął, pięciodolarowy banknot i go jej podał.

PRZEPRASZAM PANA, ALE TO JEST BANKNOT Z CZASÓW WOJNY, KTÓRY WYSZEDŁ Z OBIEGU

– Nie możesz go przyjąć? – zapytał Eric.

PRZEPISY NAM TEGO ZABRANIAJĄ

– Rozumiem – powiedział głucho, zastanawiając się, co począć. Mógł połknąć zawartość buteleczki, zanim rigica zdążyłaby go powstrzymać. Ale wtedy zostałby prawdopodobnie aresztowany, a dalszy rozwój wypadków łatwo mógł sobie wyobrazić, po obejrzeniu jego dokumentów policjanci dowiedzieliby się, że Eric pochodzi z przeszłości. I zdawaliby sobie sprawę, że może zabrać ze sobą w przeszłość informacje, które mogą wpłynąć na wynik wojny – jak widać, zakończoną dla nich pomyślnie. A na to nie mogli sobie pozwolić. Musieliby go zabić. Nawet jeśli dwie rasy żyją teraz w harmonii.

– Zegarek – powiedział. Zdjął go z nadgarstka i podał rigicy. – Siedemnaście kamieni, bateria z gwarancją na siedemdziesiąt lat. – Pod wpływem natchnienia dorzucił: – To antyk. Doskonale zachowany. Z czasów przedwojennych.

CHWILECZKĘ, PROSZĘ PANA

Recepcjonistka wzięła zegarek i na swych długich, giętkich nogach skierowała się w głąb części biurowej, gdzie zaczęła naradzać się z kimś niewidocznym dla niego, Eric czekał, nawet nie próbując zjeść tabletek – czuł się tak, jakby napierała na niego jakaś gęsta błona, nie był zdolny do działania ani do ucieczki, zawieszony gdzieś w połowie drogi między rzeczywistościami.

Ktoś wszedł do pokoju. Eric uniósł wzrok.

Człowiek. Młody mężczyzna z krótkimi włosami, ubrany w poplamiony i zmięty fartuch roboczy.

– Co jest, stary? – zagadnął. Za nim podążała, trzeszcząc stawami, recepcjonistka.

– Przepraszam za kłopot – powiedział Eric. – Możemy pogadać na osobności?

Młody mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jasne. – Wyprowadził Erica – z pokoju i zaprowadził do pomieszczenia, które wyglądało na magazyn, zamknął drzwi, spokojnie odwrócił się do Erica i oznajmił: – Ten zegarek wart jest trzysta dolarów, ona nie wie, co z nim zrobić, ma tylko mózg typu 600 – wiesz, jak to jest z tą klasą D. – Zapalił papierosa i podsunął Ericowi paczkę – cameli.

– Podróżuję w czasie – oświadczył Eric, biorąc papierosa.

– Pewnie. – Mężczyzna się roześmiał. Podsunął Ericowi zapaloną zapałkę.

- Nie słyszałeś o JJ-180? Robili go dokładnie tutaj. Po chwili namysłu młodzieniec odparł:
- Ale już dawno temu wstrzymano jego produkcję. Bo był toksyczny i silnie uzależniał.

W rzeczy samej nie robiono go po wojnie.

- Oni wygrali?
- „Oni”? Kto taki?
- Rigowie – wyjaśnił Eric.

– Rigowie – oświadczył mężczyzna – to my. Nie oni. Oni to Lilistar. Jeżeli podróżujesz w czasie, powinieneś wiedzieć o tym nawet lepiej ode mnie.

– Pakt Pokojowy...

– Nie było żadnego „Paktu Pokojowego”. Słuchaj, stary, w college’u napisałem pracę roczną z historii świata, chciałem zostać nauczycielem. Wiem wszystko o ostatniej wojnie, to była moja specjalność. Gino Molinari – który był sekretarzem generalnym ONZ, gdy rozpoczęły się działania wojenne – podpisał z rigami Protokół o Erze Powszechnego Zrozumienia, potem rigowie zaczęli walczyć ze Staryjczykami, a Molinari, zgodnie z Protokołem, stanął po stronie rigów i zwyciężyliśmy. – Mężczyzna uśmiechnął się. – A ten drag, od którego wedle twoich słów jesteś uzależniony, to broń, którą Hazeltine wyprodukował w 2055 roku, podczas wojny z Lilistarem, ale nic z tego nie wyszło, bo Freneksyci byli bardziej zaawansowani w farmakologii niż nawet my i błyskawicznie opracowali antidotum – które próbujesz właśnie kupić. Boże, musieli, je stworzyć, przecież wrzuciliśmy im ten śmierdny do wody pitnej, to był pomysł samego Mola. – Wyjaśnił: – Taki był wówczas przydomek Molinariego.

– W porządku – powiedział Eric. – Skończmy na tym. Chcę kupić to lekarstwo. Chcę wymienić je na zegarek. Czy to wystarczy? – Sięgnął do brązowej torby, którą trzymał cały czas w ręku, i wyciągnął buteleczkę. – Przynies mi trochę wody, daj mi to połknąć i wypuść mnie stąd, nie wiem, jak długo tu będę i kiedy wrócę do swoich czasów. Masz coś przeciwko temu? – Z trudem panował nad własnym głosem, który chciał się unieść i odlecieć. I cały się trząsł, choć sam nie wiedział dlaczego. Z gniewu, może ze strachu – najprawdopodobniej z dezorientacji. W tej chwili nie wiedział nawet, czy jest zdezorientowany.

– Spokojnie. – Mężczyzna, z papierosem w ustach, oddalił się, zapewne w poszukiwaniu wody. – Może być cola?

– Tak – odparł Eric.

Mężczyzna wrócił z butelką coca-coli i patrzył, jak Eric z trudem łyka po kolei tabletki.

W drzwiach pojawiła się recepcjonistka.

NIC MU NIE JEST?

– Nic – odparł młodzieniec, podczas gdy Eric przetykał ostatnią pigułkę.

WEŹMIESZ ZEGAREK?, Mężczyzna odebrał go od niej ze słowami:

– To oczywiście własność firmy, nie muszę tego dodawać. – Ruszył do wyjścia z magazynu.

– Czy mniej więcej pod koniec wojny sekretarzem ONZ był człowiek o nazwisku Donald Festenburg? – zawołał Eric.

– Nie – padła odpowiedź.

POZA LEKARSTWEM POWINIEN OTRZYMAĆ JAKĄŚ KWOTĘ W GOTÓWCE

Rigica wyciągnęła do mężczyzny migające pudełko z tymi słowami, młodzieniec przystanął, zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

– Sto dolarów – rzucił do Erica. – Bierzesz albo nie, mnie jest wszystko jedno.

– Biorę – odparł Eric i poszedł za tamtym do biura. Gdy mężczyzna odliczał mu pieniądze – dziwne, nieznane banknoty, niczego Ericowi nie przypominające – przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie. – Jak zakończyła się kadencja Gina Molinariego?

Mężczyzna uniósł wzrok.

– Zabito go.

– Zastrzelono?

– Tak, staromodnymi, ołowianymi pociskami. Jakiś fanatyk to zrobił. Z powodu pobłażliwej polityki imigracyjnej Mola, który pozwalał rigom osiedlać się na Ziemi. Powstało stronnictwo rasistowskie, obawiające się zanieczyszczenia krwi... jak gdyby ludzie i rigowie mogli mieć ze sobą potomstwo. – Młodzieniec roześmiał się.

Czyli to może być świat, pomyślał Eric, z którego Molinari wziął tego poszatkowanego przez pociski trupa, pokazanego mi przez Festenburga. Martwy Gino Molinari leżał pokiereszowany i zbryzgany krwią w wypełnionym helem pojemniku.

Z tyłu dobiegł go suchy, rzeczowy głos:

– Nie ma pan zamiaru, doktorze Sweetscent, zabrać antidotum na JJ-180 dla żony?

Powiedział to organizm całkowicie pozbawiony oczu, i ujrzawszy go, Eric pomyślał o owocach, na jakie natykał się w dzieciństwie, przejrzałych gruszkach leżących w bujnej trawie, pokrytych ruchliwymi warstwami żółtego robactwa, znuconego słodkim zapachem zgnilizny. Stworzenie miało kształt mniej więcej kuli. Wcisnęło się jednak w uprzęż, która dotkliwie zniekształcała jego miękkie ciało, z pewnością bez niej nie byłoby w stanie funkcjonować w środowisku Terry. Erica zastanawiało tylko jedno: dlaczego tej istocie na tym zależało.

– Czy on naprawdę podróżuje w czasie? – zapytał mężczyzna przy kasie, unosząc raptownie głowę i patrząc na Erica.

Umieszczone w plastikowej strukturze, kuliste stworzenie odpowiedziało za pomocą mechanicznego systemu audio:

– Tak, panie Taubman, podróżuje. – Przemieściło się w powietrzu w stronę Erica, zatrzymało się około stopy nad ziemią, wydając jakiś niewyraźny ssący odgłos, jak gdyby wciągało płyny przez sztuczne rurki.

– Ten gość – odezwał się Taubman do Erica, wskazując na kulę – pochodzi z Betelgeuzy.

Nazywa się Willy K. To jeden z naszych najlepszych chemików. – Zamknął kasę. – Jest telepatą, tak jak wszyscy z nich. Lubią szperać w mózgach ludzi i rigów, ale są nieszkodliwi. Lubimy ich. – Podeszedł do Willy'ego K, pochylił się i zapytał: – Słuchaj, skoro on podróżuje w czasie... to chyba nie możemy go tak po prostu stąd wypuścić, nie jest niebezpieczny albo do czegoś się nie przyda? Może przynajmniej wezwać policję? Myślałem, że oszalał albo robi sobie ze mnie jaja.

Willy K podpłynął do Erica, a po chwili znowu się odsunął.

– Nie ma sposobu, żeby go tutaj zatrzymać, panie Taubman. Gdy narkotyk przestanie działać, on wróci do swoich czasów. Niemniej chciałbym skorzystać z okazji i trochę go przesłuchać, dopóki tu jest. – Zwrócił się do Erica: – Chyba że pan się nie zgadza.

– Czyja wiem – odparł Eric, pocierając czoło. Czego jak czego, ale pytania Willy'ego K o Kathy zupełnie się nie spodziewał. Był już kompletnie zdezorientowany i pragnął tylko opuścić to miejsce – ta sytuacja go nie interesowała, nie ciekawiła.

– Rozumiem pana i współczuję panu – oświadczył Willy K. – Tak czy owak, oficjalne zadawanie panu pytań byłoby zwykłą błagą, i tak czytam z pana myśli, co mi się żywnie podoba. Miałem tylko nadzieję, że formułując moje pytania, udzielę zarazem, w miarę możliwości, odpowiedzi na niektóre pańskie wątpliwości. Na przykład dotyczące pańskiej żony. Rozdzierają pana sprzeczne uczucia w stosunku do niej, przede wszystkim strach, potem nienawiść, wreszcie całkiem sporo czystej miłości.

– O Jezu, ale ci Betelowie lubią bawić się w psychologów – zauważył Taubman. – To pewnie wrodzona skłonność telepatów, nie sądzę, żeby coś mogli na to poradzić. – Kręcił się w pobliżu, najwyraźniej interesowało go dochodzenie Willy'ego K.

– A mogę zabrać antidotum dla Kathy?

– Nie, ale może pan zapamiętać przepis. Dzięki czemu Hazeltine w pańskich czasach będzie mógł odtworzyć środek. Ale nie sądzę, żeby pan chciał to zrobić. Nie mam zamiaru pana zachęcać do... I nie mogę pana do tego zmusić.

– To znaczy, że jego żona jest uzależniona od JJ-180 – zaczął Taubman – a on nie ma zamiaru jej pomóc?

– Nie jesteś żonaty – zauważył Willy K. – W małżeństwie może narodzić się największa nienawiść, do jakiej zdolni są ludzie, być może przez ciągłą bliskość, być może dlatego, że niegdyś istniała tam miłość. Bliskość pozostaje, mimo że po miłości nie zostało ani śladu. I pojawia się żądza władzy, walka o dominację. – Wyjaśnił Taubmanowi: – Tak w ogóle, to żona go uzależniła, tak że jego uczucia są zupełnie zrozumiałe.

– Mam nadzieję, że ja się nigdy w coś takiego nie wpakuję – oznajmił Taubman. – Żeby nienawidzić kogoś, kogo się kiedyś kochało.

Jakiś czas temu rigica podeszła do nich i zaczęła słuchać rozmowy, odczytując jej przebieg z powierzchni translatora. Teraz dorzuciła swoje trzy grosze:

MIŁOŚĆ I NIENAWIŚĆ SĄ ZE SOBĄ ŚCIŚLE – ZWIĄZANE, BARDZIEJ NIŻ TERRANIE MYŚLĄ

– Ma pan jeszcze papierosa? – zwrócił się Eric do Taubmana.

– Jasne. – Młodzieniec podał mu paczkę.

– Najciekawsze z tego wszystkiego jest to – podjął Willy K – że doktor Eric Sweetscent pochodzi z wszechświata, w którym pakt zawarły Terra i Lilitar. I w tym momencie, to jest w ich roku 2055, toczy się wojna, którą oni stopniowo, lecz zdecydowanie przegrywają. Najwyraźniej nie jest to nasza przeszłość, ale całkiem inna, alternatywna. Ponadto odnajduję w jego umyśle niesamowicie ciekawą myśl, że ówczesny wódz Ziemi, Gino Molinari, odkrył już szereg światów równoległych i posługuje się nimi dla własnych doraźnych celów. – Po chwili ciszy Willy K oświadczył: – Nie, doktorze Sweetscent, po wydobyciu z pana pamięci obrazu trupa Molinariego mogę z całą pewnością stwierdzić, że nie pochodzi on z naszego świata, to prawda, że Molinari zginął w zamachu, ale pamiętam zdjęcia jego zwłok i dostrzegam jedną małą, lecz istotną różnicę. W naszym świecie sekretarz został wielokrotnie trafiony w twarz, tak że jego rysy były nie do rozpoznania. Trup, którego pan widział, nie został aż tak zmasakrowany, wobec czego przypuszczam, że wziął się z jeszcze innego świata, podobnego do naszego, lecz nie identycznego.

– To chyba dlatego pojawiło się tu tak niewielu podróżników w czasie – wtrącił Taubman. – Są porozrzucani po różnych możliwych przyszłościach.

– Co do energicznego Molinariego – ciągnął zamyślony Willy K. – Przypuszczam, że to jeszcze inna, alternatywna konfiguracja. Wie pan oczywiście, doktorze, że oznacza to że wasz sekretarz sam zażywał JJ-180, zatem groźba, że pana zabije, gdyby się pan uzależnił, ma w sobie coś z okrutnej hipokryzji. Ale z pewnych poszlak zawartych w pańskim umyśle domyślałem się, że Molinari posiada również wyprodukowane przez Staryjczyków antidotum, które pan przed chwilą połknął. Dlatego też niczego się nie obawia i może swobodnie przemieszczać się po światach.

Eric uświadomił sobie, że Mol mógł w każdej chwili podać antidotum jemu i Kathy.

Trudno było mu pogodzić się z tą informacją na temat Gina Molinariego, nie przypuszczał, że sekretarz jest aż tak nieludzki. Po prostu się z nami bawił, pomyślał Eric. Jak określił to Willy K, miało to w sobie coś z okrutnej hipokryzji.

– Proszę poczekać – ostrzegł go Willy K. – Nie wiemy, co miał zamiar zrobić, dopiero dowiedział się o pańskim nałogu, a właśnie jak zwykle cierpiał na atak swoich chronicznych chorób. Możliwe, że dałby panu lekarstwo później, póki miało to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

CZY MOGLĄBYM WIEDZIEĆ, O CZYM ROZMAWIACIE?

Recepcjonistka, podobnie jak Taubman, zgubiła wątek.

– Czy chciałby pan rozpocząć żmudny proces zapamiętania wzoru? – zapytał Willy K. –

Zajmie to cały czas który jeszcze panu pozostał.

– Zgoda – odparł Eric i skupił się na słuchaniu.

CHWILECZKĘ

Willy K urwał i zaintrygowany obrócił swoją uprząż,

DOKTOR DOWIEDZIAŁ SIĘ CZEGOŚ ZNACZNIE WAŻNIEJSZEGO NIŻ WSZELKIE FORMUŁY CHEMICZNE

– To znaczy? – zapytał ją Eric.

W PANA ŚWIECIE JESTEŚMY WASZYMI WROGAMI ALE TUTAJ WIDZIAŁ PAN, ŻE ŻYJEMY RAZEM, Z TERRANAMI. WIE PAN JUŻ, ŻE WOJNA Z NAMI NIE JEST KONIECZNA. I CO WAŻNIEJSZE, WIE TO TEŻ WASZ PRZYWÓDCA.

To prawda. Nic dziwnego, że Molinari nie miał serca do wojny. Nie było to tylko zwykłe podejrzenie z jego strony, że wdali się w niewłaściwą wojnę z niewłaściwym wrogiem i niewłaściwym sojusznikiem, był to fakt, którego sam doświadczył, być może wielokrotnie. A wszystko dzięki JJ-180.

Ale na tym nie koniec. Do tego dochodziło coś innego, coś tak złowieszczonego, że sam Eric się zdziwił, jakim cudem hamulce psychiczne jego umysłu pozwoliły tej myśli przedrzeć się z nieświadomości. JJ-180 zawędrowało na Lilistar – w dużych ilościach. I Staryjczycy z pewnością z nim eksperymentowali. Więc oni także znali alternatywne możliwości, wiedzieli, że Terra lepiej wyszłaby na sojuszu z rigami. Naocznie się o tym przekonali.

Lilistar przegrywało w obydwu scenariuszach rozwoju wypadków. Z Terrą i bez Terry u boku. Albo...

Czy istniała jeszcze trzecia możliwość w której Lilistar i rigowie walczyli z Ziemią?

– Sojusz między Lilistarem a rigami jest mało prawdopodobny – stwierdził Willy K. – Od zbyt dawna byli wrogami. Wydaje mi się, że języczkiem u wagi jest tylko pana planeta, na której teraz stoimy, tak czy inaczej, w każdym wypadku Lilistar będzie pokonany przez rigów.

– Ale to oznacza – powiedział Eric – że Staryjczycy nie mają nic do stracenia, skoro wiedzą, że nie wygrają... – Łatwo było sobie wyobrazić reakcję Freneksy'ego na takie wieści. Nihilizm i destrukcyjna gwałtowność Staryjczyków byłyby wówczas niepojęte.”,

– To prawda – przyznał Willy K. – Dlatego sekretarz robi słusznie, że dmucha na zimne. Teraz może pan zrozumie, dlaczego cierpi na tyle chorób, dlaczego musi posuwać się do skrajności, dotykać samej śmierci, żeby służyć swojemu ludowi. I dlaczego niechętnie podałby panu antidotum na JJ-180, gdyby agenci Lilistaru – do których zalicza się być może pańska żona – dowiedzieli się, że go posiada, mogliby... – Willy K umilkł. – Jak sam pan może zaobserwować, trudno jest przewidzieć zachowanie psychotyków. Jedno jest pewne: nie zignorowałyby tej sytuacji.

– Znalezliby sposób, aby odebrać mu antidotum – stwierdził Eric.

– Nie o to chodzi. Staraliby się go ukarać, wiedzieliby, że Molinari dysponuje zbyt wielką potęgą, że mogąc dowolnie używać JJ-180, bez możliwości uzależnienia czy degradacji układu nerwowego, nie podlega ich kontroli. Dlatego właśnie, w głębokim, psychosomatycznym sensie, Molinari może przeciwstawić się premierowi Frenekseyemu. Nie jest tak całkowicie bezradny.

– To już mnie przerasta – pożałował się Taubman. – Przepraszam bardzo. – Odszedł.

Recepcjonistka została.

PROSZĘ ZACHĘCIĆ SEKRETARZA DO NAWIĄZANIA KONTAKTU Z WŁADZAMI RIGÓW. POMOŻEMY OBRONIĆ ZIEMIĘ PRZED PRZED ZEMSTĄ LILISTARU, JESTEM PEWNA.

Była to, pomyślał Eric, cokolwiek romantyczna wiadomość, którą to wielorękie stworzenie objawiło mu za pomocą translatora. Rigowie mogą chcieć udzielić pomocy, lecz Staryjczycy są już na Ziemi, zajęli strategiczne pozycje. Na wieść, że Terra prowadzi negocjacje z rigami, natychmiast by zaatakowali, zgodnie z wcześniej przygotowanym planem, opanowaliby planetę w jedną noc.

Przez pewien czas mogłoby jeszcze istnieć niewielkie terrańskie państewko w okolicach Cheyenne, dzień i noc ostrzeliwane i bombardowane przez Staryjczyków. Lecz ono też wcześniej czy później by skapitulowało. Tarcza z otrzymywanego na Jowiszu rekseroidu nie chroniłaby go wiecznie – i Molinari o tym wiedział. Terra stałaby się państwem podbitym, dostarczającym Lilistarowi surowców i niewolników. A wojna trwałaby w najlepsze.

Co za ironia: jako planeta niewolnicza Terra brałaby w wojnie udział znacznie większy niż teraz, kiedy jest niby niezależna. I nikt nie wiedział tego lepiej niż Mol. Stąd cała jego polityka zagraniczna, to wyjaśniało wszystko, co robił.

– Tak nawiasem mówiąc – odezwał się Willy K, w którego głosie można było teraz usłyszeć rozbawienie. – Pana dawny pracodawca, Virgil Ackerman, ciągle żyje i kieruje Korporacją Futer i Barwników. Ma dwieście trzydzieści lat, na jego wezwanie czeka dwudziestu specjalistów od wszczepów. Czytałem gdzieś, że wykorzystał cztery zestawy nerek, pięć wątrób, trzustki i bliżej nieznaną liczbę serc...

– Niedobrze mi – powiedział Eric i zachwiał się na nogach.

– Ustaje działanie narkotyku. – Willy K przeleciał w stronę krzesła. – Panno Ceeg, proszę mu pomóc!

– Nic mi nie jest – odparł zgrubiałym głosem Eric. Bolała go głowa, ataki mdłości nie pozwalały ustać na nogach.

Wszystkie linie i powierzchnie wokół niego wykrzywiły się – krzesło, na którym siedział, straciło materialność i doktor nagle przewrócił się na bok.

– Przejście jest niełatwe – orzekł Willy K. – Wygląda na to, że nie jesteśmy mu w stanie pomóc, panno Ceeg. Proszę życzyć swojemu sekretarzowi dużo szczęścia, doktorze. Doceniam

jego służbę dla waszego ludu. Może nawet napiszę list do „New York Timesa”, dzieląc się moją wiedzą.

Pęk barw podstawowych otoczył Erica niczym iluminowany wiatr, to wiatr życia, pomyślał, owiewa mnie, niesie, gdzie chce, nie zważając na moje marne pragnienia. Po chwili wiatr zrobił się czarny: nie był już wiatrem życia, ale gęstym dymem śmierci.

Eric ujrzał, rozpostartą wokół niego jak jakieś pseudośrodowisko, parodię swojego uszkodzonego systemu nerwowego, rzesze kanałów były wyraźnie zniszczone, zrobiły się atramentowe w miejscach, gdzie przetoczył się przez Erica narkotyk i zostawił swój posępny ślad. Bezgłośny ptak, padlinożerca burzy, usiadł Ericowi na piersi, kracząc w ciszy, która pozostała po oddalających się wiatrach. Nie odleciał i Eric czuł, że cuchnące szpony zagłębiają mu się w płuca, w klatkę piersiową, potem w jamę brzuszną. Nic w nim nie pozostało nie dotknięte, wszystko było zniekształcone i nawet antidotum tego nie powstrzymało. Do końca życia nie odzyska pierwotnej czystości ciała.

Taką cenę kazały mu zapłacić siły rządzące światem.

Eric zdołał kucnąć, zorientował się, że jest w jakiejś pustej poczekalni. Nikt go nie widział, mógł swobodnie wstać i pójść. Podniósł się na nogi, podpierając się na chromowym, obitym skórą krześle.

Czasopisma w pobliskim stojaku były w języku angielskim. Na ich okładkach – roześmiani Terranie. Już nie rigowie.

– Życzy pan sobie czegoś? – Męski, nieco sepleniący głos. Pracownik Hazeltine w modnym, kwiecistym stroju.

– Nie – odparł Eric. Znalazł się w swoich czasach, rozpoznał realia 2055 roku. – Ale mimo wszystko dziękuję.

Po chwili z trudem szedł w kierunku chodnika, przebywając wysadzaną sekwojami ścieżkę.

Potrzebna mu była taksówka, w której mógłby usiąść i odpocząć, jadąc z powrotem do Cheyenne. Dostał już to, czego chciał. Najprawdopodobniej wyzwolił się z nałogu i gdyby się postarał, mógłby również ocalić żonę. Na dodatek poznał świat, na który nie padał wszechobecny cień Lilistaru.

– Zawieźć pana dokądś? – Podjechała do niego autonomiczna taksówka.

– Tak – odparł i ruszył w stronę pojazdu.

Przypuśćmy, że wszyscy Terranie zażyli narkotyk, pomyślał, wsiadając do środka. Masowa ucieczka od naszej ponurej, stale ograniczanej rzeczywistości. Przypuśćmy, że Korporacja wydała polecenie, że należy wyprodukować ogromne ilości JJ-180 i dzięki pomocy rządu rozproszyla go wśród wszystkich ludzi. Czy byłoby to etyczne rozwiązanie? Mamy prawo do czegoś takiego?

Tak czy owak, to niemożliwe. Wyprzedziliby ich Staryjczycy.

– Dokąd mam lecieć, proszę pana? – spytała taksówka. Postanowił przebyć nią całą drogę, podróż potrwa tylko kilka minut dłużej.

– Do Cheyenne.

– Nie mogę, proszę pana. Nie tam. – Pojazd był chyba zdenerwowany. – Proszę podać inną...

– Dlaczego nie? – Eric natychmiast oprzytomniał.

– Bo jak wiadomo, całe Cheyenne należy do nich. Do nieprzyjaciela. – Pojazd dodał: – A, jak pan wie, wkraczanie na teren wroga jest niezgodne z prawem.

– Co to za nieprzyjaciel?

– Zdrajca Gino Molinari – odparła taksówka. – Który dopuścił się zdrady podczas wojny, sam pan wie. Były sekretarz ONZ, który spiskował z agentami rigów w celu...

– Który jest dzisiaj? – zapytał Eric.

– 15 czerwca 2056 roku.

Nie udało mu się – być może wskutek działania antidotum – powrócić do teraźniejszości, wylądował o rok później i nie mógł nic na to poradzić. A nie zostawił sobie narkotyku, oddał wszystko Kathy na lotnisku, więc ugrzązł tutaj, najwyraźniej na opanowanym przez Staryjczyków terytorium. Opanowanym jak większość Ziemi.

Ale Gino Molinari żył! Jeszcze się trzymał, Cheyenne nie padło w ciągu dnia czy nawet tygodnia – być może – rigowie zdołali przysłać agentom ochrony posiłki.

Może się tego dowiedzieć od taksówki. Podczas podróży.

A Don Festenburg mógł mi o tym wszystkim powiedzieć zdał sobie sprawę Eric, bo przeniosłem się dokładnie do tego okresu, kiedy spotkałem się z nim w gabinecie, gdzie pokazał mi sfałszowaną homeogazetę, ubrany w fałszywy mundur sekretarza ONZ.

– Leć na zachód – polecił taksówce. Muszę wrócić do Cheyenne, pomyślał. W jakiś sposób, jakąś drogą.

– Tak, proszę pana – odparł pojazd. – Nawiasem mówiąc nie okazał mi pan pozwolenia na podróż. Czy mogę je zobaczyć? To oczywiście czysta formalność.

– Co za pozwolenie? – Ale Eric wiedział, pewnie chodzi o dokument wydawany przez władze okupacyjne Lilistaru, bez którego Terranie nie mogą swobodnie się poruszać. Była to podbita planeta i wciąż znajdowała się w stanie wojny.

– Bardzo pana proszę – powiedział pojazd i znowu zaczął opadać w dół. – Zatem jestem zmuszony zawieźć pana na najbliższy posterunek staryjskiej żandarmerii wojskowej, który jest o jedną milę na wschód. Krótka podróż z tego miejsca.

– Jasna sprawa – zgodził się Eric. – Zresztą z każdego miejsca, nie tylko z tego.

Pojazd opadał coraz niżej.

– Ma pan rację, proszę pana. To bardzo dogodne, – taksówka wyłączyła silnik i sunęła dalej siłą rozpędu.

– Wiesz co – odezwał się Eric, gdy koła taksówki dotknęły ziemi, pojazd przejechał kawałek i przystanął przy krawężniku, Eric zobaczył przed sobą złowieszczą budowlę z uzbrojonymi strażnikami u wejścia. – Zawrę z tobą umowę.

– Jaką umowę? – zapytał podejrzliwie automat.

– Moje pozwolenie zostało w korporacji Hazeltine – pamiętasz, skąd mnie zabrałeś? Razem z portfelem. I wszystkimi pieniędzmi. Jeżeli wydasz mnie żandarmom, moje pieniądze nie będą dla mnie nic warte, sam wiesz, co ze mną zrobią.

– Tak, proszę pana – zgodził się pojazd. – Zostanie pan skazany na śmierć. Takie są nowe przepisy, wprowadzone w życie ustawą z dziesiątego maja. Podróż bez zezwolenia...

– Więc może lepiej byłoby, gdybym dał ci te pieniądze? Jako napiwek. Zawieziesz mnie z powrotem do Hazeltine, wezmę portfel, pokażę ci pozwolenie i już nie będziesz musiał wieźć mnie znowu tutaj. I zatrzymasz pieniądze. Widzisz sam, jak ja na tym korzystam i jak ty korzystasz.

– Obydwoje na tym zyskamy – zgodził się pojazd. Autonomiczne obwody stuknęły szybko, gdy rozważał propozycję. – Ile ma pan pieniędzy?

– Pracuję w Hazeltine jako kurier. W portfelu mam około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

– Rozumiem! W papierach okupacyjnych czy w przedokupacyjnych banknotach ONZ?

– Oczywiście tych drugich!

– Zgadza się! – przystał ochoczo pojazd. I znowu wystartował. – Nie można powiedzieć, że odbył pan podróż w ścisłym tego słowa znaczeniu, ponieważ podał pan cel leżący na terytorium wroga, a ja ani przez chwilę nie zmierzałem w tamtą stronę. Nie złamaliśmy żadnego prawa. – Skręcił w stronę Detroit, żądny łupu.

Gdy wylądował na parkingu korporacji Hazeltine, Eric pospieszenie wysiadł.

– Zaraz wracam. – I pognał chodnikiem do wejścia, po chwili znalazł się w środku. Przed nim rozciągają się ogromne laboratorium.

Odezwał się do pierwszego napotkanego pracownika:

– Nazywam się Eric Sweetscent, pracuję w zespole Virgila Ackermana, a zdarzył się pewien wypadek. Czy może pan skontaktować się dla mnie z panem Ackermanem z Korporacji Farb i Barwników?

Pracownik – jakiś urzędnik – zawahał się.

– Myślałem... – Przerażony zniżył głos. – Czy pan Virgil Ackerman nie przebywa w Wasz-35 na Marsie? Korporacją Farb i Barwników zarządza obecnie pan Jonas Ackerman, a wiem, że w Tygodniowym Biuletynie Bezpieczeństwa pan Virgil Ackerman został nazwany zbrodniarzem wojennym, bo uciekł po rozpoczęciu okupacji.

– Czy może pan wobec tego skontaktować się z Wasz-35?

– Z terytorium wroga?

– To proszę połączyć się z Jonasem. – Eric niewiele więcej mógł zrobić. Bezsilny poszedł za urzędnikiem do biura.

Po nawiązaniu połączenia ukazała się na ekranie twarz Jonasa, który na widok Erica zamrugał i wyjąkał:

– Ale... Ciebie też dopadli? – Wyduśił: – Dlaczego wyjechałeś z Wasz-35? Mój Boże, przecież tam byłeś z Virgilem bezpieczny. Kończę, to jakaś pułapka. Żandarmi... – Ekran opustoszał. Jonas pospiesznie przerwał połączenie.

Więc jego drugie ja, żyjące w normalnym czasie, o rok późniejsze ja, uciekło z Virgilem do Wasz-35, to niesamowicie dodawało mu otuchy – niemal niewiarygodnie podtrzymywało na duchu. Niewątpliwie rigom udało się...

Jego o rok późniejsze ja.

Oznaczało to, że jakoś wrócił do 2055 roku. Bo inaczej nie byłoby Erica z 2056 roku, który zbiegł z Virgilem. A do 2055 roku mógł się przenieść tylko za pomocą JJ-180.

I jedyne źródło narkotyku było tutaj. Eric stał na jedynym właściwym miejscu na całej planecie, całkiem przypadkowo, dzięki sztuczce dokonanej kosztem debilnej taksówki.

Eric odnalazł urzędnika i oświadczył:

– Mam zarekwirować pewną ilość narkotyku o nazwie frohedadryna. Sto miligramów. W ogóle to się spieszę. Mam okazać dokumenty? Mogę dowieść, że pracuję w Korporacji. – Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. – Proszę wezwać Berta Hazeltine'a. On mnie rozpozna. – Hazeltine z pewnością będzie pamiętał spotkanie w Cheyenne.

– Ale pan Hazeltine został zastrzelony – wymamrotał urzędnik. – Na pewno pan to pamięta, jak to możliwe, że nie? Kiedy przejęli ten zakład w styczniu.

Wyraz twarzy Erica musiał zdradzać zszokowanie, bo urzędnik nagle zaczął się zachowywać inaczej.

– Chyba był pan jego przyjacielem – powiedział.

– Tak. – Eric skinął głową, można i tak powiedzieć.

– Bert był dobrym pracodawcą, nie to, co te staryjskie sukinsyny. – Urzędnik podjął decyzję.

– Nie wiem, co pan tu robi i jaki ma pan problem, ale dam panu sto miligramów JJ-180. Wiem, gdzie go trzymają.

– Wielkie dzięki.

Mężczyzna szybko się oddalił. Czas mijał. Ciekawe, pomyślał Eric, czy taksówka ciągle jeszcze czeka na parkingu? Czy, gdyby doprowadził ją do ostateczności, usiłowałaby wlecieć do budynku i odszukać Erica? Absurdalna, niepokojąca, a jednak niepokojąca myśl: autonomiczna taksówka wdziera się do zakładu, przebijając – albo usiłując przebić – betonową ścianę.

Urzędnik wrócił i podał Ericowi garść kapsulek.

Eric wyjął kubek z pobliskiej chłodziarki, napełnił go wodą, włożył do ust kapsułkę, uniósł dłoń, aby ją popić.

– To JJ-180 ze zmienionym ostatnio składem – odezwał się urzędnik, bacznie go obserwując.

– Wolę to panu powiedzieć, skoro widzę, że chce to pan zażyć. – Był teraz całkowicie blady.

Eric opuścił dłoń z kubkiem, wyjął kapsułkę z ust i zapytał:

– W jaki sposób zmienionym?

– Wciąż wciąga w nałóg i niszczy wątrobę, ale nie wywołuje halucynacji związanych z podróжами w czasie – wyjaśnił urzędnik. – Kiedy przybyli tu Staryjczy, kazali naszym chemikom zmodyfikować substancję, to ich pomysł, nie nasz.

– Dlaczego? – Dobry Boże, co komu po narkotyku, który tylko uzależnia i niszczy organizm?

– Bo to broń w wojnie z rigami. I... – Mężczyzna zawahał się. – Wykorzystuje się ją też do uzależniania zbuntowanych Terran, którzy przeszli na stronę nieprzyjaciela. – Z tego ostatniego nie był chyba zbyt zadowolony.

Eric cisnął pigułki JJ-180 na stół laboratoryjny i oświadczył:

– To ja rezygnuję. – Nagle przyszedł mu do głowy jeszcze jeden – raczej kiepski – pomysł: – Czy jeżeli dostanę pozwolenie od Jonasa, dostarczycie mi firmowy statek? Zadzwońię do niego jeszcze raz, to mój stary przyjaciel. – Skierował się do wideofonu, z urzędnikiem depczącym mu po piętach. Gdyby tylko Jonas go wysłuchał...

Do laboratorium weszło dwóch staryjskich żandarmów, za nimi, na parkingu, Eric dostrzegł ich statek patrolowy, stojący obok autonomicznej taksówki.

– Jest pan aresztowany – oznajmił jeden z żandarmów, celując w Erica jakimś dziwnie ukształtowanym prętem. – Za podróżowanie bez zezwolenia i oszustwo. Pańska taksówka zmęczyla się czekaniem i zadzwoniła do nas ze skargą.

– Jakie oszustwo? – zapytał Eric, urzędnik roztropnie czmychnął. – Pracuję w Tijuńskiej Korporacji Futer i Barwników, jestem tu w interesach.

Dziwny pręt rozjarzył się i Eric poczuł się tak, jakby ktoś dotknął jego mózgu, bez wahania ruszył w kierunku drzwi laboratorium, odruchowo i niepotrzebnie dotykając prawą ręką czoła. Dobrze już, pomyślał. Idę. Przeszła mu wszelka ochota na stawianie staryjskim żandarmom oporu, a nawet na spieranie się z nimi, cieszył się, że wchodzi do ich statku.

Po chwili wystartowali, statek sunął nad dachami Detroit, kierując się do położonych dwie mile dalej koszar.

– Zabijmy go od razu – odezwał się jeden z żandarmów do towarzysza. – I wyrzucmy ciało, po co wieść go do koszar?

– Cholera, możemy go tylko wypchnąć – zaproponował drugi żandarm. – Upadek go zabije.

– Nacisnął przycisk na desce rozdzielczej i otworzył się pionowy właz, Eric zobaczył w dole budynki i mieszkadła miasta. – Miłych wrażeń w drodze na dół – powiedział żandarm do Erica. Chwycił go za ramię, wykręcił je, sprowadzając bezradnego Erica do parteru, po czym popchnął go do włazu. Zrobił to wszystko fachowo, Eric znalazł się na skraju otworu, a wtedy żandarm puścił go, żeby samemu nie wypaść.

Poniżej statku patrolowego pojawił się inny statek, większy, podziurawiony i odrapany, jakiś okręt międzyplanetarny, najeżony działami, leciał brzuchem do góry, unosząc się na podobieństwo dużego wodnego drapieznika. Precyzyjnie wystrzelił mikropocisk w otwarty właz, trafiając żandarma, który stał obok Erica, w następnej chwili wypaliło jedno z większych dział i przednia część statku patrolowego eksplodowała i odleciała w bok, zasypując Erica i drugiego żandarma gradem stopionych odłamków.

Statek staryjski runął jak kamień na miasto w dole.

Obudziwszy się z osłupienia, pozostały przy życiu żandarm rzucił się w stronę ściany pojazdu i uruchomił awaryjny, ręczny układ sterowania. Statek przestał opadać – unosił się na wietrze, zakreślając spiralę, aż w końcu grzmotnął w ziemię, zaczął podskakiwać i ślizgać się na ulicy, mijając koła i taksówki, uderzył przodem w krawężnik, uniósł ogon w powietrze i znieruchomiał.

Żandarm stanął na nogach, chwycił pistolet i z trudem dotarł do włazu, przykucnął z boku i zaczął strzelać. Po trzecim strzale padł na plecy, pistolet wysunął mu się areki i przetoczył po podłodze. Sam policjant zwinął się w kulę, przeturlał się bezradnie niczym przejechane zwierzę, aż w końcu zderzył się ze ścianą. W tym miejscu pozostał, prostując się stopniowo i odzyskując ludzki kształt.

Podziurawiony, usmolony statek wojskowy wylądował tuż obok na ulicy. W przedniej części kadłuba otworzył się właz, z którego wyskoczył jakiś mężczyzna. Gdy Eric wydostał się z wraku, tamten natychmiast do niego podbiegł.

– Cześć – wydyszał mężczyzna. – To ja.

– To znaczy kto? – zapytał Eric, na pewno znał człowieka, który stoczył walkę ze statkiem żandarmów – miał przed sobą twarz, którą widział mnóstwo razy, choć teraz była ona odmieniona, widoczna pod dziwnym kątem, jakby wywrócona na nice, wyżęta przez nieskończoność. Mężczyzna miał przedziałek z niewłaściwej strony, toteż jego głowa sprawiała wrażenie krzywo osadzonej, wszystkie rysy wyglądały na wypaczone. Erica zdumiała fizyczna brzydota tego mężczyzny. Był za gruby i nieco za stary. Nieprzyjemnie siwy. Zobaczenie siebie w takim stanie, bez wcześniejszego przygotowania, było wstrząsem, czyja naprawdę tak wyglądam? – pomyślał ponuro Eric. Co się stało ze schludnym młodzieńcem, którego obraz najwyraźniej wciąż nakładał codziennie rano na lusterko podczas golenia... którym zastępował widok tego człowieka wkraczającego w wiek średni?

– Więc utylem, no i co z tego? – zapytał Eric z 2056 roku. – Na miłość boską, uratowałem ci życie, mieli zamiar wyrzucić cię na zbity pysk.

– Wiem – odparł rozdrażniony Eric z 2055 roku. Ruszył biegiem obok mężczyzny, który był nim samym, wsiedli do okrętu międzyplanetarnego i jego ja z 2056 roku niezwłocznie zatrzasnęło właz i skierowało pojazd w niebo, wychodząc z zasięgu wszelkich patrołów staryjskiej żandarmerii. Najwyraźniej był to nowoczesny okręt, żadna tam barka.

– Bez obrazy dla twojej inteligencji – zaczęło jego ja z przyszłości – którą osobiście uważam za bardzo wysoką, chciałbym przedstawić ci kilka idiotycznych aspektów twojego planu. Po pierwsze, gdybyś zdobył pierwotną wersję JJ-180, zostałbyś przeniesiony w przyszłość, a nie do 2055 roku, i znowu wpadłbyś w nałóg. Potrzebujesz – i przez pewien czas chyba zdawałeś sobie z tego sprawę – nie JJ-180, ale czegoś, co zrównoważyłoby skutki działania antidotum. – Eric z 2056 roku wskazał głową. – Mam to w płaszczu. – Płaszcz wisiał na magnetycznym uchwycie na ścianie. – Hazeltine musiał to stworzyć w ciągu roku. W zamian za dostarczenie im przez ciebie recepty na antidotum – nie mógłbyś dać im przepisu, gdybyś nie mógł wrócić do 2055 roku. A wiesz, że tam wróciłeś. Czy raczej: wrócisz.

– Czyj to statek? – Okręt zrobił na nim wrażenie. Potrafił bez problemów ominąć siły zbrojne Lilistaru, bez trudu wdrzeć się poza linię frontu, na obstawioną patrolami Terre.

– Rigów. Dali go Virgilowi w Wasz-35. Na wszelki wypadek. Kiedy upadnie Cheyenne, co się niewątpliwie stanie, prawdopodobnie za jakiś miesiąc, przewieziemy Molinarię na Marsa.

– Jak on się czuje?

– O wiele lepiej. Robi to, co chce, co wie, że powinien robić. Poza tym... ale sam się tego dowiesz. Weź antidotum na antidotum Lilistaru.

Eric pogrzebał w kieszeniach płaszcza, znalazł tabletki i połknął je bez popijania.

– Słuchaj – zaczął. – A co z Kathy? Powinniśmy się naradzić. – Dobrze było mieć kogoś, z kim mógł pogadać o najbardziej prześladowającym go i dręczącym problemie, nawet jeśli ten rozmówca był tylko nim samym. Przynajmniej osiągnął iluzję współpracy.

– Cóż, odzwyczyłeś – odzwyczyasz – ją od JJ-180. Ale już po tym, jak jej organizm doznał straszliwych uszkodzeń. Nigdy już nie będzie ładna, nawet za pomocą chirurgii plastycznej, do której będzie się kilkakrotnie uciekać, zanim da za wygraną. To nie wszystko, ale wolę ci więcej nie mówić, żeby nie pogarszać twojego i tak trudnego położenia. Spytałem tylko: czy słyszałeś o zespole amnestycznym Korsakowa?

– Nie – odparł Eric. Ale oczywiście słyszał. Był przecież lekarzem.

– To rodzaj psychozy, normalnie występującej u alkoholików, występuje wskutek nieodwracalnego uszkodzenia tkanki kory mózgowej, wywołanego długimi okresami zatrucia. Może jednak również pojawić się po długotrwałym zażywaniu narkotyków.

– Mówisz, że Kathy ma zespół Korsakowa?

– Pamiętasz, że czasami nie jadła nic przez trzy dni z rzędu? Pamiętasz jej napady agresji – oraz paranoiczne pomysły, że wszyscy postępują wobec niej podle? To zespół Korsakowa, który nie jest skutkiem JJ-180, lecz wszystkich narkotyków, które brała wcześniej. Lekarze w Cheyenne, przygotowując ją do przewiezienia z powrotem do San Diego, zrobili jej elektroencefalogram i wykryli tę chorobę. Opowiedzą ci o wszystkim wkrótce po twoim powrocie do 2055 roku. Więc przygotuj się. – Eric z przyszłości dodał: – To nieuleczalne. Nie muszę tego dodawać. Nie wystarczy odstawienie środków toksycznych.

Obydwaj na chwilę zamilkli. Potem znowu odezwał się Eric z 2056 roku:

– Ciężko jest być mężem kobiety o cechach psychotycznych. Która również jest wyniszczona fizycznie. Wciąż jest moją żoną. Naszą żoną. Przynajmniej robi się spokojna po podaniu fenotiazyny. Wiesz, to ciekawe, że nie byłem – nie byliśmy – w stanie rozpoznać przypadku, który mieliśmy pod nosem dzień i noc. Taki gorzki komentarz do zaślepiających aspektów subiektywności i przyzwyczajenia. Naturalnie choroba rozwijała się powoli, często ukrywała swoją tożsamość. Sądzę, że wcześniej czy później trzeba będzie umieścić Kathy w zakładzie zamkniętym, ale póki co, odkładam to na potem. Może do czasu, kiedy wygramy już wojnę. A wygramy ją.

– Skąd wiesz? Dzięki JJ-180?

– Nikt już nie korzysta z JJ-180, tylko Lilistar, a i to, jak sam wiesz, wyłącznie ze względu na działanie toksyczne i uzależniające. Odkryto tyle alternatywnych przyszłości, że analizę ich związków z naszym światem trzeba było odłożyć na czasy powojenne. Obaj przecież wiemy, że dokładne przetestowanie nowego narkotyku może potrwać dosłownie lata. Ale wojnę oczywiście wygramy, rigowie opanowali już połowę Imperium Lilistaru. Teraz posłuchaj. Mam dla ciebie instrukcje, które musisz wypełnić, w przeciwnym razie może powstać kolejna alternatywna przyszłość i nie dojdzie do mojego starcia z żandarmami.

– Rozumiem – powiedział Eric.

– W Arizonie, w obozie jenieckim numer 29, siedzi major z rigyjskiego wywiadu. Jego kryptonim to Deg Dal II. Dzięki temu z nim się skontaktujesz, bo to terrański kryptonim, nie ich. Wyobraź sobie, że władze obozu kazały mu badać roszczenia ubezpieczeniowe składane pod adresem rządu, aby wykrywał oszustwa. Zatem wciąż przesyła informacje swoim przełożonym, chociaż jest jeńcem. To on będzie łącznikiem między Molinarim i rigami.

– Co mam z nim zrobić? Zabrać do Cheyenne?

– Do Tijuany Do siedziby Korporacji. Kupisz go od władz obozu, to niewolnik. Pewnie nie miałeś pojęcia, co, że duże zakłady przemysłowe mogły wtedy za darmo uzyskiwać siłę roboczą z obozów jenieckich? Tak czy owak, kiedy zjawisz się w obozie numer 29, powiesz im, że jesteś z Korporacji i potrzebujesz inteligentnego riga, będą wiedzieli, o co ci chodzi.

– Człowiek uczy się całe życie – zauważył Eric.

– Największy problem będziesz miał z Molinarim. Musisz namówić go do przyjazdu do Tijuany na spotkanie z Deg Dal Ilem, co będzie pierwszym ogniwem w łańcuchu okoliczności, które doprowadzą Terre do uwolnienia się od Lilistaru i zbliżenia się do rigów bez ryzyka ogólnej rzezi. Już mówię, dlaczego będzie to trudne. Molinari ma pewien plan. Dał się wciągnąć w osobistą walkę, jeden na jednego, z premierem Freneksym, zdaniem Moła, zagrożona jest jego męskość. Dla niego nie jest to abstrakcja, to coś namacalnego i konkretnego. Widziałeś na wideo tego energicznego, dumnego Molinariego. To jego tajna broń, jego V-2. Zaczyna korzystać ze zdrowych wersji samego siebie z szeregu światów równoległych, a zdaje sobie sprawę, że ma ich do dyspozycji całkiem sporo. Jego cała filozofia, jego punkt odniesienia, opiera się na tym, żeby otrzeć się o śmierć, ale jednak ją przewyciężyć. W potyczkach z premierem Freneksym – którego się boi – może umierać tysiące razy i wciąż zmartwychwstawać. Proces degeneracji, rozwój schorzeń psychosomatycznych, ustanie natychmiast po pojawieniu się na arenie zdarzeń pierwszego zdrowego Molinariego. Wrócisz do Cheyenne akurat na czas, żeby obejrzeć to na własne oczy. Tego wieczoru wideo zostanie odtworzone przez wszystkie sieci telewizyjne. W porze największej oglądalności.

– Zatem teraz musi być tak chory, jak nigdy w życiu – powiedział zamyślony Eric.

– Czyli nadzwyczajnie chory, doktorze.

– Tak, doktorze. – Eric przyjrzał się swojemu odpowiednikowi z 2056 roku. – Nasze diagnozy są identyczne.

– Dziś wieczorem – w twoim czasie, nie moim – Premier Freneksy zażąda, z powodzeniem, kolejnej konferencji z Molinarim. Na sali pojawi się zdrowy, energiczny sobowtór Molinariego... podczas gdy chory Molinari, nasz Molinari, będzie odpoczywał w prywatnym apartamencie na piętrze strzeżony przez ochronę, oglądając wideo w telewizji i łechtając swoją próżność myślami, jak łatwo udało mu się uniknąć Freneksy'ego i jego coraz większych żądań.

– Przypuszczam, że zdrowy Molinari z alternatywnej Terry dobrowolnie bierze w tym wszystkim udział.

– Jest zachwycony. Jak wszyscy z nich. Dla wszystkich niemal najważniejsze w życiu jest stoczenie uwieńczonej zwycięstwem walki z Freneksym, z chwytami powyżej i poniżej pasa. Molinari jest politykiem i żyje polityką – która go jednocześnie zabija. Zdrowy Molinari po konferencji z Freneksym, dostanie swojego pierwszego ataku skurczów odźwiernika, i jego też zaczną dręczyć choroby. I tak dalej, jeden Molinari za drugim, aż w końcu Freneksy umrze, bo kiedyś musi umrzeć, miejmy nadzieję, że przed Molinarim.

– Aby pokonać Molinariego pod tym względem, trzeba się sporo napracować – zauważył Eric.

– Ale to wszystko nie jest nienormalne, pochodzi wprost ze średniowiecza, to takie starcie rycerzy w zbrojach. Molinari to Artur z raną od włóczni w boku, zgadnij, kim jest Freneksy.

Najciekawsze dla mnie jest to, że na Lilitarze w żadnej epoce nie było rycerstwa, zatem Freneksy nie może tego pojąć. Dla niego jest to zwykła walka o ekonomiczną dominację, kwestia tego, kto rządzi czyimi fabrykami i kto może przejąć czyją siłę robocze.

– Żadnego romansu – stwierdził Eric. – A co z rigami? Czy oni rozumieją Mola? Czy w ich historii był okres rycerstwa?

– Mają cztery ręce i chitynowy pancerz – stwierdził jego odpowiednik z 2056 roku. – Zobaczyc ich w akcji to by było coś. Nie mam pojęcia, bo ani ja, ani ty, ani żaden inny znany mi Terranin nie zadał sobie nigdy trudu, żeby zbadać cywilizację rigów tak, jak powinno się ją zbadać. Zapamiętałeś nazwisko agenta rigów?

– Deg coś tam.

– Deg Dal II. Pomyśl na przykład tak: degustacja dalszych ilości.

– Jezus Maria – jęknął Eric.

– Robi ci się niedobrze na mój widok, nie? Cóż, z wzajemnością, jesteś jakiś sflaczały, płaczkliwy, okropnie się garbisz. Nic dziwnego, że skończyłeś z taką żoną, jak Kathy, zasłużyłeś sobie na swój los. Może w ciągu najbliższego roku okazałoby się, że stać cię na więcej? Może wziąłbyś się w garść i znalazł sobie inną kobietę, tak że kiedy nastanie mój czas, rok 2056, sprawy nie będą wyglądały aż tak paskudnie? Należy mi się to, w końcu ocaliłem ci życie, wyrwałem cię z łap Staryjczyków. – Jego odpowiednik z 2056 roku popatrzył na niego groźnie.

– Jaką kobietę proponujesz? – zapytał ostrożnie Eric.

– Mary Reineke.

– Zupełnie ci odbiło.

Słuchaj: mniej więcej za miesiąc, twojego czasu, Mary i Molinari się pokłócą. Możesz to wykorzystać, ja nie zdołałem, ale to można zmienić, możesz urządzić nam nieco inną przyszłość, wszystko takie same oprócz sytuacji matrymonialnej. Rozwiedź się z Kathy i ożeń z Mary Reineke, albo kimś innym, kimkolwiek. – W głosie Erica z przyszłości pojawiła się nagle rozpacz. – Mój Boże, co też mnie czeka, trzeba będzie ją zamknąć, i to na resztę życia – nie chcę tego robić, chcę wydostać się z tej matni.

– Z nami czy bez nas...

– Wiem. I tak tam skończy. Ale czemu akurat ja muszę to jej zrobić? Działając wspólnie, powinniśmy być silniejsi. Nie będzie łatwo, podczas sprawy rozwodowej Kathy będzie walczyć jak lwica. Ale wnieś sprawę do sądu w Tijuanie, meksykańskie prawo rozwodowe jest liberalniejsze od amerykańskiego. Znajdź dobrego adwokata. Ja już jednego wybrałem. Mieszka w Ensenadzie. Jesus Guadarala. Zapamiętasz? Nie udało mi się rozpocząć poprzez niego procesu, ale do diabła, tobie się to uda. – Spojrzał na Erica z nadzieją.

– Spróbuję – zadeklarował Eric.

– Teraz muszę cię wysadzić. Za kilka minut zacznie działać antidotum i wolałbym, żebyś nie

spadał z pięciu mil na powierzchnię naszej planety. – Statek zaczął obniżać lot. – Wypuszczę cię w Salt Lake City, to duże miasto, nie będziesz zwracał na siebie uwagi. A kiedy wrócisz do 2055 roku, będziesz mógł wziąć taksówkę do Arizony.

– Nie mam pieniędzy z 2055 roku – przypomniał sobie Eric. – Czy jednak mam? – Czuł zamęt w głowie, za dużo się zdarzyło. Zaczął szukać portfela. – Wpadłem w panikę, gdy próbowałem zapłacić za antidotum w Hazeltine banknotami z czasów...

– Nie rozwódź się nad szczegółami. Już je znam. Resztę drogi pokonali w milczeniu, narzucanym przez ponurą pogardę, jaką do siebie nawzajem żywili. Oto, uznał Eric, naoczny dowód, jak konieczny jest szacunek dla własnej osoby. To po raz pierwszy pozwoliło mu zrozumieć jego fatalistyczne, niby-samobójcze skłonności... które niewątpliwie zrodziły się z tej samej wady. Aby przetrwać, będzie musiał nauczyć się inaczej patrzeć na siebie i swoje czyny.

– Tracisz czas – odezwał się jego towarzysz, gdy wylądowali na nawodnionym pastwisku pod Salt Lake City. – I tak się nie zmienisz.

Gdy Eric wyszedł na wilgotną, giętką koniczynę, rzucił za siebie:

– To ty tak sądzisz. Ale poczekamy, zobaczymy.

Jego odpowiednik z 2056 roku bez słowa zamknął właz i wystartował, statek wystrzelił w niebo i zniknął.

Eric powłókł się w stronę najbliższej brukowanej drogi.

W Salt Lake City złapał taksówkę. Nie poprosiła o pozwolenie na podróż, więc zorientował się, że niezauważalnie, prawdopodobnie na drodze do miasta, cofnął się o rok w przeszłość i wrócił do swojego czasu. Wolał się jednak upewnić.

– Podaj mi dzisiejszą datę – polecił.

– 15 czerwca, proszę pana – oznajmił pojazd, sunąc z brzękiem ponad zielonymi górami i dolinami.

– Którego roku?

– Jest pan jakimś Ripem Van Winkle'em czy co, proszę pana? Mamy rok 2055. I mam nadzieję, że to pana satysfakcjonuje. – Taksówka była stara i nieco zapuszczona, przydałby jej się remont, w działaniu autonomicznych obwodów wyczuwało się rozdrażnienie.

– Satysfakcjonuje – odparł Eric.

Skorzystał z wideofonu i dowiedział się w centrum informacyjnym w Phoenix, gdzie znajduje się obóz jeniecki, ta informacja nie była tajna. Taksówka leciała nad płaskimi pustkowiami, monotonnymi, skalistymi wzgórzami i zagłębieniami, w których niegdyś znajdowały się jeziora. Nagle wylądowała wśród tej jałowej, niezagospodarowanej dziczy, dotarli do obozu numer 29, który znajdował się dokładnie tam, gdzie Eric się spodziewał: w miejscu, w którym najbardziej nie dawało się żyć. Ogromne pustynie Nevady i Arizony kojarzyły się raczej z ponurymi obcymi planetami, a nie z Ziemią, szczerze mówiąc, Eric wolałby już rejony

Marsa, które widział w pobliżu Wasz-35.

– Życzę panu powodzenia – pożegnała się taksówka, kiedy jej zapłacił, odleciała z warkotem w ciemność, brzęcząc obluzowaną tablicą rejestracyjną.

– Dzięki – odparł Eric i skierował się do wartowni przy wejściu do obozu, pełniącemu służbę żołnierzowi wyjaśnił, że przysłała go tu Tijuańska Korporacja Futer i Barwników, aby kupić jeńca do pracy biurowej, która musiałaby być wykonywana z absolutną dokładnością.

– Tylko jednego? – zapytał żołnierz, prowadząc go do biura swojego przełożonego. – Możemy panu dać pięćdziesięciu rigów. Dwustu. Mamy teraz przepełniony obóz. Po ostatniej bitwie dostaliśmy sześć transportów.

W gabinecie pułkownika Eric wypełnił kilka formularzy, podpisując je w imieniu Korporacji. Wyjaśnił, że opłata zostanie uiszczona w normalny sposób pod koniec miesiąca, po przedłożeniu oficjalnego bilansu.

– Może pan wybierać i przebierać – oświadczył śmiertelnie znudzony pułkownik. – Niech się pan rozejrzy, może pan brać każdego, chociaż wszyscy są tacy sami.

Eric powiedział:

– Widzę, że jakiś rig w pokoju obok sortuje dokumenty. Robi to całkiem sprawnie.

– Ib stary Deg – wyjaśnił pułkownik. – Deg niemal zrósł się z naszym biurem, schwytano go w pierwszym tygodniu wojny. Aby się nam lepiej przysłużyć, zbudował sobie nawet translator. Gdybyż tylko wszyscy z nich byli tak otwarci na współpracę jak Deg.

– Biorę go – oznajmił Eric.

– Będziemy musieli doliczyć znaczną opłatę dodatkową – stwierdził przebiegle pułkownik. – Z powodu szkoleń, które u nas przeszedł. – Zanotował to sobie. – I dopłatę za translator.

– Mówił pan, że zbudował go sam.

– Z naszych materiałów.

Ustalili w końcu cenę i Eric przeszedł do sąsiedniego pokoju, do riga, który miał wszystkie cztery ręce pełne formularzy ubezpieczeniowych.

– Od tej chwili należysz do Korporacji Futer i Barwników – powiadomił go Eric. – Więc chodź ze mną. – Zapytał pułkownika: – Nie będzie chciał uciec albo mnie zaatakować?

– Oni nigdy tego nie robią – odpowiedział pułkownik, zapalając cygaro i opierając się o ścianę z ponurą i znudzoną miną. – Nie leży to w ich naturze, to zwykłe robaki. Wielkie, lśniące robaki.

Po chwili Eric znowu stał w gorącym słońcu i czekał na taksówkę z Phoenix. Gdybym wiedział, że zajmie to tak mało czasu, pomyślał, zatrzymałbym tę starą, rozklekotaną taryfę. W obecności milczącego riga czuł się niepewnie, w sumie był to ich oficjalny nieprzyjaciel. Rigowie walczyli z Terranami i zabijali ich, a ten osobnik wciąż był zawodowym oficerem.

Rig mył się jak mucha, przybliżywał skrzydła, czułki, wreszcie dolną parę kończyn. Pod jedną

z kruchych rąk bez przerwy trzymał translator, nie wypuszczał go ani na chwilę.

– Cieszysz się, że wydostałeś się z obozu jenieckiego? – zagadnął Eric.

Na translatorze pojawiły się słowa, blade w palącym słońcu pustyni:

NIESZCZEGÓLNIE

Pojawiła się taksówka, a Eric wsiadł do niej z Deg Dal Ilem. Zaraz wznieśli się w powietrze, kierując w stronę Tijuany.

– Wiem, że jesteś oficerem rigyjskiego wywiadu – oznajmił Eric. – Dlatego właśnie cię kupiłem.'

Translator pozostał nie zapisany. Ale rig zadrżał. Jego matowe, wielosoczewkowe oczy pokryły się jeszcze grubszym bielmem, podczas gdy fałszywe gapiły się tępo przed siebie.

– Zaryzykuję i powiem ci o wszystkim już teraz – ciągnął Eric. – Jestem pośrednikiem, który chce cię skontaktować z kimś ważnym w kręgach ONZ. Współpraca ze mną leży w twoim interesie, twoim i twojego ludu. Dostaniesz stanowisko w mojej firmie...

Translator ożył.

ODWIEŹ MNIE Z POWROTEM DO OBOZU

– W porządku – powiedział Eric. – Wiem, że musisz trzymać się roli, którą grałeś przez tak długi czas. Choć nie jest już konieczna. Jestem świadomy faktu, że cały czas jesteś w kontakcie ze swoim rządem. Właśnie dlatego możesz się przydać człowiekowi, z którym spotkasz się w Tijuanie. Przez ciebie będzie mógł porozumieć się z twoim rządem... – Zawahał się, by wreszcie rzucić odważnie: – Bez wiedzy Staryjczyków. – Dużo powiedział, nieźle sobie poczynił ze swoją niewielką przeciwieństwem rolę w tym wszystkim. Po chwili pudełko znowu się rozjaśniło.

ZAWSZE WSPÓŁPRACOWAŁEM

– Ale to co innego.

Na tym Eric zakończył temat. Przez resztę podróży nie próbował się już porozumiewać z Deg Dal Ilem, najwyraźniej nie powinien tego robić. Deg Dal II to wiedział i Eric to wiedział. Reszta zależała już od kogoś innego, nie do niego.

Po przyjeździe do Tijuany Eric wynajął pokój w hotelu Caesar na głównej ulicy miasta. Recepcjonista, Meksykanin, gapił się na riga, ale nie zadawał zbędnych pytań. Taka jest Tijuana, pomyślał Eric, gdy wchodził z Degiem na piętro. Wszyscy zajmowali się własnymi sprawami, zawsze tak tutaj było, i nawet teraz, podczas wojny, Tijuana się nie zmieniła. Można było tu dostać wszystko i robić wszystko, na co się miało ochotę. Dopóki nie robiło się tego bezczelnie, na ludzkich oczach. A zwłaszcza wtedy, gdy dokonywano tego nocą. Bo nocą Tijuana zamieniała się w miasto, gdzie wszystko, nawet rzeczy niewyobrażalne, było możliwe. Kiedyś były to aborcje, narkotyki, kobiety i hazard. Teraz spotkania z nieprzyjacielem.

W pokoju Eric przekazał Deg Dal Ilowi kopię dokumentów własności, gdyby podczas jego nieobecności pojawiły się jakieś kłopoty, dokumenty te będą dowodem, że rig nie uciekł z obozu

ani nie jest szpiegiem. Poza tym Eric dał mu trochę pieniędzy. I polecił skontaktować się z Korporacją, gdyby zaistniały jakieś trudności – zwłaszcza gdyby wkroczyli do akcji staryjsey agenci. Rig miał siedzieć cały czas w pokoju, spożywać tam posiłki, oglądać telewizję, jeśli miał ochotę, w miarę możliwości nie wpuszczać nikogo, a gdyby dopadli go agenci Lilistaru, miał milczeć jak zakłęty. Nawet gdyby groziło mu to śmiercią.

– Sądzę, że mam prawo tak mówić – zaznaczył Eric. – Wcale nie dlatego, że nie szanuję rigyjskiego życia albo że uważam, że Terranin może rozkazywać rigowi, kiedy ma on umierać, a kiedy nie, ale po prostu dlatego, że w przeciwieństwie do ciebie znam sytuację. Będziesz musiał uwierzyć mi na słowo, że to jest ważne. – Czekał na reakcję tłumacza, lecz nic takiego nie nastąpiło. – Nie masz żadnych uwag? – zapytał, nieco rozczarowany. Praktycznie nie nawiązali ze sobą prawdziwego kontaktu, miał niejasne przeczucie, że to zły znak.

W końcu tłumacz niechętnie się rozświetlił.

DO WIDZENIA

– Nie masz nic więcej do powiedzenia? – zapytał Eric, pełen niedowierzania.

JAK SIĘ NAZYWASZ?

– Moje nazwisko jest na dokumentach, które ci dałem – oznajmił Eric i wyszedł, głośno trzaskając drzwiami.

Stojąc na chodniku, zatrzymał staromodną taksówkę naziemną i polecił człowiekowi za kierownicą pojechać do Korporacji.

Piętnaście minut później po raz kolejny wchodził do zgrabnego, skąpanego w szarym świetle budynku w kształcie nielota, przemierzył znajomy korytarz prowadzący do jego biura. Czy też tego, co do niedawna było jego biurem.

Panna Perth, jego sekretarka, zamrugła zdumiona.

– Ojej, doktor Sweetscent – myślałam, że jest pan w Cheyenne!

– Jest tu gdzieś Jack Blair? – Eric rzucił okiem w stronę koszy na części, lecz nie dostrzegł swojego asystenta. Za to w mroku na tyłach pomieszczenia buszował Bruce Himmel, trzymając spis towarów i notatnik.

– Jak ci poszło z biblioteką publiczną w San Diego? – zapytał go Eric. Zaskoczony Himmel wyprostował się.

– Składałam apelację, doktorze. Nigdy się nie poddam. Jakim cudem znalazłeś się z powrotem w Tijuanie?

Odezwała się Til Perth:

– Jack jest na gorze, na naradzie z panem Virgilem Ackermanem, panie doktorze. Wygląda pan na zmęczonego. W Cheyenne ma pan pewnie dużo roboty, prawda? Taka ogromna odpowiedzialność. – Z jej niebieskich oczu o długich rzęsach wyzierało współczucie, jej duże piersi zdawały się trochę pęcznieć, w matczynej, praktycznej, apetycznej sposób. – Podać panu

filizankę kawy?

– Tak. Dziękuję.

Usiadł za biurkiem i odpoczął chwilę, zastanawiając się nad wydarzeniami ostatniego dnia. To dziwne, że wszystkie te wydarzenia ułożyły się w ciąg, który cofnął go w końcu do punktu wyjścia, do własnego krzesła. Czy to w jakimś sensie koniec? Czy odegrał już swoją rolę – a może i nie tak małą – rolę w galaktycznej awanturze z udziałem trzech ras? Albo czterech, jeśli liczyć stworzenia z Betelgeuzy w kształcie zgniłych gruszek... Może zrobił swoje. Rozmowa wideofoniczna z Molinarim w Cheyenne, to wystarczy, aby na powrót został lekarzem Virgila Ackermana, wymieniał kolejne wysiadające narządy. Ale pozostawała jeszcze Kathy. Czy leży w klinice Korporacji? Czy w jakimś szpitalu w San Diego? Być może próbuje żyć jak dawniej, pomimo nałogu, znowu pracuje dla Virgila. Nie była tchórzem, będzie walczyć do samego końca.

– Czy Kathy jest w firmie? – zwrócił się do Til Perth.

– Sprawdzę, panie doktorze. – Sekretarka przycisnęła guzik interkomu na biurku. – Przy pana łokciu stoi kawa.

– Dzięki. – Z ulgą wypił łyk. Niemal jak za starych, dobrych czasów, biuro zawsze było dla niego oazą, w której wszystko było racjonalne, wolne od furii sknoconego życia domowego. Tutaj mógł udawać, że ludzie są dla siebie mili, że stosunki międzyludzkie mogą być po prostu serdecznej niezobowiązujące. A jednak to nie wystarczało. Wzyciu potrzebna była też intymność. Nawet grożąca zniszczeniem wszystkiego.

Wziął papier i pióro i napisał z pamięci recepturę antidotum na JJ-180.

– Pani Sweetscent przebywa w klinice na trzecim piętrze – powiadomiła go panna Perth. – Nie wiedziałam, że jest chora, czy to coś poważnego?

Eric dał jej złożoną kartkę papieru.

– Przekaż to Jonasowi. On będzie wiedział, co to jest i co należy z tym zrobić. – Zastanowił się, czy iść do Kathy i powiedzieć jej, że niedługo powstanie antidotum. Nie miał cienia wątpliwości, że musi to zrobić, zobowiązywała go do tego najzwyklejsza ludzka przyzwoitość. – Dobrze – oświadczył, wstając. – Pójdę do niej.

– Proszę ją pozdrowić – zawołała za nim Til Perth, gdy wyszedł z biura i ruszył korytarzem.

– Jasne – mruknął.

W klinice na trzecim piętrze zastał Kathy wyciągniętą na leżaku, ze skrzyżowanymi nogami, bosą, w białym bawełnianym szlafroku. Czytała czasopismo. Wyglądała na starszą i drobniejszą, najwyraźniej była po potężnej dawce środków uspokajających.

– Pozdrowienia – zaczął – od Til.

Kathy powoli, z wyraźnym wysiłkiem, uniosła głowę i skupiła na nim wzrok.

– Masz... jakieś wieści dla mnie?

– Mamy antidotum. Czy też wkrótce będziemy mieć. Korporacja Hazeltine musi tylko

wyprodukować niewielką partię i ją tutaj ekspresowo przysłać. Kolejne sześć godzin. – Eric spróbował dodać jej otuchy uśmiechem, nie wyszło. – Jak się czujesz?

– Teraz nieźle. Skoro przyniosłeś mi takie wiadomości. – Była zadziwiająco rzeczowa, nawet jak na osobę o schizofrenicznych ciągotach. Pewnie to sprawka środków uspokajających. – To ty znalazłeś antidotum, prawda? Dla mnie? – Potem w końcu wszystko sobie przypomniała i dorzuciła: – No tak, i jeszcze dla siebie. Ale mogłeś zachować to w sekrecie i nic mi nie powiedzieć. Dzięki, kochanie.

„Kochanie”. Zabolalo go, że Kathy używa takiego słowa w stosunku do niego.

– Widzę – podjęła ostrożnie Kathy – że w głębi duszy ciągle mnie lubisz, mimo tego, co ci zrobiłam. W przeciwnym razie nie...

– Też bym to zrobił, masz mnie za moralnego potwora? Lek powinien być publicznie znany, dostępny dla wszystkich, którzy uzależnili się od tego świństwa. Nawet dla Staryjczyków. Moim zdaniem narkotyki wyprodukowane specjalnie po to, aby uzależniać i niszczyć organizmy ludzkie, są czymś odrażającym, są zbrodnią przeciwko życiu. – Umilkł i dodał w myślach: A ktoś, kto uzależnia drugiego człowieka, jest przestępcą i powinien zostać powieszony albo rozstrzelany. – Wyjeżdżam – oznajmił. – Wracam do Cheyenne. Do zobaczenia. Życzę udanej terapii. – Po czym dodał, starając się, aby nie zabrzmiało to okrutnie: – Wiesz, antidotum nie cofnie dokonanych już fizycznych zniszczeń.

– Na ile lat wyglądam? – spytała Kathy.

– Na tyle, ile masz, około trzydziestu pięciu.

– Nie. – Pokręciła głową. – Widziałam w lustrze.

– Dopilnuj, proszę, żeby wszyscy, którzy tamtego wieczoru zażyli narkotyk razem z tobą, ten pierwszy raz, dostali antidotum. Wierzę, że to zrobisz. Dobrze?

– Jasne. To moi przyjaciele. – Bawiła się rogiem czasopisma. – Eric, nie mogę oczekiwać, że teraz ze mną zostaniesz, przy tym moim stanie fizycznym. Kiedy jestem taka wyprana z życia i...

– Urwała i zamilkła.

Czy oto nadeszła jego szansa? Zapytał:

– Chcesz rozwodu, Kathy? Jeżeli tak, to ci go dam. Ale osobiście... – Zawahał się. Jakie są granice hipokryzji? Co powinien teraz zrobić? Jego przyszłe ja, ziomek z 2056 roku błagało, żeby się od niej uwolnił. Czy wszelkie rozumne argumenty nie przemawiały za tym, żeby to uczynił i to najlepiej już teraz?

Kathy powiedziała cicho:

– Ja ciągle cię kocham. Nie chcę się rozwodzić. Postaram się traktować cię lepiej, naprawdę się postaram. Obiecuję.

– Mam być szczery?

– Tak. Zawsze powinieneś być szczery.

– Pozwól mi odejść.

Spojrzała na niego. W jej oczach rozbłysły ślady starego ducha, trucizny, która przeżarła łączące ich więzy. Ale ten duch zmarniał. Osłabił go nałóg, połączony ze środkami uspokajającymi, zniknęła siła, za której pomocą Kathy trzymała go przy sobie, więziła go i tuliła. Wzruszyła ramionami i mruknęła:

– Cóż, prosiłam o szczerość i mam szczerość. Powinno mnie to chyba cieszyć.

– Zatem się zgodzisz? Wnieśmy sprawę do sądu? Kathy oznajmiła ostrożnie:

– Pod jednym warunkiem. Że nie ma innej kobiety.

– Nie ma. – Eric pomyślał o Phyllis Ackerman, ale to na pewno się nie liczyło. Nawet w pełnym podejrzeń świecie Kathy.

– Jeżeli dowiem się, że jest – oświadczyła – nie dopuszczę do rozwodu, nie pójdę na ugodę. Nigdy się ode mnie nie uwolnisz, to też ci obiecuję.

– Czyli umowa stoi. – Poczul, że wielkie brzemie ześlizguje się w nieskończoną otchłań, pozostawiając tylko zwyczajny, ziemski ciężar, który może znieść każdy normalny człowiek. – Dzięki – powiedział.

– Dziękuję za antidotum, Eric. Spójrz tylko, do czego sprowadziła się moja narkomania, moje wieloletnie zażywanie narkotyków. To wszystko. Umożliwiło ci ucieczkę. Czyli przydało się w końcu do czegoś dobrego.

Za nic w świecie nie potrafił odgadnąć, czy Kathy mówi serio. Postanowił zapytać o coś jeszcze.

– Czy kiedy poczujesz się lepiej, wrócisz do pracy w Korporacji?

– Eric, mogę mieć niezłe widoki na przyszłość. Kiedy byłam pod wpływem narkotyku, w przeszłości... – Urwała, potem z trudem ciągnęła dalej, mówienie sprawiało jej teraz trudność:

– Wysłałam Virgilowi pocztą pewną część elektroniczną. W połowie lat trzydziestych. Z notką mówiącą, co ma z tym zrobić i kim ja jestem. Aby później mnie sobie przypomnieć. Mniej więcej teraz.

– Ale... – zaczął Eric i nie dokończył.

– Tak? – Zdołała skupić uwagę na nim, na tym, co mówi. – Zrobiłam coś złego? Zmieniłam przeszłość i zburzyłam porządek rzeczy?

Odkrył, że nie potrafi jej tego powiedzieć. Ale przecież Kathy i tak się tego dowie, wystarczy, że zada parę pytań. Virgil nie dostał żadnej części, bo kiedy Kathy opuściła przeszłość, ta część także ją opuściła, Virgil otrzymał w dzieciństwie pustą kopertę albo w ogóle nic. Eric uznał, że jest to niezwykle przygnębiające.

– O co chodzi? – zapytała Kathy z trudem. – Po twojej minie – znam cię tak dobrze – widzę, że zrobiłam coś złego.

– Jestem po prostu zaskoczony – odparł Eric. – Twoją pomysłowością. Słuchaj. – Kucnął

przy niej, położył dłoń na jej ramieniu. – Nie licz, że to wiele zmieni, natura twojej pracy u Virgila jest taka, że w zasadzie nie może ci się wieść lepiej, poza tym starego raczej nie cechuje wdzięczność.

– Ale chyba warto było spróbować, nie sądzisz?

– Tak – przyznał Eric, prostując się. Cieszył się, że na tym zostawili ten temat.

Pożegnał się z Kathy, poklepał ją – bez przekonania – po ramieniu i wyszedł. Wsiadł do windy i pojechał do gabinetu Virgila Ackermana.

Stary uniósł głowę i radośnie zagadnął:

– Eric, słyszałem, że wróciłeś. Siadaj i wszystko mi opowiadaj, Kathy źle wygląda, nieprawdaż? Hazeltine nie był.

– Posłuchaj – zaczął Eric, zamykając za sobą drzwi. – Virgil, możesz sprowadzić do Korporacji Molinariego?

– Po co? – Virgil popatrzył na niego uważnie w swój ptasi sposób.

Eric mu powiedział.

Po wysłuchaniu Erica Virgil oświadczył:

– Zadzwońię do Gina. Mogę zrobić kilka aluzji, a ponieważ znamy się tak dobrze, on zrozumie mnie na poziomie intuicyjnym. Przyjedzie. Prawdopodobnie od razu. Kiedy przechodzi do działania, jest szybki.

– Więc zostanę tutaj – postanowił Eric. – Nie wrócę do Cheyenne. Może lepiej pojedę do hotelu Caesar i zostanę z Degiem.

– I weź ze sobą pistolet – zasugerował Virgil. Podniósł słuchawkę wideofonu i oznajmił: – Daj mi Biały Dom w Cheyenne. – Zwrócił się do Erica: – Jeżeli ta linia jest na podsłuchu, to nic im to nie pomoże, nie będą mogli zrozumieć, o czym rozmawiamy. – Powiedział do słuchawki: – Chciałbym rozmawiać z sekretarzem Molinariem, przy telefonie Virgil Ackerman, sprawa osobista.

Eric usiadł i słuchał. Nareszcie wszystko przybrało korzystny obrót. Mógł pozwolić sobie na odpoczynek. Przyjął rolę zwykłego widza.

W słuchawce rozległ się histeryczny wrzask operatora centrali telefonicznej w Białym Domu:

– Panie Ackerman, czy jest przy panu doktor Sweetscent? Nie możemy go odnaleźć, a Molinari, to znaczy, pan Molinari, nie żyje i nie sposób go reanimować.

Virgil uniósł wzrok i spojrzał na Erica.

– Jadę tam – oznajmił Eric. Czuł tylko odrętwienie. Nic więcej.

– Założę się, że jest już za późno – powiedział Virgil.

– Panie Ackerman – pisnął operator – on nie żyje już od dwóch godzin, doktor Teagarden nie może nic na to poradzić, a...

– Spytaj, jaki organ wysiadł – odezwał się Eric. Operator usłyszał jego słowa i wrzasnął:

– Serce. Czy to pan, doktorze Sweetscent? Doktor Teagarden mówi, że doszło do pęknięcia aorty...

– Wezmę ze sobą sztuczne serce – zwrócił się Eric do Virgila. Operatorowi w Białym Domu polecił: – Powiedz Teagardenowi, żeby maksymalnie obniżył temperaturę ciała, zresztą pewnie już to zrobił.

– Na lądowisku na dachu jest jeden statek ekspresowy – odezwał się Virgil. – Lecieliśmy nim do Wasz-35, to bez wątplenia najlepszy pojazd w okolicy.

– Sam wybiorę serce – postanowił Eric. – Więc wróć jeszcze do swojego gabinetu, mógłbyś przygotować statek do startu? – Był teraz spokojny. Albo było już za późno, albo nie. Albo zdąży, albo nie zdąży. Pośpiech nie miał w tej chwili większego znaczenia.

Virgil, łącząc się z centralą Korporacji, stwierdził:

– Rok 2056, który odwiedziłeś, nie był rokiem 2056 w naszym świecie.

– Najwidoczniej – zgodził się Eric. I ruszył biegiem w stronę windy.

Na dachu Białego Domu czekał na niego Don Festenburg, blady i jękający się ze zdenerwowania.

– G-gdzie pan był, doktorze? Nie zawiadomił pan nikogo, że opuszcza pan Cheyenne, myśleliśmy, że jest pan gdzieś w pobliżu. – Szedł przed Erikiem, w kierunku najbliższego chodnika wejściowego.

Eric podążał za nim, niosąc w pudełku sztuczne serce. W drzwiach sypialni sekretarza pojawił się Teagarden, z twarzą wydłużoną zmęczeniem.

– Do diabła, gdzie pan się podziewał, doktorze? Próbowałem położyć kres wojnie, pomyślał Eric. Ale powiedział tylko:

– Jak bardzo jest schłodzony?

– Nie ma zauważalnej przemiany materii, nie sądzi pan, że wiem, jak się przeprowadza reanimację? Mam pisemne instrukcje, które automatycznie wchodzą w życie z chwilą, gdy Molinari traci przytomność albo umiera i nie daje się go reanimować. – Podał Ericowi plik kartek.

Eric szybko rzucił okiem na najistotniejszy akapit. Żadnego wszczepu. W żadnych okolicznościach. Nawet gdyby to była jedyna szansa ratunku.

– Czy to nas obowiązuje? – zapytał Eric.

– Skonsultowaliśmy się z prokuratorem generalnym. Obowiązuje. Powinien pan wiedzieć, że sztuczne organy można wszczepiać wyłącznie za wyrażoną z góry, pisemną zgodą pacjenta.

– Dlaczego tego właśnie sobie życzy? – zapytał Eric.

– Nie mam pojęcia – odparł Teagarden. – Będzie pan próbował go reanimować, bez wszczepienia sztucznego serca, które pan tu, jak widzę, przyniósł? Tyle tylko nam zostało. – W jego cichnącym głosie rozbrzmiewały gorycz i poczucie klęski. – Czyli praktycznie nic. Narzekał na serce przed pana wyjazdem, powiedział panu – sam słyszałem – że myśli, że pękła mu tętnica. A pan po prostu sobie poszedł. – Wbił wzrok w Erica.

– Na tym polega problem z hipochondrykami – oznajmił Eric. – Nigdy nic z nimi nie wiadomo.

– Cóż – rzekł Teagarden i westchnął boleśnie. – Niech będzie... ja też sobie tego nie uświadamiałem.

Eric odwrócił się do Dona Festenburga i zapytał:

– A co z Freneksym? Czy już o tym wie?

– Oczywiście – odparł Festenburg ze słabym, drżącym nerwowym uśmiechem.

– I co on na to?

– Jest zaniepokojony.

– Mam nadzieję, że nie pozwala pan, aby przylatywały tu kolejne statki staryjskie?

– Doktorze, pana zadaniem jest leczenie pacjenta, a nie dyktowanie polityki – oświadczył Festenburg.

– Łatwiej by mi się leczyło pacjenta, gdybym wiedział, że...

– Cheyenne jest zamknięte – ustąpił Festenburg. – Od czasu wypadku żaden statek z wyjątkiem pańskiego nie dostał tu pozwolenia na lądowanie.

Eric podszedł do łóżka i spojrzął na Gina Molinarię, zagubionego w gąszczu maszynierii, która utrzymywała temperaturę jego ciała i mierzyła w głębinach organizmu tysiące parametrów. Niska, otyła postać była ledwie widoczna, twarz całkowicie zasłaniało nowe urządzenie, rzadko do tej pory używane, wykrywające najbardziej delikatne zmiany stanu mózgu. To właśnie mózg należało chronić, za wszelką cenę. Wszystko mogło wyjść, ale nie mózg.

Wszystko mogło wyjść – tyle że Molinari zakazał używania wszczepów. I na tym koniec. Pod względem medycznym ten neurotyczny, samobójczy nakaz cofnął wskazówki zegara o całe stulecie.

Nawet nie badając otwartej klatki piersiowej, Eric wiedział, że nic tu już nie może pomóc. Poza dziedziną wszczepów był prawdopodobnie chirurgiem równie kompetentnym, co Teagarden. Cała jego kariera zależała od możliwości wymiany wadliwego narządu.

– Zobaczmy jeszcze raz ten dokument. – Zabrał Teagardenowi instrukcje i uważniej im się przyjrzał. Taki chytry, pomysłowy człowiek jak Gino Molinari z pewnością wymyślił jakąś konkretną alternatywę dla wszczepów. To nie mogło się tak skończyć.

– Naturalnie zawiadomiono również Prindle'a – oznajmił Festenburg. – Czekaj w pogotowiu, by wygłosić przemówienie w telewizji, kiedy będzie już pewne, że nie możemy ożywić Molinarię. – Mówił nienaturalnie monotonnym głosem, Eric rzucił na niego okiem, zastanawiając się, co tamten naprawdę sobie myśli.

– Co pan powie na ten akapit? – zapytał Eric, pokazując dokument doktorowi Teagardenowi. – Dotyczy aktywacji robantycznego sobowtóra, którego Molinari wykorzystał podczas kręcenia taśmy wideo. Jej emisja miała się odbyć dziś wieczorem.

– Co mogę powiedzieć? – odparł Teagarden, raz jeszcze czytając akapit. – Emisja zostanie oczywiście odwołana. Co do samego robanta, to nic o nim nie wiem. Może Festenburg wie. – Spojrzał pytająco na Dona Festenburga.

– Ten akapit – orzekł Festenburg – nie ma sensu. Dosłownie. Na przykład, co robi robant w chłodziarce? Nie potrafimy rozszyfrować rozumowania Molinarię, a zresztą i tak mamy pełne ręce roboty. Ten cholerny dokument liczy czterdzieści trzy paragrafy, przecież nie możemy wprowadzić ich w życie równocześnie, prawda? Odezwał się Eric:

– Ale wie pan, gdzie...

– Tak – potwierdził Festenburg. – Wiem, gdzie jest sobowtór.

– Proszę wydobyć go z chłodziarki – rzekł Eric. – I uruchomić, zgodnie z instrukcjami w tym dokumencie. Który, jak pan już wie, nabrał właśnie mocy prawnej.

– Uruchomić go, a potem co?

– Molinari sam panu powie – oznajmił Eric. – W chwilę po uruchomieniu. – I przez wiele kolejnych lat, dodał w myślach. Bo to jest w dokumencie najważniejsze. Nie będzie żadnego publicznego ogłoszenia, że Gino Molinari zmarł, bowiem przestanie to być prawdą w chwili ożywienia tak zwanego robanta.

I, pomyślał Eric, ty chyba o tym wiesz, Festenburg. W milczeniu spojrzeli na siebie. Eric zwrócił się do agenta ochrony:

– Chcę, żeby czterech z was towarzyszyło Festenburgowi, kiedy będzie to robił. To tylko taka propozycja, ale mam nadzieję, że ją podchwycicie.

Agent kiwnął głową i skinął na grupkę swoich kolegów, ruszyli za Festenburgiem, który wyglądał na zdezorientowanego, wystraszonego i bynajmniej nie opanowanego. Odszedł wypełnić obmierzone zadanie, tuż za nim podążali ochroniarze.

– A co z dalszymi próbami zasklepienia uszkodzonej tętnicy? – zainteresował się doktor Teagarden. – Nie chce pan spróbować? Plastikowe wypełnienie wciąż może...

– Ten Molinari, z tej linii czasu, swoje już przeszedł – zauważył Eric. – Zgodzi się pan ze mną? Pora dać mu spokój, on sam zresztą tylko tego chce. – Będziemy musieli, uświadomił sobie, przyjąć do wiadomości fakt, którego być może nikt z nas nie chce przyjąć do wiadomości, bo sprowadza się on do tego, że zaczynają się – czy też już dawno się zaczęły – rządy, które cokolwiek odbiegają od naszych teoretycznych idei.

Molinari ustanowił dynastię złożoną z wielu wersji samego siebie.

– Ten sobowtór nie może rządzić zamiast Gina – zaproponował Teagarden. – To twór sztuczny, a prawo zabrania...

– Właśnie dlatego Gino nie chciał zgodzić się na sztuczne wszczepy. Nie może pójść w ślady Virgila i po kolei zastępować wszystkich części ciała, bo byłby wtedy bezbronny wobec regulacji prawnych. Ale to nie jest ważne. – Przynajmniej w tej chwili. Prindle nie jest następcą Mola, pomyślał Eric, podobnie jak Don Festenburg, niezależnie od tego, jak bardzo chciałby nim zostać. Wątpię, żeby dynastia Molinarich panowała wiecznie, ale przetrwa przynajmniej ten cios. A to już niemało.

– To dlatego umieścili go w chłodziarce – odezwał się po chwili Teagarden. – Już rozumiem.

– Wyjdzie obronną ręką ze wszystkich badań, jakie pan przeprowadzi. – Pan, premier Freneksy, każdy, włącznie z Donem Festenburgiem, który chyba domyślił się wszystkiego wcześniej ode mnie, ale nie mógł z tym nic zrobić. – Oto cecha szczególna tego rozwiązania. Nawet gdy człowiek zdaje sobie sprawę, co się dzieje, nie może temu zapobiec. To raczej rozszerzało pojęcie manewru politycznego. Czy Eric był tym przerażony? Czy też był pod

wrażeniem? Szczerze mówiąc, na razie sam nie wiedział. Było to rozwiązanie zbyt nowatorskie: tajna, zakulisowa zmowa Molinariego z samym sobą. Nieustanne korygowanie potężnego mechanizmu powtórnych narodzin, przeprowadzane w typowym dla Mola, szybszym niż światło stylu.

– Ale – zaprotestował Teagarden – w ten sposób powstanie kontinuum czasowe bez sekretarza ONZ. Co to za zysk, jeśli...

– Osobnik, którego poszedł uruchomić Don Festenburg – oznajmił Eric – na pewno pochodzi ze świata, w którym nie wybrano Mola na sekretarza. – W którym poniósł on klęskę polityczną i w którym ktoś inny został przywódcą. Bez wątpienia istniało wiele takich światów, zważywszy na wyrównaną walkę podczas pierwotnych wyborów w tym kontinuum.

W tamtym drugim świecie nieobecność Mola nie będzie miała znaczenia, ponieważ Gino był tam tylko kolejnym pokonanym politykiem, który może już nawet udał się na emeryturę. Ale jednocześnie... był całkowicie wypoczęty i pełen sił. Gotów podjąć walkę z Freneksym.

– To godne podziwu – uznał Eric. – Przynajmniej moim zdaniem. – Mol wiedział, że to udręczone ciało wcześniej czy później umrze i nie będzie można go reanimować inaczej niż za pomocą wszczepów. A co jest wart strateg polityczny, który nie sięga myślą do chwili własnej śmierci? Bez tego taki człowiek będzie jedynie kolejnym Hitlerem, który nie życzył sobie, żeby przeżył go jego własny kraj.

Eric znowu zerknął na dokument, który pozostawił im Molinari. Rzeczywiście był spójny i niepodważalny. Wedle prawa następnym Molinari absolutnie musiał zostać uruchomiony.

I z kolei ten Molinari również zapewnił sobie następcę. Mogli się tak teoretycznie wymieniać w nieskończoność, niczym dobrzy zapaśnicy na macie.

Mogli?

Wszyscy Molinari, we wszystkich kontinuumach czasowych, starzeli się w mniej więcej tym samym tempie. Czyli całe przedsięwzięcie potrwa jeszcze trzydzieści, najwyżej czterdzieści lat. W najlepszym wypadku.

Ale to wystarczy, by Terra przetrwała wojnę i zakończyła ją.

A Molowi zależało tylko na tym.

Nie zabiegał o nieśmiertelność, nie chciał być bogiem. Interesowało go jedynie odświeżenie kadencji. Nie przytrafił mu się to, co się stało Franklinowi D. Rooseveltowi w ostatniej wielkiej wojnie. Molinari uczył się na błędach przeszłości. I odpowiednio do tego działał, w typowo piemontckim stylu. Znalazł osobliwe, barwne, oryginalne rozwiązanie swojego politycznego problemu.

Tb wyjaśniało, dlaczego mundur sekretarza i homeogazeta, które pokazał Ericowi Festenburg, były fałszywe.

Niewykluczone, że bez tego byłyby prawdziwe.

I samo to uzasadniało wszystko, co zrobił Molinari.

Godzinę później Gino Molinari wezwał Erica do swojego gabinetu.

Mol, zarumieniony, tryskający dobrym humorem i ubrany w nowiutki garnitur, rozparł się wygodnie w fotelu i uważnie, spokojnie przyjrzał się Ericowi.

– Zatem ci idioci nie mieli zamiaru mnie uruchomić – zagrzmiał i roześmiał się tubalnie. – Wiedziałem, że przyprzesz ich do muru, Sweetscent. Wszystko przygotowałem, nie pozostawiłem miejsca na przypadek. Wierzysz mi? Czy myślisz, że istniała jakaś luka, że mogli ją wykorzystać, zwłaszcza ten Festenburg... jest całkiem cwany, wiesz. Podziwiam go jak diabli. – Beknął. – Słyszałeś? Tyle na temat Dona.

– Myślę, że mało co, a by im się udało – powiedział Eric.

– Fakt – zgodził się Mol, pośpiewując. – Byli blisko. Ale w polityce człowiek często jest o włos od klęski, na tym polega cały jej urok. Kto poszukuje na tym świecie pewności? Ja nie. Nawiasem mówiąc: te taśmy wideo zostaną wyemitowane zgodnie z planem, biednego Prindle'a odesłałem z powrotem do podziemi, czy gdzie tam jest to miejsce, w którym on mieszka. – Molinari znowu głośno się roześmiał.

– Czy mam rację – spytał Eric – że w twoim świecie...

– Tb jest mój świat – przerwał mu Molinari, założył ręce za głowę i zaczął kołysać się na krześle, patrząc pogodnie na Erica.

Eric sprecyzował:

– W równoległym świecie, z którego pochodzisz...

– Bzdura!

– ...zostałeś pokonany podczas wyborów na stanowisko sekretarza ONZ, czy to prawda? Jestem po prostu ciekawy. Nikomu nie powiem ani słowa.

– Jeśli powiesz, każę agentom wyprać ci flaki i wrzucić cię do Atlantyku. Albo wystrzelić w kosmos. – Molinari zamilkł na chwilę. – Wybrano mnie, Sweetscent, ale gnojki wykopały mnie z urzędu za pomocą wysmażonego przez siebie wotum nieufności. Bo byłem zwolennikiem Paktu Pokojowego. Mieli oczywiście rację, nie powinienem się w to wplątywać. Ale kto chciałby zawrzeć porozumienie z czterorękami, błyszczącymi robakami, które nie umieją nawet mówić, które muszą chodzić wszędzie z translatoem jak dziecko z nocnikiem?

– Ale już wiesz – zaczął ostrożnie Eric – że musisz to zrobić. Osiągnąć porozumienie z rigami.

– Jasne. Ale łatwo to teraz zrozumieć. – Oczy Mola były ciemne i świdrujące, rozjarzone olbrzymią, wrodzoną inteligencją. – Co ci chodzi po głowie, doktorze? Zastanówmy się. Jak to mówili w zeszłym stuleciu? Kupić, nie kupić – i coś tam dalej.

– W Tijuanie czeka na pana wysłannik.

– Do diabła, nie pojedę do Tijuany, to obleśna dziura, gdzie szuka się trzynastoletnich

dziwek. Młodszych nawet od Mary.

– Wiesz więc o Mary? – Czy była jego kochanką w alternatywnym świecie?

– On nas sobie przedstawił – oznajmił spokojnie Molinari. – Mój najlepszy przyjaciel, to on to zorganizował. Ten, którego właśnie grzebią, czy co tam zwykło się robić z trupami. Niewiele mnie to obchodzi, ważne, żeby się go pozbyli. Mam już jednego trupa, tego poharatanego pociskami, w lodówce. Widziałeś go. Jeden mi wystarczy. Działają mi na nerwy.

– Co zamierzałeś zrobić z tym zamordowanym? Molinari wyszczerzył zęby w triumfalnym uśmiechu.

– Nie załapałeś tego, co? To był poprzedni sekretarz. Ten przed tym, który właśnie umarł. Jestem trzeci, nie drugi. – Przystawił dłoń do ucha. – Okej, zamieniam się w słuch: co masz mi do powiedzenia? Eric zaczął:

– Ee, pojedziesz do Korporacji Futer i Barwników odwiedzić Virgila Ackermana. To nie wzbudzi podejrzeń. Do mnie będzie należało doprowadzenie agenta do fabryki gdzie będziesz mógł z nim porozmawiać. Powiniennem sobie poradzić. Chyba że...

– Chyba że Corning, czołowy szpieg Lilistaru w Tijuanie, pierwszy dorwie riga. Słuchaj, rozkażę agentom ochrony, żeby go aresztowali, to na jakiś czas zajmie Staryjczyków i odwróci ich uwagę od nas. Możemy się powołać na postępowanie Staryjczyków wobec twojej żony, wciągnięcie jej w nałóg, to będzie oficjalny zarzut. Zgadzasz się? Tak? Nie?

– Może być. – Eric znowu poczuł znużenie, które napłynęło falą jeszcze większą niż poprzednio. Ten dzień chyba nigdy się nie skończy, pomyślał, ogromne brzemie powróciło, aby go przytłoczyć i zmusić do uległości.

– Nie robię na tobie zbyt dużego wrażenia – zauważył Mol.

– Wręcz przeciwnie. Jestem tylko wykończony. – A będzie musiał zaraz wrócić do Tijuany i przewieźć Deg Dal Ila z pokoju w hotelu Caesar do fabryki, to jeszcze nie koniec.

– Ktoś inny może zabrać twojego riga i dostarczyć go Korporacji – zauważył Molinari. – Podaj mi adres, a ja dopilnuję reszty. Ty już nic nie musisz: idź się upić, znajdź sobie jakąś nową dziewczuszkę. Albo weź jeszcze JJ-180, odwiedź kolejny czas. Po prostu się baw. A co z twoim nałogiem? Już go zwalczyłeś, tak jak ci kazałem?

– Tak.

– Niech mnie diabli. – Molinari uniósł grube brwi. – Zdumiewające, nie sądziłem, że to w ogóle jest możliwe. Dostałeś antidotum od tego swojego riga?

– Nie. W przyszłości...

– Jak skończyła się wojna? Ja nie przemieszczam się do przodu, tak jak ty, przemieszczam się tylko w bok, do terazniejszości równoległych.

– Będzie ciężko – zapowiedział Eric.

– Okupacja?

– Większości Terry.

– A co będzie ze mną?

– Wygląda na to, że uda ci się uciec do Wasz-35. A przedtem będziesz się bronił na tyle długo, że rigowie zdołają ci przyjść z pomocą.

– Wszystko mi jedno – zdecydował Molinari. – Ale chyba muszę zrobić swoje. Co z twoją żoną Katherine?

– Antidotum...

– Pytam o wasz związek.

– Separacja. To postanowione.

– W porządku. – Molinari skinął głową. – Napisz mi ten adres, a ja w zamian napiszę ci inny adres oraz nazwisko... – Wziął pióro i papier, szybko coś napisał. – Krewna Mary. Jej kuzynka. Gra epizody w serialach telewizyjnych, mieszka w Pasadenie. Dziewiętnastka. Nie za młoda?

– To nielegalne.

– W razie czego ci pomogę. – Molinari rzucił Ericowi kartkę, tamten jej nie podniósł. – Co jest? – krzyknął Molinari. – Czy ten przenoszący w czasie narkotyk pomieszał ci rozum i nie wiesz, że masz tylko jedno, krótkie życie, i że leży ono przed tobą, a nie z boku i z tyłu? Czekasz, aż znowu nadejdzie zeszły rok, czy co?

– Strzał w dziesiątkę. – Eric wyciągnął dłoń i wziął kartkę. – Już od dawna czekam na zeszły rok. Ale on chyba nie nadejdzie.

– Nie zapomnij wspomnieć, że to ja cię przysyłam – zaczął Molinari i uśmiechnął się promiennie, gdy Eric schował kartkę do portfela.

Była noc, a Eric szedł przed siebie ciemnym zaułkiem, z rękami w kieszeniach, i zastanawiał się, czy zmierza we właściwą stronę. W Pasadenie w Kalifornii nie był od lat.

Przed nim zamajaczył na tle nieba duży kwadrat ogromnego bloku mieszkadlanego, bardziej zbity niż powietrze za nim, okna świeciły się jak oczy w jakiejś gigantycznej, sztucznej dyni. Oczy, pomyślał Eric, są oknami duszy, ale mieszkadło pozostaje mieszkadłem. Co czeka go w środku? Apodyktyczna – a może nie tak apodyktyczna – ciemnowłosa dziewczyna, której ambicje kończą się na występach w minutowych reklamach piwa lub papierosów w telewizji, czy o czym tam Molinari wspomniał. Ktoś, kto w chorobie może podnieść cię na nogi, żywa parodia przysięg małżeńskich, obietnic wzajemnej pomocy i opieki.

Przypomniała mu się Phyllis Ackerman i ich niedawna rozmowa w Wasz-35. Jeśli naprawdę chce powtórzyć schemat odcisnięty na matrycy swojego życia, pomyślał, muszę ją tylko odwiedzić, Phyllis jest na tyle podobna do Kathy, żebym uznał ją za pociągającą. Oboje to wiemy. A jednocześnie jest na tyle inna, żebym miał wrażenie – powtarzam: wrażenie – że zaczynam nowy rozdział swojego życia. Ale zaraz powiedział sobie: Tej dziewczyny w Pasadenie nie wybrałem sam, zrobił to Gino Molinari. Więc może matryca tutaj pęka. I może zostać

odrzucona. A ja będę mógł wieść życie, które nie tylko wydaje się, ale i jest naprawdę nowe.

Odnalazł główne wejście do bloku, wyjął kartkę papieru, kolejny raz spróbował zapamiętać imię i nazwisko dziewczyny, pośród rzędów identycznych przycisków na mosiężnej płycie wyszukał ten właściwy i nacisnął go energicznie, w stylu Gina Molinarięgo.

Z głośnika rozległ się słaby głos, na monitorze umieszczonym nad przyciskami pojawił się mikroskopijny obraz.

– Tak? Kto tam?

W takim niedorzecznym pomniejszeniu nie był w stanie odcyfrować obrazu dziewczyny, nie mógłby powiedzieć o niej nic konkretniejszego. Głos był jednak głęboki i gardłowy, co więcej, choć wyczuwało się w nim typową, nerwową ostrożność mieszkającej samotnie kobiety, miał w sobie ciepło.

– Gino Molinari prosił, żebym panią odwiedził – przemówił Eric, wspierając swoje brzemię na opoche, na której wszyscy polegali w tej zbiorowej wyprawie.

– Och! – Sprawiała wrażenie podekscytowanej. – Mnie odwiedził? Jest pan pewien, że to o mnie chodzi? Spotkałam go tylko raz, a i to przelotnie.

– Mogę na chwilę wejść, panno Garabaldi? – zapytał Eric.

– Garabaldi to moje dawne nazwisko – odparła dziewczyna. – Teraz, kiedy pracuję w telewizji, używam nazwiska Garry. Patricia Garry.

– Proszę pozwolić mi wejść – powiedział Eric. Czekał. – Proszę.

Zabrzącał domofon, Eric pchnął drzwi i wkroczył do środka. Po chwili winda zawiozła go na czternaste piętro, stanął przy wejściu do jej mieszkania, uniósł rękę, aby zapukać, ale drzwi były już szeroko otwarte na jego powitanie.

Ujrzał uśmiechniętą Patricię Garry w kwiecistym fartuszku, z ciemnymi włosami opadającymi na plecy w dwóch warkoczach, miała wyrazistą twarz, zwężającą się ku kształtnemu podbródkowi, i usta tak ciemne, że sprawiały wrażenie niemal czarnych. Wszystkie rysy były wyrzeźbione elegancko i z taką subtelną precyzją, jakby sugerowały wstąpienie harmonii i symetrii ludzkiego ciała na nowy stopień doskonałości. Zrozumiał, dlaczego ta dziewczyna pracuje w telewizji, taki wygląd, wzmocniony udawanym nawet zapalem piwoszy na kalifornijskiej plaży, mógł powalić każdego widza. Nie była tylko ładna, była uderzająco piękna, jedyna w swoim rodzaju i Eric, patrząc na nią, przewidywał dla niej długą, pełną sukcesów karierę – o ile wojna nie spowoduje w jej życiu jakiejś tragedii.

– Cześć – zagadnęła wesoło. – Kim jesteś?

– Nazywam się Eric Sweetscent. Pracuję w zespole medycznym sekretarza. – A raczej pracowałem, dodał w myślach. Do dzisiejszego dnia. – Mogę napić się z tobą kawy i porozmawiać? Wiele to by dla mnie znaczyło.

– Dziwne najście – orzekła Patricia Garry. – Ale dlaczego nie? – Obróciła się na pięcie,

wirując długą, meksykańską spódnicą, i ruszyła korytarzem w stronę kuchni. Poszedł za nią – Nawet nastawiłam już ekspres. Dlaczego pan Molinari powiedział ci, żebyś mnie odwiedził? Z jakiegoś szczególnego powodu?

Czy jakaś dziewczyna mogłaby tak wyglądać i nie zdawać sobie sprawy, że sama stanowi niezwykle szczególny powód?

– Cóż – zaczął Eric – mieszkam w Kalifornii, w San Diego. – I chyba znowu pracuję w Tijuanie, dodał w myślach. – Jestem chirurgiem wszczepów. Patricio. Czy też Pat. Mogę nazywać cię Pat? – Usiadł na ławie przy stole, złożył przed sobą dłonie, wspierając łokcie na twardym, sekwojowym blacie.

– Skoro jesteś chirurgiem wszczepów – zapytała Patricia, wyjmując filiżanki z szafki nad zlewem – to dlaczego nie stacjonujesz na jednym z wojskowych satelitów albo w którymś ze szpitali na froncie?

Poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

– Nie wiem – przyznał.

– Sam wiesz, że teraz trwa wojna. – Odwrócona do niego plecami, dodała: – Chłopak, z którym chodziłam, został pokaleczony, kiedy bomba rigów trafiła w jego krążownik. Wciąż leży w szpitalu w bazie.

– Cóż mogę powiedzieć? Chyba tylko tyle, że być może trafiłaś w najczulszy punkt mojego życia. Dlaczego nie ma ono sensu, który powinno mieć?

– A kogo za to obwiniasz? Wszystkich innych?

– Wydawało mi się, przynajmniej wtedy, kiedy się tym zajmowałem, że utrzymywanie Gina Moliniego przy życiu jest jakimś przyczynkiem do wojny. – Ale jakby nie było, trudnił się tym krótko, poza tym dostał tę pracę dzięki Virgilowi Ackermanowi, a nie dzięki własnym staraniom.

– Jestem tylko ciekawa – wyjaśniła Patricia. – Pomyślałabym, że dobry chirurg wszczepów będzie chciał iść na front, gdzie czeka na niego prawdziwa praca. – Nalała kawy do dwóch plastikowych filiżanek.

– Tak, mogłabyś tak pomyśleć – potwierdził Eric, który nagle poczuł się bezradny. Ta dziewczyna miała dziewiętnaście lat, dwa razy mniej niż on, a już lepiej rozumiała, co jest właściwe, co należy robić. Przy takiej jasności spojrzenia z pewnością zaplanowała każdy najdrobniejszy krok w karierze. – Chcesz, żebym sobie poszedł? – zapytał. – Powiedz mi, jeśli tak.

– Dopiero co tu przyszedłeś, oczywiście, że nie chcę, abys odchodził. Pan Molinari nie przysyłałby cię do mnie bez powodu. – Przyglądała mu się krytycznie, siadając po drugiej stronie stołu. – Jestem kuzynką Mary Reineke, wiedziałeś o tym?

– Tak. – Skinął głową. Z niej też jest twarda sztuka, pomyślał. – Pat, uwierz mi na słowo, że dzisiaj dokonałem czegoś, co wpłynie na los nas wszystkich, chociaż nie jest związane

z medycyną. Wierzysz mi? Jeśli tak, będzie to dobry punkt wyjścia do dalszej rozmowy.

– Niech ci będzie – odparła z dziewiętnastoletnią nonszalancją.

– Oglądałaś dzisiaj w telewizji wystąpienie Molinariego?

– Przed chwilą. Było ciekawe, wyglądał na o wiele większego.

– Większego. – Tak, pomyślał, to trafne określenie.

– To dobrze, że wraca do formy. Ale muszę przyznać, że cała ta polityczna recytacja – wiesz, jak on to robi, wygłasza jakby wykłady w ten gorączkowy sposób, z pałającymi oczyma – jest dla mnie zbyt monotonna. Zamiast go słuchać, włączyłam magnetofon. – Oparła brodę na otwartej dłoni. – Wiesz co? Było to nudne jak flaki z olejem.

W salonie zadzwonił wideofon.

– Przepraszam. – Patricia Garry wstała i wybiegła z kuchni. Eric siedział w milczeniu, nie myślał o niczym szczególnym, tylko ciążyło mu to stare znużenie. Po chwili pat wróciła. – Do ciebie. Proszę doktora Erica Sweetscenta. To ty, prawda?

– Kto dzwoni? – Z trudem stanął na nogach, serce dziwnie mu zamarło.

– Biały Dom w Cheyenne. Podszedł do aparatu.

– Halo, mówi Sweetscent.

– Proszę chwileczkę zaczekać. – Monitor opustoszał wreszcie pojawił się na nim Gino Molinari.

– Cóż, doktorze – zaczął – załatwili tego riga.

– Jezus Maria!

– Kiedy dotarliśmy na miejsce, zastaliśmy tylko poszatowanego, wielkiego, zdechłego robaka. Ktoś od nich pewnie widział, jak wchodzie do hotelu. Szkoda, że nie zabrałeś go od razu do Korporacji. Zamiast do tego hotelu.

– Teraz bym tak zrobił.

– Słuchaj – ciągnął pogodnie Mol – zadzwoniłem, żeby ci to powiedzieć, bo wiedziałem, że będzie ci zależało na tej informacji. Ale za bardzo się nie przejmuj. Ci Staryjczycy to zawodowcy. To mogło się przytrafić każdemu. – Zbliżył się do ekranu i powiedział z naciskiem:

– To nie jest aż takie ważne, istnieją jeszcze trzy czy cztery sposoby na nawiązanie kontaktu z rigami. W tej chwili zastanawiamy się, jak je najlepiej wykorzystać.

– Czy o takich rzeczach można mówić przez wideofon?

– Freneksy ze świtą odleciał przed chwilą na Lilistar, wystrzelił stąd tak szybko, jak mógł. Możesz mi wierzyć na słowo, Sweetscent, oni o wszystkim wiedzą. Dlatego musimy działać błyskawicznie. W ciągu dwóch godzin powinniśmy dotrzeć do rigyjskiej radiostacji rządowej, jeżeli okaże się to konieczne, będziemy negocjować na otwartych falach radiowych, a Lilistar będzie wszystko słyszał. – Zerknął na zegarek na nadgarstku. – Muszę już kończyć. Będziemy w kontakcie.

Monitor pociemniał. Zapracowany, rozgorączkowany i wiecznie spieszący się Molinari zajął się następną sprawą. Nie mógł pozwolić sobie na ploteczki. Wtem monitor znowu się rozjaśnił i znowu pokazała się na nim twarz sekretarza.

– Pamiętaj, doktorze, że zrobiłeś swoje, zmusiłeś ich do uszanowania testamentu, który zostawiłem, tego dziesięciostronicowego dokumentu, który przerzucali sobie z rąk do rąk, kiedy przybyłeś. Gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj. Już to mówiłem i nie chcę, żebyś o tym zapomniał – nie mam czasu, żeby ciągle to powtarzać. – Uśmiechnął się i monitor znów opustoszał. Tym razem pozostał ciemny.

Ale klęska pozostaje klęską, pomyślał Eric. Wrócił do kuchni Pat Garry i usiadł przy swojej kawie. Żadne z nich się nie odezwało. Ponieważ spartaczyłem robotę, uzmysłowił sobie Eric, Staryjczycy będą mieli o wiele więcej czasu, żeby nas otoczyć, żeby przybyć na Terre ze wszystkimi swoimi siłami. Miliony trupów, być może całe lata okupacji – oto jaką zapłacimy za to cenę. Bo wcześniej wydawało mi się, że najlepiej by było ulokować Deg Dal Ila w pokoju w hotelu Caesar, zamiast zabrać go prosto do Korporacji. Ale nagle Eric pomyślał: W Korporacji Staryjczycy też mają co najmniej jednego agenta. Mogliby nawet tam załatwić tego riga.

I co teraz? – zapytał sam siebie.

– Może i masz rację, Pat – odezwał się. – Może powinienem zostać chirurgiem wojskowym i pracować w jakimś szpitalu blisko frontu.

– Jasne, dlaczego nie?

– Ale już niedługo, o czym jeszcze nie wiesz, linia frontu znajdzie się na Ziemi.

Zbladła, spróbowała się uśmiechnąć.

– Dlaczego?

– Polityka. Kolejne wojny. Zmienność sojuszy. Dzisiejszy sprzymierzeniec jest jutrzejszym wrogiem. I vice versa. – Dopił kawę i wstał. – Powodzenia, Pat, w karierze telewizyjnej i w każdej sferze twojego promiennego, dopiero zaczynającego się życia. Mam nadzieję, że wojna nie zada ci zbyt głębokich ran. – Wojna, którą pomogłem tu sprowadzić, dodał w myślach. – Na razie.

Pat pozostała przy kuchennym stole, piła kawę i nic nie mówiła, podczas gdy on przemierzył korytarz, wyszedł z mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Nawet się z nim nie pożegnała, była zbyt przerażona, zbyt oszołomiona wieścią, którą przekazał jej Eric.

W każdym razie, dzięki, Gino, pomyślał, zjeżdżając na parter. Pomysł nie był zły, i nie nasza wina, że nic z tego nie wyszło. Tylko dobitniej sobie uświadomiłem, jak mało dobra i jak dużo krzywdy – celowo lub przez zaniedbanie – wyrządziłem w ciągu swojego życia.

Szedł pogrążoną w mroku ulicą, aż dostrzegł lecącą taksówkę, zatrzymał ją i wsiadł do środka, a potem zaczął się zastanawiać, dokąd ma się udać.

– Czyżby nie wiedział pan, gdzie pan mieszka? – zapytał pojazd.

– Zawieź mnie do Tijuany – polecił nagle Eric.

Dobrze, proszę pana – odparła taksówka i błyskawicznie skręciła na południe.

Noc w Tijuanie.

Eric szedł bez celu, powłócząc nogami, mijał kolejne neony wąskich, podobnych do budek sklepików, słuchał krzyku meksykańskich sutenerów, radował się miarowym ruchem i nieustającymi, nerwowymi klaksonami kół, autonomicznych taksówek i starodawnych pojazdów naziemnych wyprodukowanych w USA, które jakimś cudem przemycono przez granicę, by dożywały tu kresu swych dni.

– Dziewczyna, proszę pana? – Najwyżej jedenastoletni chłopak chwycił Erica za rękaw i mocno ścisnął, usiłując go zatrzymać. – Moja siostra, tylko siedem lat, i nigdy w życiu nie miała mężczyzny, klę się na Boga, że będzie pan na pewno pierwszy.

– Ile? – zapytał Eric.

– Dziesięć dolarów plus opłata za pokój, bo musi być, na miłość boską, jakiś pokój. Miłość na chodniku jest czymś obrzydliwym. Nie można robić tego tutaj i potem siebie szanować.

– Mądra myśl – zgodził się Eric. Ale mimo to poszedł dalej.

W nocy jak zwykle nie było śladu po robantach handlarzach i ich ogromnych, bezużytecznych, uszytych na maszynie dywanikach, koszykach, wózkach z *tamales*, dzienni mieszkańcy Tijuany znikali razem z amerykańskimi turystami w średnim wieku, ustępując miejsca ludziom nocy. Mężczyźni pospiesznie przepychali się obok Erica, dziewczyna w zabójczo obcisłej spódniczce i swetrze przecisnęła się obok niego, na moment przywierając do niego całym ciałem... jak gdyby, pomyślał, nasze życia łączył jakiś stały związek, a ta nagła wymiana ciepła poprzez kontakt cielesny wyrażała najgłębsze możliwe porozumienie między nami. Dziewczyna poszła przed siebie, wreszcie zniknęła w tłumie. Niscy, wojowniczy, młodzi Meksykanie w rozpiętych futrzanych koszulach szli wprost na Erica, mieli otwarte usta, jakby się dusili. Ostrożnie schodził im z drogi.

W mieście, gdzie wszystko jest legalne, pomyślał, i gdzie nie ma nic wartościowego, człowiek zostaje z powrotem wrzucony w dzieciństwo. Otoczony klockami i zabawkami, z całym światem w zasięgu ręki. Cena wolności jest wysoka: płaci się za nią konfiskatą dorosłości. Mimo to bardzo mu się tu podobało. Szum i ruch wyobrażały samo życie. Niektórzy weszli w tym zło, on nie. Tamci ludzie się mylili. Niespokojne, błakające się wszędzie hordy mężczyzn, którzy szukali Bóg wie czego – zresztą oni sami też tego nie wiedzieli, ich wysiłki były pierwotnymi poruszeniami protoplazmatycznego życia. Ten nerwowy, nieustanny ruch niegdyś wyniósł życie z mórz na lądy, dzisiejsze stworzenia lądowe wciąż wędrowały, przemierzając jedną ulicę za drugą. Eric szedł razem z nimi.

Przed nim salon tatuażu, nowoczesny i wydajny, oświetlony przez ścianę lśniącej energii, w środku właściciel, zaopatrzonego w elektryczną igłę, która nie dotyka skóry, tylko ją muska,

tworząc zawiłe arabeski wzorów. Może to coś dla mnie? – pomyślał Eric. Co można by na mnie wyryć, jakie motto lub obraz, który niósłby mi pociechę na te trudne czasy niewoli? Na czasy oczekiwania na Staryjczyków, którzy pojawią się i przejmą władzę. My, Ziemianie, bezradni i przerażeni, stajemy się przede wszystkim tchórzliwi.

Eric wszedł do salonu, usiadł i powiedział:

– Czy możesz wypisać mi na piersi coś takiego... – Zastanowił się. Właściciel zajmował się poprzednim klientem, zwalistym żołnierzem ONZ, który bezmyślnie wpatrywał się przed siebie.

– Wolę obrazek – postanowił Eric.

– Przejrzyj książkę. – Otrzymał ogromny katalog z próbkami, otwierał strony na chybił trafił. Kobieta o czterech piersiach, każda z nich wypowiada pełne zdanie. Nie za bardzo, przewrócił stronę. Statek rakietowy z kłębamii dymu wydobywającymi się z ogona. Nie. Przywiodło mu to na myśl jego odpowiednika z 2056 roku, odpowiednika, którego zawiódł. Popieram rigów, zdecydował. Wytatuuj mi to tak, żeby mogli to znaleźć staryjscy żandarmi. I już nie będę musiał podejmować dalszych decyzji.

Lituję się nad sobą, pomyślał. Czy istnieje coś takiego jak samowspółczucie? Nikt o tym dotąd nie wspominał.

– Zdecydowałeś się, kolego? – zapytał właściciel, zakończywszy pracę nad żołnierzem.

– Chcę, żebyś na piersiach napisał mi: „Kathy umarła”. Okej? Ile to będzie kosztować?

– „Kathy umarła” – powtórzył tamten. – Na co?

– Na zespół Korsakowa.

– To też mam napisać? Kathy umarła na... jak to się pisze? – Właściciel wziął papier i długopis. – Chcę to napisać bezbłędnie.

– Gdzie tu można znaleźć narkotyki? – zapytał Eric. – Ale wiesz, takie prawdziwe?

– W aptecce po drugiej stronie ulicy. Specjalizują się w kraku.

Eric wyszedł z salonu i przeciął kipiącą masę ruchu ulicznego. Apteka wyglądała staromodnie, z witryną pełną modeli prezentujących schorzenia stóp, pasów na przepuklinę i butelek wody kolońskiej. Eric otworzył drzwi zręczną klamką i skierował się do lady w głębi pomieszczenia.

– Słucham pana. – Czekał na niego siwowłosy, dystyngowany, profesjonalnie wyglądający mężczyzna w białym fartuchu.

– JJ-180 – zadysponował Eric, kładąc na ladzie banknot pięćdziesięciodolarowy. – Trzy albo cztery kapsułki.

– Sto dolarów. – Tak się robi interesy. Bez litości.

Eric dołożył dwie dwudziestki i dwie piątki. Aptekarz zniknął. Kiedy wrócił, postawił przed Erikiem szklaną fiolkę, wziął banknoty i włożył je do antycznej, dzwoniącej kasy.

– Dzięki – powiedział Eric. Z fiolką w dłoni wyszedł z apteki.

Szedł przed siebie aż, mniej więcej przez przypadek, napotkał hotel Caesar. Wszedł do środka i zbliżył się do recepcjonisty. Okazało się, że to ten sam człowiek, który tego dnia obsługiwał go i Deg Dal Ila. Dnia, pomyślał Eric, złożonego z lat.

– Pamięta pan riga, z którym tu przyszedłem? – zwrócił się do recepcjonisty. Ten przyglądał mu się w milczeniu. – Czy wciąż tu jest? – zapytał Eric. – Czy naprawdę został poszatkowany przez Corninga, głównego staryjskiego rzeźnika w tym rejonie? Proszę pokazać mi ten pokój. Chcę dostać ten sam pokój.

– Płatne z góry, proszę pana.

Eric zapłacił, dostał klucz i pojechał windą na właściwe piętro, poszedł ciemnym, wyłożonym dywanem korytarzem do samego pokoju, otworzył drzwi i wszedł do środka, po omacku szukając włącznika światła.

Pomieszczenie rozbłysło światłem i Eric zobaczył, że w pokoju nie ma ani śladu niedawnych zajęć, pokój był po prostu pusty. Jak gdyby rig zniknął. Może wyszedł. Miał rację, uznał Eric, kiedy prosił, żebym zabrał go z powrotem do obozu, przez cały czas był na właściwym tropie. Wiedział, jak to się skończy.

Stojąc tak, Eric uświadomił sobie nagle, że pokój go przeraża.

Otworzył fiolkę, wyjął kapsułkę JJ-180, położył ją na toalecie i za pomocą dziesięciocentowej monety pokroił tabletkę na trzy części. W dzbanku obok znajdowała się woda, Eric połknął jedną trzecią kapsułki i podszedł do okna, aby patrzeć na dwór i czekać.

Noc zmieniła się w dzień. Wciąż był w hotelu Caesar ale przemieścił się w czasie, nie wiedział, jak bardzo, o miesiące? Lata? Pokój wyglądał tak samo, bo prawdopodobnie nigdy się nie zmieni, był wieczny i statyczny. Eric wyszedł, zjechał do holu i na stoisku obok recepcji poprosił o homeogazetę. Sprzedawczyni, pulchna, stara Meksykanka, podała mu dziennik wydawany w Los Angeles, przejrzał go i zobaczył, że przesunął się o dziesięć lat. Był 15 czerwca 2065 roku.

Czyli poprawnie ustalił potrzebną dawkę JJ-180.

Usiadł w budce wideofonicznej, włożył monetę i wybrał numer Korporacji Futer i Barwników. Wyglądało na to, że jest około południa.

– Chciałbym rozmawiać z panem Virgilem Ackermanem.

– A kto mówi, przepraszam?

– Doktor Eric Sweetscent.

– Och, oczywiście, doktor Sweetscent. Już łączę. – Ekran zamigotał, po czym pojawiła się na nim pomarszczona i sucha, w zasadzie nie zmieniona, twarz Virgila.

– Niech mnie diabli! Eric Sweetscent! Jak się masz, mały? Kopę lat... ile, trzy? Cztery? Jak ci się żyje w...

– Powiedz mi wszystko o Kathy – przerwał mu Eric.

– Proszę? Eric oznajmił:

– Chcę dowiedzieć się wszystkiego o swojej żonie. W jakim jest teraz stanie? Gdzie jest?

– Twoja była żona.

– Właśnie – stwierdził Eric rozsądnie. – Moja była żona.

– A skąd ja mam to wiedzieć, Eric? Nie widziałem jej od czasu, gdy rzuciła u mnie pracę, a było to co najmniej... cóż, sam wiesz... sześć lat temu. Zaraz po odbudowie. Zaraz po wojnie.

– Powiedz mi coś, co pomogłoby mi ją odnaleźć.

– Dobry Boże, Eric. – Virgil zamyślił się. – Pamiętasz chyba, jak bardzo się rozchorowała. Te psychopatyczne napady szału.

– Nie pamiętam.

– Virgil uniósł brwi i przypomniał:

– To przecież ty podpisałeś wniosek o umieszczenie jej w zakładzie psychiatrycznym.

– Myślisz, że jest teraz w zakładzie? W dalszym ciągu?

– Jak mi wyjaśniłeś, doszło do nieodwracalnego uszkodzenia mózgu. Przez te toksyczne narkotyki, które zażywała. Dlatego przypuszczam, że jest w zakładzie. Prawdopodobnie w San Diego. Chyba Simon lid niedawno mi o tym wspominał, mam go zapytać? Powiedział, że spotkał kogoś, kto ma znajomego w szpitalu psychiatrycznym na północ od San Diego i...

– Zapytaj go. – Eric czekał, podczas gdy ekran opustoszał, bo Virgil za pośrednictwem linii międzywydziałowej rozmawiał z Simonem.

W końcu ukazała się wydłużona, zboląła twarz dawnego kontrolera zapasów.

– Chcesz się dowiedzieć czegoś o Kathy – zaczął Simon. – Powtórzę, co mi powiedział ten facet. Poznał ją w Szpitalu Neuropsychiatrycznym imienia Edmunda G. Browna, przeżywał załamanie nerwowe, jak to nazywacie.

– Ja tak niczego nie nazywam – wtrącił Eric – ale słucham dalej.

– Nie panowała nad sobą, jej napady szału, te destrukcyjne rajdy, podczas których niszczyła wszystko, powtarzały się każdego dnia, czasami do czterech razy dziennie. Trzymali ją na fenotiazynie, i to przez pewien czas pomagało – sama mu to powiedziała – ale potem przestało pomagać, niezależnie od tego, ile fenotiazyny jej dawali. Chyba doszło do uszkodzenia płata czołowego. I miała kłopoty z właściwym zapamiętywaniem rzeczy. Oraz z punktami odniesienia: zdawało się jej, że wszyscy są przeciwko niej, że chcą zrobić jej krzywdę... nie była to oczywiście prawdziwa paranoja, tylko ciągle rozdrażnienie, oskarżanie ludzi, że ją oszukują, że mają jej coś za złe – obwinała wszystkich. – Simon dodał: – Ciągle mówiła o tobie.

– Co mówiła?

– Oskarżała ciebie i tego psychiatrę – jak on się nazywał? – że zmusiliście ją do pójścia do szpitala i nie pozwoliliście wyjść.

– Czy ona ma jakieś pojęcie, dlaczego to zrobiliśmy? – Dlaczego musieliśmy to zrobić,

poprawił Eric w myślach.

– Mówiła, że cię kochała, ale ty chciałeś się jej pozbyć i ożenić z inną. I że w czasie rozwodu przysięgałeś, że nie masz nikogo.

– Rozumiem – uciął Eric. – Dzięki, Simon. – Przerwał połączenie, po czym zadzwonił do Szpitala Neuropsychiatrycznego imienia Edmunda G. Browna w San Diego.

– Szpital Neuropsychiatryczny imienia Edmunda G. Browna. – Szybki, zmęczony głos kobiety w średnim wieku, obsługującej centralkę.

– Chciałbym zapytać o stan pani Katherine Sweetscent.

– Chwileczkę, proszę pana. – Kobieta spojrzała na spis i połączyła go z jednym z oddziałów, ujrzał teraz kobietę młodszą i ubraną nie w biały kitel, lecz w zwyczajną, bawełnianą sukienkę w kwiaty.

– Mówi doktor Eric Sweetscent. Co może pani mi powiedzieć o stanie Katherine Sweetscent? Czy są jakieś postępy?

– Bez zmian od pańskiego ostatniego telefonu, doktorze, sprzed dwóch tygodni. Ale zobaczę w jej karcie. – Kobieta zniknęła z ekranu.

Dobry Boże, pomyślał. Za dziesięć lat wciąż będę się nią zajmował. Czy nie wyrwę się do końca życia?

– Wie pan, że doktor Bramelman testuje na pani Sweetscent nowy zespół Glosera-Little'a. Żeby skłonić tkankę mózgu do samodzielnego odrodzenia się. Ale jak dotąd... – Kartkowała akta.

– Efekty są znikome. Proszę zadzwonić za miesiąc, może dwa. Nie sądzę, żeby wcześniej nastąpiły jakiegokolwiek zmiany.

– Ale może to zadziała – powiedział Eric. – Ten nowy zespół, o którym pani wspomniała. – Nigdy o nim nie słyszał. Zapewne powstanie dopiero w przyszłości. – Wciąż pozostaje jakaś nadzieja.

– O tak, doktorze. Zdecydowanie pozostaje nam nadzieja. – Powiedziała to w taki sposób, aby miał jasność, że było to jedynie spostrzeżenie filozoficzne, jeżeli o nią chodziło to nadzieja istniała w każdym przypadku. Zatem nie znaczyła nic.

– Dziękuję – rzekł Eric, po czym dodał: – Proszę sprawdzić, jakie miejsce mojej pracy figuruje w waszych aktach. Ostatnio zmieniłem pracę, więc dane mogą być nieaktualne.

Po chwili dobiegł go głos pielęgniarki:

– Określony jest pan jako główny chirurg wszczepów w Fundacji Kaisera w Oakland.

– Zgadza się. – I Eric odłożył słuchawkę.

Uzyskał numer na informacji, po czym zadzwonił do Fundacji Kaisera.

– Poproszę z doktorem Erikiem Sweetscentem.

– A kto mówi, przepraszam? Zawahał się:

– Proszę mu powiedzieć, że jego młodszy brat.

– Dobrze, proszę pana. Jedną chwileczkę.

Na ekranie pojawiła się jego twarz, starsza i okolona siwymi włosami.

– Cześć.

– Cześć – odparł Eric, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. – Przeszkadzam ci w pracy? – Za dziesięć lat nie będzie wyglądał najgorzej. Tyle godności.

– Nie, wcale nie. Spodziewałem się, że zadzwonisz. Pamiętałem przybliżoną datę. Przed chwilą dzwoniłeś do Szpitala Neuropsychiatrycznego imienia Edmunda G. Browna i usłyszałeś o zespole Glosera-Little’a. Powiem ci coś, czego pielęgniarka nie powiedziała. Zespół Glosera-Little’a to jedyny mózgowy wszczep, jaki udało się wymyślić. Zastępuje części płata czołowego, po założeniu pozostaje na swoim miejscu do końca życia organizmu. Jeżeli zadziała. Szczerze mówiąc, powinien zacząć funkcjonować od razu.

– Czyli u Kathy raczej nic z tego nie będzie.

– Nie – potwierdził starszy Eric Sweetscent.

– Czy nie sądzisz, że gdybyśmy nie wzięli z nią rozwodu...

– To by niczego nie zmieniło. Przeprowadzane teraz badania wykazują... Możesz mi wierzyć.

Zatem nie pomógłbym jej nawet wtedy, pomyślał Eric, gdybym został z nią, choćby do końca życia.

– Dziękuję za pomoc. Myślę, że to ciekawe – to chyba odpowiednie słowo – że ciągle jesteś z nią w kontakcie.

– Sumienie to sumienie. Pod pewnymi względami rozwód nałożył na nas jeszcze większą odpowiedzialność za jej stan. Bo natychmiast potem poczuła się o wiele, wiele gorzej.

– Czy istnieje jakiegokolwiek wyjście?

Eric Sweetscent z 2065 roku potrząsnął przecząco głową.

– Okej. Dziękuję za szczerą.

– Jak sam powtarzasz, zawsze powinieneś być szczerzy wobec samego siebie. – Starszy Eric dorzucił: – Życzę ci powodzenia podczas umieszczania jej w zakładzie. Będą stawiać opór. Ale masz jeszcze trochę czasu.

– Co z wojną, a szczególnie z podbojem Terry przez Staryjczyków?

Starszy Eric uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Do diabła, jesteś zbyt pogrążony w kłopotach osobistych, aby cokolwiek zauważyć. Wojna? Jaka wojna?

– Na razie – pożegnał się Eric i rozłączył się. Wyszedł z budki wideofonicznej. On ma rację, przyznał.

Gdybym był rozsądny... ale nie jestem. Staryjczyki prawdopodobnie przygotowują jakiś plan awaryjny, zbierają się do ataku, wiem o tym, a jednak tego nie czuję, bo czuję...

Żądzę śmierci, pomyślał.

Czemu nie? Gino Molinari uczynił ze śmierci motor strategii politycznej, dzięki niej przechytrzył przeciwników i zapewne zrobi to jeszcze nie jeden raz. Oczywiście nie takie są moje zamiary, pomyślał Eric. Ja nikogo nie przechytrzę. W czasie inwazji zginie wielu ludzi. Co znaczy jeden trup więcej? Kto przez to straci? Komu jestem bliski? Ci Sweetscentowie z przyszłości będą cierpieć jak cholera, ale tym gorzej dla nich. Zresztą w gruncie rzeczy mam ich gdzieś. Pominąwszy fakt, że ich istnienie zależy od mojego, oni odwzajemniają to uczucie. Być może, pomyślał, to cały problem. Nie mój związek z Kathy, ale mój związek z samym sobą.

Przeszedł hol hotelu Caesar i znalazł się na zalanej światłem dnia, ruchliwej ulicy Tijuany z 2065 roku.

Oślepił go blask słońca, stał, mrugając oczami i przyzwyczajając wzrok. Zmieniły się nawet pojazdy naziemne. Były zgrabniejsze, bardziej atrakcyjne. Ulica została porządnie wybrukowana. Wszędzie kręcili się sprzedawcy *tamales* i dywaników, ale nie były to już robanty, byli to – Eric wzdrygnął się – rigowie. Wszystko wskazywało na to, że znaleźli się na najniższym szczeblu społeczeństwa terrańskiego i będą musieli mozolnie wspinać się, by osiągnąć równość, której świadkiem był dziewięćdziesiąt lat później. Nie było to chyba sprawiedliwe, ale tak wyglądała rzeczywistość.

Z rękoma w kieszeniach szedł razem z rozkołysanym tłumem, który zaludniał chodniki Tijuany w każdej epoce, aż wreszcie dotarł do apteki, w której kupił kapsułki JJ-180. Jak zawsze była czynna. W ciągu dziesięciu lat też niewiele się zmieniła, z wystawy zniknęły tylko pasy na przepuklinę. Zamiast nich pojawiło się urządzenie, którego nie znał. Przystanął i odczytał z tyłu napis w języku hiszpańskim. Wyglądało na to, że urządzenie zwiększało potencję. Pozwalało – przetłumaczył z hiszpańskiego – na nieskończony szereg orgazmów, jeden za drugim. Szczerze rozbawiony wszedł do apteki i skierował się w stronę lady w głębi.

Przywitała go inna osoba, ciemnowłosa kobieta w podeszłym wieku.

– *Si?* – Uśmiechnęła się, pokazując rząd tanich, chromowych zębów.:

– Macie taki zachodniemiecki środek o nazwie G-To-tex blau? – spytał Eric.

– Popatrzę. Proszę czekać, okej? – Kobieta, powłócząc nogami, zniknęła wśród środków farmaceutycznych. Eric błąkał się między gablotami, omiatając wszystkie niewidzącym wzrokiem. – G-Totex blau okropna trucizna – zawołała kobieta. – Musi pan podpisać w książce, *si?*

– *Si.*

Środek w czarnym kartonie znalazł się na ladzie przed nim.

– Dwa dolary pięćdziesiąt – oznajmiła kobieta. Wyciągnęła książkę i położyła ją tak, by Eric mógł jej dosięgnąć uwiązany na łańcuszku piórem. Gdy się podpisywał, kobieta pakowała pudełko. – Ma pan zamiar się zabić, *señor?* – zapytała. – Tak, to widać. Z tym środkiem nie będzie bolało, sama widziałam. Żadnego bólu, tylko nagle wysiada serce.

– Tak – zgodził się. – To dobry środek.

– Z A. G. Chemie. Niezawodny. – Uśmiechnęła się promiennie, jakby na znak aprobaty.

Zapłacił – banknoty sprzed dziesięciu lat zostały przyjęte bez zastrzeżeń – i wyszedł z apteki. To dziwne, pomyślał. Tijuana wcale się nie zmieniła. I nigdy się nie zmieni. Nikogo nie obchodzi, że chcesz się zabić, aż dziw, że nie ustawią budek, gdzie w nocy załatwiano by sprawę za ciebie, za dziesięć pesos. Zresztą może teraz już ustawili.

Wyraźna aprobata kobiety wstrząsnęła nim trochę. Przecież nic o nim nie wiedziała, w ogóle go nie znała. Wszystko przez wojnę, uznał. Nie wiem, czemu tak mnie to dziwi.

Gdy wrócił do hotelu Caesar i chciał wejść na schody, zatrzymał go nieznany mu recepcjonista.

– Proszę pana, pan tu nie mieszka. – Mężczyzna wynurzył się błyskawicznie zza kontuaru i zagroził mu drogę. – Chciał pan wynająć pokój?

– Już wynająłem – odparł Eric, ale zaraz sobie przypomniał, że zdarzyło się to dziesięć lat temu, termin wynajęcia dawno już upłynął.

– Dziewięć dolarów za każdą noc z góry – oświadczył recepcjonista. – Skoro nie ma pan bagażu.

Eric wyjął portfel i dał tamtemu dziesięciodolarowy banknot. Jednak recepcjonista przyglądał się papierkowi z zawodową dezaprobatą i coraz większą podejrzliwością.

– One zostały wycofane – poinformował Erica. – Trudno je teraz wymienić, bo przestały być legalne. – Recepcjonista uniósł głowę i popatrzył na Erica wyzywająco. – Dwadzieścia. Dwie dychy. Ale może nawet wtedy ich nie wezmę. – Czekał obojętnie, wyraźnie nie podobało mu się, że płacą mu w takiej walucie. Zapewne przypominała mu ona stare dni, niedobre czasy wojny.

Eric miał w portfelu tylko jeden banknot, i to pięciodolarowy. Na dodatek – jakimś szalonym zbiegiem niewiarygodnych okoliczności – dużo bezużytecznej waluty z czasów za dziewięćdziesiąt lat, otrzymanej w zamian za zegarek. Rozłożył banknoty na kontuarze, przyglądając się wielokolorowym, błyszczącym zawijasom. Więc być może, pomyślał, elektroniczna część Kathy dotarła do Virgila Ackermana w latach trzydziestych, istniała przynajmniej jakaś szansa. To dodało mu otuchy.

Recepcjonista wziął jeden banknot z 2155 roku.

– Co to jest? – Uniósł go pod światło. – Pierwszy raz widzę coś takiego. Sam je wyrabiasz?

– Nie – odparł Eric.

– Nie przydadzą mi się – zdecydował tamten. – Idź stąd, bo wezwę policję. Wiem, że robisz je sam. – Z odrazą cisnął banknot na kontuar. – Dziwne pieniądze. Idź sobie.

Eric zostawił pieniądze z 2155 roku, ale zabrał pięciodolarówkę i wyszedł z hotelu, trzymając pod pachą pakunek z G-Totex blau.

Nawet po wojnie ciągle jeszcze istniało w Tijuanie mnóstwo krętych zaułków, odnalazł

wąskie, mroczne przejście między budynkami z cegły, zaśmiecone odpadkami i popiołem z dwóch olbrzymich palenisk, które służyły niegdyś jako kanistry na benzynę. Eric usiadł na drewnianych schodach przy zabitych deskami drzwiach, zapalił papierosa i pogrążył się w rozmyślaniach. Od strony ulicy był niewidoczny, ludzie spieszący chodnikiem nie zwracali na niego uwagi, więc skupił się na ich obserwacji, zwłaszcza kobiet. Pod tym względem Tijuana też niewiele się zmieniła, za dnia kobiety ubierały się z niezrozumiałym szykiem: wysokie obcasy, sweter z owczej wełny, lśniąca torebka, rękawiczki, płaszcz przerzucony przez ramię, wysoko osadzone piersi, ostre niczym pinezki, i odpowiednio elegancki biustonosz. Jak te kobiety zarabiały na życie? Gdzie nauczyły się tak dobrze ubierać, nie mówiąc już o problemie sfinansowania takiej garderoby? Zastanawiało go to w jego czasach i nie przestawało zastanawiać teraz.

Można byłoby uzyskać odpowiedź na te pytania, gdyby zatrzymać jedną z tych kobiet w biegu i spytać, gdzie mieszka, i czy ubrania kupowała tutaj, czy po drugiej stronie granicy. Zastanawiał się, czy odwiedziły one kiedykolwiek Stany Zjednoczone, czy miały narzeczonych w Los Angeles, czy w łóżku były takie dobre, na jakie wyglądały. Coś, jakaś niewidoczna siła, umożliwiało im tego rodzaju życie. Eric miał tylko nadzieję, że ta sama siła nie wywołuje w nich równocześnie oziębłości, to byłaby dopiero parodia życia, parodia potencjału istot żywych.

Najgorsze, myślał, że takie kobiety strasznie szybko się starzeją. Wszystkie plotki na ich temat są prawdziwe: już koło trzydziestki są wyniszczone, grube, porzucają gdzieś stanik, płaszcz i torebkę, pozostają im tylko czarne oczy, płonące pod krzaczastymi brwiami, pierwotna, smukła istota, uwięziona gdzieś w zwałach tłuszczu, nie potrafiąca już przemówić własnym głosem, bawić się, uciekać ani kochać. Stukanie obcasami o chodnik, pęd ku życiu, to przemija, pozostaje jedynie ociężały odgłos wleczenia się po ziemi. Najpotworniejszy dźwięk na świecie, odgłos niegdysiejszego: żywy w przeszłości, rozpadający się w teraźniejszości, stworzony z prochu trup w przyszłości. W Tijuanie nic się nie zmienia, ale też nic nie dożywa słusznego wieku Czas biegnie tu za szybko, jednocześnie stojąc w miejscu Na przykład moje położenie, pomyślał Eric. Popelniam samobójstwo przesunięty dziesięć lat w przyszłość, czy też raczej unicestwiam jedno życie dziesięć lat temu. Jeżeli to zrobię, co stanie się z Erikiem Sweetscentem, który pracuje teraz w Fundacji Kaisera w Oakland? A te dziesięć lat przez które opiekował się Kathy – jaki to wywrze na nią wpływ?

Możliwe, że w taki mój słaby sposób robię jej krzywdę. Wymierzam jej kolejną karę za to, że jest chora.

Pod moim racjonalizmem czają się wypaczone poglądy na świat, pomyślał. Chorych nie da się dostatecznie ukarać. Tak uważam? Boże, nic dziwnego, że darzę siebie nienawiścią.

Zważył w dłoni paczkę G-Totex blau, poczuł jej ciężar. Poczuł, jak przyciąga go Ziemia. Tak, pomyślał, nawet Ziemia go lubi. Ona akceptuje wszystko.

Coś przebiegło mu po bucie.

Zobaczył, jak w bezpieczny mrok i w sterty śmieci umyka mały wózek na kołach.

Ścigał go następny wózek. Spotkały się wśród mętliku gazet i butelek, śmiecie zatrzęsły się i poleciały na wszystkie strony, gdy obydwie wózki rozpoczęły walkę, zderzając się ze sobą, usiłując zdobyć układ cefaliczny, zamontowany w centrum przeciwnika. Próbowaly wybić sobie Leniwego Rudego Psa.

Jeszcze istnieją? – pomyślał Eric z niedowierzaniem. Po dziesięciu latach? Ale może Bruce Himmel cały czas je wytwarza. W takim razie muszą być plagą Tijuany. Nie wiedział, co o tym myśleć. Dalej oglądał walkę dwóch wózków, jeden obluzował drugiemu Leniwego Rudego Psa, zdawało się, że jest już bliski zwycięstwa. Cofnął się i, niczym kozioł, przygotował do zadania ostatecznego ciosu.

Gdy ustawiał się do natarcia, uszkodzony wózek, w ostatnim przeblysku inteligencji, schronił się w ocynkowanym wiadrze, poza polem walki. Znalazszy osłonę, znieruchomiał, gotów wszystko przeczekać, w razie potrzeby tkwić tam w nieskończoność.

Eric wstał i chwycił silniejszy wózek, kółka obracały się bezradnie, ale po chwili mechanizmowi udało się wyrwać z uchwytu. Spadł z trzaskiem na chodnik, cofnął się, ruszył i rąbnął w nogę Erica. Ten wycofał się zdumiony. Wózek znów szykował się do ataku, więc Eric jeszcze trochę się wycofał. Zadowolony z siebie wózek zatoczył koło i odjechał, znikając z pola widzenia.

W wiadrze ciągle tkwił słabszy wózek. Czekał.

– Nie zrobię ci krzywdy – obiecał Eric, przykucając, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Uszkodzona maszyna ani drgnęła. – Dobra – powiedział Eric i wyprostował się. – Rozumiem aluzję. – Wózek wiedział, czego chce. Nie było sensu go dręczyć.

Eric doszedł do wniosku, że nawet te maszyny pragną żyć. Bruce miał rację. Zasługują na szansę, na swoje mikroskopijne miejsce pod słońcem. Chcą tylko tego, czyli niewiele. Pomyślał: A mnie nie stać nawet na tyle, nie umiem się postawić, nie potrafię przetrwać w zawałonej śmieciami uliczce w Tijuanie, ta rzecz w cynkowym wiadrze, bez żony, pracy, mieszkadła, pieniędzy, bez cienia szansy na zdobycie którejś z tych rzeczy, uparcie trwa przy życiu. Z nieznanym mi powodów jego udział w istnieniu przewyższa mój.

G-Totex blau nie wydawał mu się już takim atrakcyjnym rozwiązaniem.

Nawet jeśli mam to zrobić, pomyślał, to czemu akurat teraz? Można to odłożyć, jak wszystko inne – wręcz należy to odłożyć. Zresztą nie czuł się zbyt dobrze, kręciło mu się w głowie, zamknął oczy, mimo że w ten sposób prowokował kolejny atak nieustraszonego Leniwego Rudego Psa autorstwa Bruce'a Himmela.

Lekki ciężar, napierający przed chwilą na jego dłoń, zniknął całkowicie. Eric otworzył oczy i zorientował się, że paczka z czarnym pudełkiem G-Totex blau rozplynęła się w powietrzu. A w

całym zaułku wałało się jakby nieco mniej śmieci. Po wydłużonych cieniach poznał, że jest późne popołudnie, więc działanie JJ-180 ustało i powrócił do mniej więcej swojego czasu. Ale ten kawałek kapsułki zażył po ciemku, w nocy, a teraz mogło być około piątej po południu. Zatem powrót znów nie był dokładny, ciekawe, jak duże było tym razem odchylenie. W końcu niedługo zjawia się Staryjczycy.

W rzeczy samej, jak zauważył Eric, już się zjawili.

Na niebie zawisł jakiś ogromny, ciemny, obrzydliwy kształt, niczym coś, co przybyło do tego świata z mrocznej krainy żelaza, zaskoczenia i przeraźliwej, znaczącej ciszy. Był tak wielki, pomyślał Eric, że mógłby przez całą wieczność jeść i jeść, nawet z miejsca, w którym stał Eric, czyli około mili od tamtego cienia, widać było, że stwór był nieskończoną i żarłoczną istotą, która lada chwila zacznie pożerać wszystko, co jest w zasięgu wzroku. Nie wydawał dźwięku. Silniki miał wyłączone. Statek przybył z bardzo daleka, z głębin przestrzeni międzyplanetarnej. Była to maszyna zaprawiona w bojach, doświadczona, znużona walką, dla osobliwych celów sprowadzona z zajmowanego zwykle przez siebie regionu.

Ciekawe, jak łatwo to się odbędzie, pomyślał Eric. Wylądują, zajmą strategiczne obiekty i opanują planetę. Pewnie pójdzie im łatwiej niż mi się zdaje, niż zdaje się mieszkańcom Terry.

Wyszedł z zaułka na większą ulicę, myśląc, że bardzo przydałaby mu się teraz broń.

To dziwne, uświadomił sobie, że w samym środku tego największego obrzydlistwa naszych czasów, wojny, napotykam na coś znaczącego. Pragnienie ożywiające mnie tak samo, jak wózek z Leniwym Rudym Psem, który ukrył się w cynkowym wiadrze za dziesięć lat. Może nareszcie stałem się mu równy. I mogę zająć miejsce na świecie obok niego, robić to, co on, i walczyć tak, jak on: zawsze kiedy jest to konieczne, a czasami dla przyjemności. Dla radości. Tak jak miało być od samego początku, na długo przed czasem czy stanem, do którego mógłbym się przenieść lub który mogę nazwać swoim.

Na ulicy niemal zamarł wszelki ruch. Wszyscy, w pojazdach i na chodnikach, przyglądali się starszemu statkowi.

– Taxi! – Eric wyszedł na jezdnię i zatrzymał autonomiczną taksówkę, zdolną do lotu. – Zabierz mnie do Korporacji Futer i Barwników – zażądał. – Leć jak możesz najszybciej i nie zwracaj uwagi na ten statek ani na żadne polecenia, które być może zacznie nadawać.

Pojazd zadrżał, nieznacznie unióś się nad asfaltem i znieruchomiał.

– Otrzymaliśmy zakaz startu, proszę pana. Dowództwo Armii Lilistaru na nasz rejon wysłało rozkaz, że...

– Ja tu wydaję rozkazy – oznajmił Eric. – Przewyższam rangą dowódców Lilistaru, to zwykle śmiecie w porównaniu ze mną. Muszę natychmiast znaleźć się w Korporacji – od tego zależą losy wojny.

– Tak jest – odparła taksówka i wzbiła się w niebo. – I proszę mi wierzyć, że to dla mnie

zaszczyt, rzadki zaszczyt, że mogę pana wieść.

– Moja obecność w Korporacji ma niezmiernie znaczenie strategiczne. – W fabryce postawię na swoim, pomyślał. Z ludźmi, których znam. A kiedy Virgil Ackerman ucieknie do Wasz-35, polecę z nim, wypadki zaczynają toczyć się tak, jak widziałem je z perspektywy przyszłego roku.

Zdał sobie sprawę, że w Korporacji niewątpliwie natknie się na Kathy.

Zwrócił się nagle do pojazdu:

– Gdybyś miał chorą żonę...

– Ja nie mam żony, proszę pana. Automatyczne Mechanizmy nie zawierają związków małżeńskich, wszyscy o tym wiedzą.

– Jasne – zgodził się Eric. – Ale gdybyś był mną i miał chorą żonę, beznadziejnie chorą, bez szans na wyleczenie, porzuciłbyś ją? Czy też zostałbyś z nią, nawet gdybyś przeniósł się o dziesięć lat w przyszłość i wiedział z absolutną pewnością, że uszkodzeń, których doznał jej mózg, nigdy nie da się cofnąć? I pozostanie z nią oznaczałoby...

– Rozumiem, o co panu chodzi – wtrącił pojazd. – Oznaczałoby, że całe pańskie życie sprowadzi się do opieki nad nią.

– Właśnie – potwierdził Eric.

– Zostałbym z nią – zdecydował pojazd.

– Dlaczego?

– Bo życie składa się z tak ustanowionych konfiguracji rzeczywistości. Porzucenie jej równałoby się stwierdzeniu: nie potrafię znieść rzeczywistości jako takiej. Muszę mieć zupełnie wyjątkowe, lepsze warunki.

– Chyba masz rację – odezwał się po chwili Eric. – Myślę, że z nią zostanę.

– Niech pana Bóg błogosławi – powiedziała taksówka. – Widzę, że jest pan dobrym człowiekiem.

– Dziękuję – odparł Eric.

Taksówka leciała w stronę Tijuńskiej Korporacji Futer i Barwników.